



ALEX  
KAVVA

EPIDEMIA

**Alex Kava**

# **Epidemia**

Tłumaczenie:

Katarzyna Ciężyńska

*Pamięci Patricii R. Kavy*

*17 lipca 1933 – 17 lutego 2016*

*A także, po raz kolejny, pamięci mojego ukochanego Scouta*

*(18 marca 1998 – 8 maja 2014)*

*Całą tę serię poświęcam tobie, przyjacielu*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### *Chicago*

Tony Briggs zakaszłał, plując krwią, po czym wytarł usta rękawem koszuli. Niedobrze, chociaż nie było aż tak źle, by sobie nie poradził. Bywało z nim już gorzej, o wiele gorzej. A jednak go nie uprzedzili, że tak paskudnie się rozchoruje. Zaczynał podejrzewać, że dranie wpuścili go w niezły kanał.

Napisał esemesa o treści:

*Wpakowałem się w niezłe gówno.*

I szybko nacisnął „Wyślij”, żeby się nie rozmyślić.

W instrukcji nie było punktu, który kazałby mu wysyłać podobne wiadomości, nie przewidywała tego także umowa, ale miał to gdzieś. Co z tego, jeśli szpicle się dowiedzą. Co mogą mu zrobić? I tak już czuł się jak wrak. Naprawdę nie mogli zrobić nic takiego, by poczuł się gorzej.

Wrzucił telefon do kosza na śmieci razem z kilkoma ulotkami, które zebrał w ciągu dnia. Pokonał trasę, którą wybierały zwiedzające miasto rodziny, gdy zjawiały się tu podczas wakacji. W jego przypadku przypominało to raczej prezent od organizacji charytatywnej, która specjalizuje się w spełnianiu tak zwanych ostatnich życzeń. Ty razem była to „Ostatnia w życiu podróż, wszystkie wydatki z góry opłacone”.

Na tę myśl zaśmiał się, co zakończyło się kolejnym atakiem kaszlu, a kropelki krwi wylądowały na ekranie plazmy, a nawet na ścianie za telewizorem. Nie lubił zostawiać po sobie śladów i przysparzać pracy hotelowym sprzątaczkom, ale było już za późno. Poza tym wedle instrukcji przez cały dzień miał dotykać wszystkiego, co możliwe. W myśli powtórzył listę: kontakty, przyciski w windzie, restauracyjne menu, piloty, poręcze schodów.

Wcześniej tego ranka w McDonalddie – przed atakiem kaszlu, zanim temperatura wystrzeliła do góry i miał jeszcze dość odwagi, a także apetyt – po raz pierwszy poczuł cień niepokoju. Wziął tacę i zatrzymał się przy ladzie z przyprawami.

Dotykaj tyle powierzchni, ile tylko się da.

Takie dostał polecenie. Zarazki są w stanie przeżyć na twardej powierzchni do osiemnastu godzin. Niewykluczone, że wiele w życiu schrzanił, lecz nadal potrafił trzymać się instrukcji.

O tym właśnie myślał, gdy poczuł, że ktoś stuka go w łokieć.

– Hej, proszę pana, może mi pan podać dwie słomki?

Dzieciak miał szczęście, może siedem lat, na nosie kujaniki w grubych czarnych oprawkach, za ciężkich do drobnej twarzy. Wciąż je poprawiał, pewnie weszło mu to w krew. Natychmiast przypomniał Tony’emu najlepszego przyjaciela, Jasona. Dorastali razem od szóstego roku życia. Chodzili do tej samej szkoły, grali w tej samej drużynie piłkarskiej, razem wstąpili do wojska. Razem też wrócili z Afganistanu, obaj w taki czy inny sposób doświadczeni. Tony był sportowcem, a Jason mózgowcem. Już jako sześciolatek dał się poznać jako bezczelny mądrała, jednak nie odstępował Tony’ego na krok.

Okularnik.

„Co teraz robisz?”. To mogłoby być motto młodego Jasona, bo wciąż zadawał to pytanie Tony’emu.

W podstawówce był taki czas, kiedy Jason naśladował wszystko, co zrobił Tony. W średniej szkole Jason nabrał dość ciała, by razem z Tonym grać w drużynie piłkarskiej, i wstąpił do armii pewnie tylko dlatego, że Tony o tym marzył. I proszę, dokąd ich to zaprowadziło.

Tony odsunął od siebie wyrzuty sumienia. Nagle, w tej właśnie chwili, pomyślał z nadzieją, że być może Jason nigdy się nie dowie, jaki z niego wielki tchórz.

– Proszę pana. – Dzieciak czekał z wyciągniętą ręką.

Tony już sięgał po cholerny pojemnik ze słomkami, aż raptem jego ręka znieruchomiła kilka centymetrów od celu.

– Sam sobie weź pieprzone słomki – powiedział do chłopca. – Nie jesteś kaleką.

Odwrócił się i odszedł, nie biorąc dla siebie słomki ani serwetki, nie dotykając absolutnie niczego na całej pieprzonej ladzie. Prawdę mówiąc, zabrał tacę i wyszedł, pchnąwszy drzwi ramieniem, żeby ich też nie dotykać ręką. Wrzucił tacę i jedzenie do najbliższego pojemnika na śmieci. Dzieciak tak go wkurzył, że potrzebował prawie godziny, by ruszyć w dalszą drogę.

Teraz, po powrocie do hotelowego pokoju, pot strużkami zalewał mu twarz. Tym samym rękawem, którym wytarł usta, ocierał czoło.

Spodziewał się gorączki. Zaskoczyło go, że widzi jak przez mgłę.

Nie, to było coś więcej niż nieostre widzenie. Czuł, że mniej więcej przez ostatnią godzinę miał halucynacje. Zdawało mu się, że w holu John Hancock Center widzi swojego

sierzanta od musztry, ale po odwiedzeniu punktu widokowego na dziewięćdziesiątym czwartym piętrze wieżowca dostał takich nudności, że nie miał siły tego zweryfikować. Ale choć nękały go mdłości i ledwie trzymał się na nogach, i tak pamiętał, by dotknąć wszystkich przycisków, zanim wysiadł z windy.

Czuł się też zażenowany.

Przypuszczalnie jego umysł na skutek tego, co lekarze nazwali pourazowym uszkodzeniem mózgu, nie był już taki sam jak kiedyś. Za to Tony'ego przepełniała duma, że zachował sprężyste silne ciało, podczas gdy wielu jego kumpli wróciło bez rąk czy nóg. Jednak teraz zmęczenie dało się we znaki mięśniom, a oddech wręcz sprawiał ból.

Raptem Tony usłyszał jakieś kliknięcie. Dźwięk rozległ się za jego plecami, jakby ktoś otwierał drzwi.

Przed wejściem do pokoju znajdowała się niewielka wnęka z minibarkiem i ekspresem do kawy. Musiałby jednak przejść przez cały hotelowy apartament, by przekonać się, co to za hałas.

– Jest tam kto? – spytał, podnosząc się z krzesła.

Czy znów miał halucynacje, czy też jakiś cień naprawdę się poruszył?

Nagle wszystko zawirowało i przechyliło się na prawo. Tony oparł się o wózek obsługi hotelowej. Zamówił go zgodnie z instrukcjami swoich aniołów stróżów, gdy tylko wrócił do pokoju. Nieważne, że niczego nie był w stanie przełknąć. Na sam zapach truskawek w żołądku mu się przewracało.

Nikogo tam nie było.

Może to przez gorączkę wpada w paranoję. Miał wrażenie, jakby od środka płonął. Musi się ochłodzić, nabrać świeżego powietrza.

Otworzył drzwi balkonowe i natychmiast zadrżał. Niewielki cementowy balkon miał balustradę z kutego żelaza, pewnie był to jeden z oryginalnych elementów, które hotel postanowił zachować podczas renowacji. Takie małe coś z dawnych lat, co dodawało uroku.

Świeże powietrze sprawiło Tony'emu ulgę, choć zaatakowało zimnym powiewem spocone ciało. Ale to dobrze, znów czuł, że żyje. Uśmiechnął się. Zabawne, że niemal zdychając, człowiek czuje, że żyje. W Afganistanie kilka razy znalazł się o krok od śmierci, i dobrze pamiętał tę ulgę, gdy okazało się, że nadal żyje.

Wyszedł w noc. Głowę miał wciąż za ciężką, choć odrobinę przestało się w niej kręcić.

No i w końcu był w stanie oddychać, nie plując krwią.

Słuchając szumu i hałasu miasta dochodzących z dołu, zdał sobie sprawę, że gdyby chciał to zrobić, nic by go nie powstrzymało. Od powrotu do domu wiele razy rozważał własną śmierć, ale akurat czegoś takiego nigdy sobie nie wyobrażał.

Nagle zdał sobie sprawę, że byłoby tak samo, jak skacząc z Herculesa C-130.

Tyle że bez spadochronu.

Widziane z osiemnastego piętra miasto przypominało miniaturę świata. Samochody były jak malutkie modele, którymi bawili się z Jasonem, o które walczyli i wymieniali się nimi. Które były ich wspólną własnością.

W tym właśnie momencie dopadła go druga fala nudności.

Może wcale nie musi tego dokończyć. Już przestało mu zależeć, czy dostanie od nich obiecaną zapłatę. Może nie jest jeszcze za późno, by udać się do szpitala. Pewnie jakoś by mu pomogli, coś zaaplikowali. Potem pojedzie do domu. Istnieją łatwiejsze sposoby na zarobienie kilku dolców.

Gdy zaczął się odwracać, poczuł pchnięcie. To nie był wiatr, tylko jakieś silne dłonie. Cień, to dłonie cienia.

Tony zaczął bezładnie wymachiwać rękami, by odzyskać równowagę.

Kolejne pchnięcie.

Chwycił się balustrady, ale już był wychylony, a metal boleśnie wbijał się w krzyż. Przed oczami migotało światło. Czuł się jak w tunelu aerodynamicznym. Zewsząd otaczało go zimne powietrze.

Nie będzie drugiej szansy. Już spadał.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Park Narodowy Conecuh*

*Na północ od granicy stanów Alabama i Floryda*

T-shirt przykleił mu się do pleców. Ryder Creed odnosił wrażenie, że zamiast butów turystycznych ma na nogach cementowe bloki umazane czerwoną gliną. Powietrze robiło się cięższe, wilgotne i duszne, zapach sosen mieszał się z wonią spoconego Creeda i zdyszanego psa. W głębi lasu nawet ptaki były inne, nieustanne bzyczenie komarów zakłócał tylko wwiercający się w pień drzewa dzięcioł.

Creed pomyślał z ulgą, że włożył koszulę z długim rękawem, a na szyi zawiązał chustkę, podobnie zresztą jak na szyi Grace. Materiał nasączony był specjalną miksturą wymyśloną przez jego partnerkę w interesach Hannę, która gwarantowała, że substancja będzie odstraszać wszelkie owady i robale. Żartowała, że gdyby dodała jeszcze jeden składnik, to ochroniłaby ich również przed wampirami.

Żarty żartami, ale za parę godzin w lesie zapadnie noc, a na granicy Alabamy i Florydy, na tej głębokiej prowincji – jak mawiano, w krainie zapomnianej przez Boga i ludzi – istniało wystarczająco dużo powodów, żeby zagubiony tu człowiek uwierzył w istnienie wampirów.

Kudzu, to agresywne pnącze, wspinało się na drzewa i oplatało je tak gęsto, że wyglądało jak zielona sieć. W niektórych miejscach promienie słońca nie były w stanie przedrzeć się przez łodygi i gęste listowie. Pracowicie wydeptana ścieżka szybko zarastała roślinnością i stawiała opór wędrowcowi. Kolczaste wino zaczepiało o nogawki Creeda, który martwił się, że mogło też kaleczyć łapy Grace. Zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił, zabierając ze sobą niedużego teriera zamiast jakiegoś większego psa, ale Grace była jego najlepszym tropicielem. Podekscytowana kolejną przygodą, skakała radośnie i bez trudu przemykała między wysokimi sosnami, które rosły tak gęsto, że Creed co rusz musiał robić uniki.

Do zachodu słońca została niespełna godzina, mimo to agent federalny z Atlanty, wciąż nękanym wątpliwościami, zasypywał Creeda pytaniami w rodzaju:

– Na pewno nie potrzebuje pan więcej psów?

Agent Lawrence Tabor już kilka razy zauważył, że Grace to suka „niewielkich rozmiarów” i jest „dość mizerna”. Creed słyszał też, jak szeptem mówił do szeryfa



Wyliego, że „labradory i owczarki niemieckie są najlepszymi psami tropicielami, jestem tego pewien”.

Creed zdążył do tego przywyknąć. Wiedział, że większość funkcjonariuszy nie spodziewa się kogoś takiego jak on ani takich tropicieli jak jego psy. Zajmował się nimi i szkolił od ponad siedmiu lat. Prowadził firmę K9 CrimeScents i miał listę gotowych do pracy zwierząt. Jednak ludzie wciąż oczekiwali kogoś starszego od Creeda i psów większych niż jego psy.

Grace, brązowo-biała suka rasy Jack Russell terier, należała do jego najmniejszych psów. Gdy Creed ją znalazł, była strasznie wychudzona, sama skóra i kości, brzuch wisiał od karmienia szczeniąt. Ktoś ją porzucił przed długim podjazdem posesji Creeda. Prawdę mówiąc, miejscowi nabrali zwyczaju zostawiania niechcianych psów na skraju jego dwudziestohektarowej posiadłości. Grace nie była pierwszą suką, którą właściciel porzucił, bo pożałował kilku dolarów na sterylizację.

Hannie bardzo się nie podobało, że ludzie wykorzystywali miękkie serce jej partnera w interesach. Nikt jednak – nawet Hanna – nie rozumiał, że uratowane przez Creeda psy przemieniały się w jego najlepszych tropicieli. Podczas szkolenia talent to tylko jeden z czynników, innym była więź z treserem. Uratowane przez Creeda psy darzyły go bezwarunkowym zaufaniem i były niewyobrażalnie lojalne. Chętnie się uczyły i bardzo chciały go zadowolić. Grace należała do prymusów.

– Praca z kilkoma psami równocześnie może stworzyć duże problemy – odparł w końcu agentowi. – Psy ze sobą rywalizują, dlatego musielibyśmy sobie radzić z fałszywymi alertami, z błędnie wskazanym terenem poszukiwań. Proszę mi wierzyć, że jeden pies to więcej niż dość.

Przez wzgląd na Grace Creed mówił rzeczowym tonem. Pies doskonale wyczuwa emocje człowieka, potrafi ocenić jego nastrój, dlatego zawsze starał się nad sobą panować, kiedy tacy goście jak agent Tabor zaczynali go wkurzać.

Wciąż się zastanawiał, po co Tabor w ogóle się tu pojawił, ale zachował to pytanie dla siebie. Creed nie należał do którejkolwiek ze służb porządku publicznego. Zatrudniono go do konkretnej roboty, nie miał więc żadnego interesu w tym, by kwestionować jurysdykcję czy angażować się w irytującą rywalizację, w którą często wdawali się miejscowi i federalni oficjele.

– Nie wydaje mi się, żeby uciekła tak daleko – stwierdził szeryf Wylie.

Mówił o młodej kobiecie, której właśnie poszukiwali. To w tym celu zorganizowali wyprawę. Creed zdał sobie sprawę, że także szeryf zaczął kwestionować jego ocenę sytuacji, choć już wiele razy mieli okazję razem pracować.

Creed zignorował ich na tyle, na ile było to możliwe, i skoncentrował uwagę na Grace. Słyszał, że jej oddech przyśpieszył. Zaczęła iść z uniesionym nosem. Mocniej ścisnął smycz. Grace najwyraźniej wkroczyła w tak zwany stożek zapachu, choć Creed nie miał pojęcia, czy to już to. Na razie czuł tylko zapach rzeki, ale to nie ona przyciągnęła uwagę psa.

– Kiedy zniknęła? – spytał szeryfa.

– Przedwczoraj wieczorem.

Creed został poinformowany, że Izzy Donner jest dziewiętnastoletnią narkomanką, która leczy się z nałogu i usiłuje wrócić do normalnego życia. Zapisła się do college'u, a nawet zaplanowała z przyjaciółmi wycieczkę do Atlanty, na którą niecierpliwie czekała. Creed wciąż nie do końca rozumiał panikę jej rodziny. Uważał, że dwudniowa nieobecność w domu młodej dziewczyny, i to dziewczyny z trudną przeszłością, to nic nadzwyczajnego.

– Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, na jakiej podstawie sądzi pan, że uciekła do lasu – dociekał Creed. – Jest pan pewien, że nie została porwana wbrew własnej woli?

Gdyby dziewczyna została porwana, obecność agenta federalnego byłaby bardziej usprawiedliwiona. Wylie i Tabor wymienili się spojrzeniami, co umocniło Creeda w podejrzaniach, że coś przed nim ukrywają.

– Jakie to ma znaczenie? – spytał w końcu agent federalny. – Jeśli pański pies jest tak dobry, jak pan utrzymuje, to tak czy owak powinien ją znaleźć, prawda?

– To ma znaczenie, bo w razie porwania będzie też zapach innej osoby.

– Ktoś dał nam cynk przez telefon – przyznał Wylie, a Tabor natychmiast zgromił go wzrokiem, nakazując się zamknąć.

Zanim Creed zdążył zadać kolejne pytanie, Grace mocniej pociągnęła za smycz. Oddychała coraz szybciej, poruszała nozdrzami i wąsami. Creed wiedział, że kieruje się w stronę rzeki.

– Zwolnij trochę, Grace – powiedział.

Żaden treser nie lubi mówić swojemu psu, żeby zwolnił, ale czasami pęd i energia do tego stopnia nim zawładną, że wpada na niebezpieczny teren. Creed słyszał opowieści o psach, które do krwi otarły sobie łapy, tak były skupione i tak podniecone poszukiwaniem

zapachu, którego znalezienie wiązało się z nagrodą.

Grace nie przestawała ciągnąć, a długonogi Creed starał się dotrzymać jej kroku. Omal nie potknął się o splątane wino, kiedy Grace przeskakiwała nad leżącymi na ziemi gałęziami, naciągając smycz do granic wytrzymałości. Starał się za nią nadążyć i nie wypuścić z rąk smyczy.

Dopiero w tym momencie Creed zauważył, że agent Tabor i szeryf Wylie szli w pewnej odległości za nim. Nie odwracał się, ale słyszał ich stłumione głosy, w tym przerywniki-bluzgi, gdy starali się ominąć kolczaste krzewy.

Wreszcie Grace zwolniła, a potem się zatrzymała, nerwowo wciągając w nozdrza powietrze. Creed widział i słyszał znajdującą się jakieś półtora metra dalej rzekę. Obserwował suczkę i czekał. Nagle pies podniósł wzrok i spojrzał mu w oczy.

To był ich sygnał. Creed wiedział, że pies nie usiłuje określić kierunku, w którym powinni teraz pójść, nie oczekuje też na jego polecenia. Grace mówiła mu, że znalazła cel. Że dokładnie wie, gdzie on się znajduje, ale nie chce podchodzić bliżej.

Coś było nie tak.

– O co chodzi? – spytał szeryf.

On i Tabor byli zdyszani i trzymali się w bezpiecznej odległości.

– Myślę, że ona jest w wodzie – oznajmił Creed.

– Co ma pan na myśli, mówiąc, że jest w wodzie? – spytał trochę bezmyślnie Tabor.

Ale Wylie od razu zrozumiał ten prosty przekaz.

– O kurde – zaklął cicho.

– Grace, zostań – powiedział Creed do psa i puścił smycz.

Nie musiał nawet wydawać tego polecenia. Suczka była wystraszona, patrząc na nią, Creed poczuł ucisk w żołądku.

Trzymając się gałęzi, żeby się nie pośliznąć, brnął gliniastym błotnistym brzegiem. Nie wiedział, że Wylie, starszy już mężczyzna, podąża jego śladem, dopóki nie usłyszał, że z głośnym sapnięciem wstrzymał oddech w tym samym momencie, kiedy sam dojrzał ciało dziewczyny.

Oczy miała otwarte, wyglądała, jakby patrzyła w niebo. Jej kurtka, wciąż zapięta, wyduła się jak balon, dzięki czemu górna połowa ciała unosiła się na powierzchni wody, podczas gdy dolna sięgała piaszczystego dna. W tym miejscu rzeka Blackwater liczyła sobie zaledwie jakiś metr głębokości. Woda, choć miała kolor herbaty, była czysta. Nawet

w blaknącym słońcu Creed widział, że kieszenie kurtki dziewczyny są czymś obciążone.

– A to skurwiel – rzekł Wylie za jego plecami. – Mamy myśleć, że napchała sobie do kieszeni kamieni i weszła do rzeki.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Creed trzymał suczkę na smyczy, choć zamienił tę, której używali do pracy, na smycz zwijaną, dającą psu więcej swobody. Cofnął się z Grace na polanę, jakieś trzy metry od rzeki, gdzie mogła cieszyć się nagrodą. Przygryzała różowego słonika, a ten nieubłaganie piszczał, wydając dźwięk, który brzmiał obco pośród brzęczenia insektów i cichego szumu wody.

Z tego miejsca nadal widział zanurzone w rzece ciało. Jego zadaniem była pomoc w odnalezieniu tego, czego akurat poszukiwano, i to wszystko. Nie brał udziału w śledztwie, po zakończeniu akcji poszukiwawczej zabierał psa i trzymał się z boku do chwili, gdy trzeba było odnaleźć coś jeszcze.

Były żołnierz piechoty morskiej i właściciel firmy K9, po opuszczeniu armii został dyplomowanym treserem i przewodnikiem psów. Hanna Washington zajmowała się biurem, Ryder Creed szkolił psy. Po siedmiu latach wyętej i mądrze pomyślanej pracy ich biznes z siedzibą w zachodniej Florydzie był wart wiele milionów dolarów. Za wysoką jakość tresury i równie wysoki procent udanych poszukiwań prowadzonych przez ich psy zyskali ogólnokrajową renomę. Osiągnęli to, ratując skazane na śmierć bezpańskie psy i zamieniając je w bohaterów.

Patrząc na Grace, która podrzucała zabawkę i podskakiwała, by złapać ją w locie, Creed nie pojmował, jak ktoś mógł wyrzucić tak inteligentnego i pełnego życia zwierzaka. Nie pojmował, ale i w jakimś sensie, tym nieakceptowalnym, pojmował. Na własne oczy widział tyle zła, że wystarczy do końca jego dni.

Spojrzał znów na ciało młodej kobiety. Choć nie brał udziału w śledztwie, nie mógł nie zadać sobie pytania, co się tutaj wydarzyło. Kołysząc się na powierzchni wody, dziewczyna wyglądała niemal jak dziecko, niezależnie od wydętej niczym balon kurtki.

Szeryf Wylie napomknął wcześniej, że zdaniem rodziny mogła zabłądzić. Czy to możliwe, by nocą wybrała się na samotny spacer do lasu, a potem zgubiła drogę? Nie mógł tego całkowicie wykluczyć, przecież ludzie gubią drogę. To nie byłoby odosobnione zdarzenie, właśnie w takich przypadkach często wzywano na pomoc Creeda i jego psy.

Park Narodowy Conecuh zajmuje trzysta czterdzieści kilometrów kwadratowych między miastem Andalusia w stanie Alabama a granicą stanu Floryda. Liczący trzydzieści pięć kilometrów szlak turystyczny cieszy się popularnością wśród miłośników pieszych

wędrówek, głównie w miesiącach zimowych i wczesną wiosną. Ale szlak znajduje się w północnowschodniej części parku narodowego, a nie tam, gdzie właśnie dotarli. Prawdę mówiąc, od dłuższego czasu nie natknęli się na nic, co przypominałoby szlak.

Jeśli Izzy Donner wybrała się na spacer do lasu, czemu tak bardzo oddaliła się od szlaku? Czy sama wypchała sobie kieszenie kamieniami i z własnej woli weszła do rzeki?

Creed przeniósł wzrok na szeryfa Wyliego i agenta Tabora. Rozmawiali przez telefony komórkowe, stojąc na brzegu. Żaden nie zbliżył się do ciała. Machając rękami, szeryf mówił coś z ożywieniem. Przesunął kapelusz na tył głowy, a potem znów naciągnął go na czoło. Agent Tabor z kolei zachowywał się spokojnie i raczej słuchał, niż mówił.

Zbliżał się zmierzch. Porośnięte mchem zwisające gałęzie rzucały długie cienie. Creed wyjął GPS i zapisał współrzędne. Ułatwi to zespołowi ratowników trafienie do tego miejsca, kiedy dotrą tu piechotą czy łodzią.

Sięgnął do niewielkiego plecaka po składaną miskę i napełnił ją wodą, po czym wyjął latarkę i przypiął do paska. Grace natychmiast się zbliżyła, usiadła, odłożyła zabawkę i cierpliwie czekała. Creed przykucnął, by się upewnić, że w pobliżu nie ma mrówek ognistych, a następnie postawił miskę na ziemi. Zanim się wyprostował, jakieś półtora metra dalej, pod mizernym krzewem cyprysa, dojrzał coś rudawego.

Zostawił Grace i podszedł tam. Zapadający zmierzch utrudniał widzenie, więc Creed zapalił latarkę i postawił stopę na sosnowych igłach tuż przy cyprysie.

To był martwy rudzik. Ptak leżał brzuchem do góry. To jego czerwona pierś przyciągnęła uwagę Creeda. Nie widział żadnych śladów wskazujących na to, że ptak został zaatakowany, wyglądał jak nietknięty. Za plecami Creed usłyszał trzask gałęzi, a gdy się odwrócił, zobaczył Grace. Podskakiwała i machała ogonem, dumna, że coś mu przyniosła. Kiedy ujrzał swój prezent, żołądek podszedł mu do gardła.

To był kolejny martwy rudzik.

– Daj mi go, Grace – powiedział bez emocji, wyciągając rękę, a suczka wypuściła ptaka na jego otwartą dłoń.

– Wydawało mi się, że pańskim psom nie wolno brać do pyska martwych szczątków.

Szeryf Wylie szedł przez polanę, klepiąc się po twarzy atakowanej przez komary. Gałązki kudzu oplatały nogawki spodni. Wyglądał jak aktor ze starej niemej komedii, który uderza się w twarz, zostawiając na niej czerwone ślady.

– One znają różnicę – odparł Creed – między martwym zwierzęciem a martwym

człowiekiem. Nie są szkolone do poszukiwania zapachu martwych zwierząt, więc to nie jest zakazane. Grace zobaczyła, że zainteresowałem się tym ptakiem, więc przyniosła mi drugiego. – Wyjął z plecaka dwa plastikowe woreczki i schował do nich ptaki.

Zachował spokój, wykonywał wszystkie ruchy bez zbędnego pośpiechu. Nie chciał karać Grace za zrobienie czegoś, co było jej drugą naturą, ale nie chciał także, by dostrzegła jego niepokój.

Prawdę mówiąc, martwe ptaki obudziły w nim niedobre przeczucia, dlatego był zły, że jeden z nich znalazł się w pysku Grace.

*DWA DNI PÓŹNIEJ*

**PONIEDZIAŁEK**



## ROZDZIAŁ CZWARTY

### *Chicago*

Kiedy samolot z agentką FBI Maggie O'Dell na pokładzie zaczął schodzić do lądowania, pas startowy lotniska O'Hare International pokrywała cienka warstwa śniegu. Maggie opuściła Waszyngton w pełnym słońcu, ale słońce czy śnieg, to bez znaczenia. Po prostu nie zносиła latać. Jeżeli jednak musiała lądować na śniegu, to tylko dziękować Bogu, że chodziło o lotnisko, na którym takie lądowanie nie było niczym nadzwyczajnym. Prawdę mówiąc, trudno byłoby wybrać do tego lepsze miejsce niż Chicago.

Gdy samolot kołował, patrzyła na załogę naziemną. Niektórzy byli w cienkich kurtkach i bez nakrycia głowy, zaskoczeni niespodziewanym marcowym śniegiem, tym ostatnim podrygiem zimy. Maggie zostawiła za sobą nie tylko słoneczne niebo, ale i ciepłą pogodę. Wschodnie Wybrzeże już od paru tygodni cieszyło się wiosną.

Wyglądając przez okno, nagle poczuła chłód. Pociągnęła suwak swetra, świadoma, że to uczucie nie ma nic wspólnego z temperaturą powietrza. Chodziło o jej zadanie. Wiele miesięcy temu sprawa została zawieszona. Nie było żadnych dowodów czy tropów, żadnych śladów materialnych, żadnych śladów cyfrowych. Kompletnie nic.

Zupełnie jakby będąca przedmiotem śledztwa doktor Clare Shaw po prostu gdzieś się rozplynęła. Jakby została pogrzebana w lawinie błotnej w Karolinie Północnej, która zniszczyła kierowany przez nią ośrodek badawczy. To było ostatnie miejsce, gdzie widziano ją żywą. Mieli jednak istotny powód, by wierzyć, że doktor Shaw nie tylko uniknęła śmierci, ale, co bardzo prawdopodobne, zamordowała kilka osób, by ukryć własną ucieczkę.

Agentka specjalna FBI Maggie O'Dell miała jasno wyznaczone zadanie: odnaleźć Shaw. Jednak po pięciu miesiącach zaczęła odnosić wrażenie, że ściga ducha.

Aż do tej pory.

Detektyw Lexington Jacks umówiła się z O'Dell w miejscu odbioru bagażu. Maggie wypatrzyła ją z drugiego końca terminalu, bo w tym tłumie Jacks była jedyną kobietą bez torebki czy walizki. Poza tym wyglądała na glinę, miała na sobie prochowiec i spodnie, stała na lekko rozstawionych nogach z opuszczonymi po bokach rękami. Rozglądała się bacznie, przypatrując się wszystkim i wszystkiemu, a jednak nie dostrzegła agentki FBI.

W końcu jednak ją zobaczyła. Spotkała się z nią wzrokiem, lecz dla pewności pozostała

na miejscu. Dopiero kiedy Maggie skinęła głową, Jacks ruszyła ku niej przez tłum. Wtedy ona też zaczęła iść.

Detektyw Jacks była wysoka i poruszała się pewnym krokiem. Włosy ściągnęła z tyłu głowy, podkreślając gładką brązową skórę z niewielką, ledwie widoczną jasną blizną na górnej części lewego policzka. Z bliska Maggie przekonała się, że Jacks jest od niej starsza, najpewniej była już dobrze po czterdziestce. W kącikach żywych oczu widniały zmarszczki.

Spotkały się w połowie drogi.

– Detektyw Jacks – powiedziała O’Dell.

– Agentko O’Dell, proszę mi mówić Lexi. Ma pani więcej bagażu? – Wskazała taśmociąg bagażowy.

– Nie, to wszystko.

– Nie ma pani płaszcza?

– W podręcznym bagażu.

– Przyda się pani. – Jacks przystanęła i splótła ramiona na piersi, jakby się spodziewała, że agentka FBI otworzy torbę na kółkach i wyjmie płaszczy.

Maggie niemal się uśmiechnęła. Nie pamiętała, kiedy ostatnio jakiś funkcjonariusz przejmował się jej samopoczuciem.

Kiedy nie wykonała żadnego ruchu, Jacks powiedziała:

– Okej, jak pani chce. Musimy się śpieszyć. Są już gotowi, by zająć się pokojem. Jak rozumiem, czekają już tylko na panią. – Jacks schowała ręce do kieszeni i odwróciła się, by poprowadzić O’Dell.

– Udało wam się utrzymać sprawę w tajemnicy przed przyjazdem CDC? – spytała Maggie, usiłując dotrzymać kroku zwawo maszerującej pani detektyw. CDC, czyli Centrum Kontroli i Prewencji Chorób, to rządowa agencja zajmująca się w możliwie wszechstronny sposób rozpoznawaniem, zapobieganiem, monitorowaniem i zwalczaniem chorób.

– Kierownictwo hotelu miało dość rozumu – odparła Jacks – żeby zamknąć pokój, gdy tylko odkryli, że ofiara jest jednym z gości.

– Ekipa sprzątająca tam nie wchodziła?

– Tak twierdzi kierownictwo hotelu.

– A policja?

– To nie pierwszy tego typu samobójca, z którym mają do czynienia. Oczywiście

odgradziliśmy pokój taśmą, ale w takich przypadkach zwykle nie trzeba się śpieszyć z oględzinami pomieszczenia. Na szczęście, ponieważ nasi technicy z pewnością by się nie domyślili, że miejsce może być gorące.

„Gorące” rozumiała jako „przypuszczalnie skażone śmiertelnym wirusem”. Koroner podczas autopsji odkrył, że organy wewnętrzne denata zaczęły krwawić kilka dni przed jego upadkiem na chodnik.

Detektyw prowadziła O’Dell przez tłum do wyjścia od frontu. Było naprawdę zimno, szczęśliwie nie musiały iść daleko. Obok ciemnoniebieskiego sedana stał ochroniarz z lotniska. Na widok Jacks otworzył dla O’Dell drzwi od strony pasażera, wziął od niej torbę na kółkach i umieścił w bagażniku.

– Dziękuję, Carl. – Jacks nagrodziła go szerokim uśmiechem, a potem wsiadła do samochodu.

Gdy tylko sedan wyjechał spod zadaszenia, przednią szybę ozdobiły duże mokre płatki śniegu.

– Czy ktoś go widział, jak skoczył? – spytała O’Dell.

– Nie, ale kilka osób widziało, jak spadł na chodnik. Raczej nikt go nie dotykał. – Jacks nacisnęła przycisk, włączając ogrzewanie. – Spadł twarzą na ziemię z osiemnastego piętra. Widziała pani człowieka po takim upadku?

Widziała ciała na różnym etapie rozkładu, wyłowione z wody i wykopane spod ziemi, a także torturowane i rozczłonkowane, ale nie, efektu takiego upadku nie widziała.

– Nie. – Potrząsnęła głową.

– W sumie nie wyglądał tak źle – dodała Jacks. – No, tak na oko, bez autopsji. Zresztą nie wiem, czego się spodziewałam. Koroner stwierdził, że w środku to był jeden wielki krwotok, zamiast płuc krwawa masa.

– Jaki strój ochronny miał na sobie koroner?

– Najwyraźniej niewystarczający. – Jacks skrzywiła się. – CDC umieściło go w izolatce.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Nikt nie zwracał uwagi na agentkę O'Dell ani detektyw Jacks, gdy weszły do ogromnego luksusowego hotelowego holu. Przyjezdni czekali w kolejce, żeby się zameldować, boye hotelowi pchali wyładowane bagażami wózki, goście w biznesowych strojach w małych grupkach uzgadniali jakieś plany. Poza policjantem, który krążył po holu, nic nie wskazywało na to, że wydarzyło się coś złego. Czterogwiazdkowy hotel na Michigan Avenue to dość nietypowy wybór dla człowieka, który chce popełnić samobójstwo.

Jacks wyjaśniła, że całe osiemnaste piętro zostało ewakuowane i zamknięte. Można się tam dostać wyłącznie windą, dysponując specjalną kartą magnetyczną. Kiedy drzwi windy się otworzyły, jeden ze stojących na korytarzu policjantów skinął im głową. Detektyw Jacks poprowadziła Maggie za róg. Wszystkie przejścia były zagrodzone taśmą. Jakiś metr dalej z sufitu zwieszała się gruba, sięgająca podłogi foliowa zasłona.

Na wózku z nierdzewnej stali znajdowały się pudełka z lateksowymi rękawiczkami i maskami chirurgicznymi. Poza tym stos ochronnych kombinezonów marki Tyvek, każdy z nich zamknięty w osobnym plastikowym worku. Na dolnej półce stały sztywne kaptury z plastikowymi osłonami na twarz.

Na ten widok Maggie zawahała się. Kilka lat wcześniej znalazła się na oddziale zamkniętym w Fort Detrick. Zarazona wirusem eboli wylądowała w izolatce, tak zwanej ciupie. To był klaustrofobiczny koszmar, dlatego patrząc na kombinezony, zdała sobie sprawę, że włożenie tego stroju na nowo przywoła tamte wspomnienia.

– Coś nie tak? – spytała Jacks.

O'Dell powstrzymała grymas złości. Jej pełna lęku reakcja na traumatyczne przeżycia okazała się tak bardzo tak oczywista, że nawet obcy ją dostrzegają.

– Nie, w porządku. – Dotknęła sterty kombinezonów, udając, że to one są powodem jej niezadowolenia. – Nigdy nie pomyślą o tym, że jeden rozmiar nie wszystkim pasuje.

Jacks uśmiechnęła się, po czym powiedziała:

– Dam im znać, że pani już jest. – Wyjęła telefon komórkowy.

– Nie pójdzie pani ze mną?

– Nie wolno mi. Wie pani, jacy są ci z CDC. Zawsze same tajemnice, tylko specjalne zaproszenia, chociaż my tu na miejscu powinniśmy wiedzieć, co się, do diabła, dzieje.

Maggie czuła na sobie wzrok czekającej na jej reakcję rozgoryczonej Jacks. Ale czy

naprawdę rozgoryczonej? Wątpiła, by detektyw szczerze przejmowała się tym, że nie do wszystkiego jest dopuszczana. Miała za sobą odpowiednio długi staż, by przywyknąć do tego, że różne agencje i służby nie zawsze są skore do współpracy z innymi agencjami oraz służbami, i często strzegą swoich tajemnic, nawet jeśli procedury tego nie nakazują. Choć niektórych funkcjonariuszy drażni to aż do emerytury.

– Wysyłamy naszych policjantów – mówiła dalej Jacks – żeby zabezpieczyli miejsce, organizujemy pomoc, pilnujemy. Wie pani, staramy się robić wszystko, żeby obecność CDC nie wyszła na jaw.

– Nie chcecie wzbudzać paniki. – Gdy Jacks znów spojrzała na nią podejrzliwie, O’Dell dodała: – Ludzie za nic w świecie nie mogą się dowiedzieć, że coś im zagraża.

Rozpoznając ironię w jej głosie, Jacks uniosła kącik warg w półuśmiechu.

– Nie chcą nam nawet wyjawić, o co chodzi – dodała. – Zachowują się, jakby to była rutynowa kontrola.

– Ale koroner już wam powiedział.

– Zgadza się.

– Hej, Maggie! – zawołała jakaś zakapturzona postać z końca korytarza.

Spodziewała się Rogera Bixa, jednego z dyrektorów w CDC, który prosił o jej przybycie, zanim jednak mężczyzna zdjął kaptur, O’Dell po głosie rozpoznała pułkownika Benjamina Platta.

– Ben?

Platt nie pracował w CDC. Był szefem USAMRIID, wojskowego instytutu chorób zakaźnych. Był lekarzem, który trzymał ją w Fort Detrick na kwarantannie po jej kontakcie z wirusem eboli. Zaprzyjaźnili się... a nawet więcej niż zaprzyjaźnili.

Maggie nie końca rozumiała swoją reakcję. Zdenerwowała się, bo Ben nie uprzedził jej o swojej obecności, a może z całkiem innego powodu? Jego obecność dowodziła, że sprawa jest o wiele poważniejsza.

– Kunze nie wspominał, że tu będziesz – oznajmiła.

Zastępca dyrektora Raymond Kunze był jej szefem w FBI.

Zamiast jej odpowiedzieć, Platt z uśmiechem zwrócił się do Jacks:

– Dziękuję, że bezpiecznie przywiozła pani agentkę O’Dell.

Jacks przeniosła wzrok z Platta na agentkę FBI i zrozumiała, że powinna odejść.

– Proszę dzwonić, gdybym mogła w czymkolwiek pomóc albo gdyby miała pani jakieś

pytania, na które mogę opowiedzieć. – Podała O'Dell wizytówkę.

– Chciałabym zobaczyć raport z autopsji.

Jacks gwałtownie przeniosła wzrok na pułkownika, i to on odpowiedział:

– Zdobędę dla ciebie kopię.

Agentka FBI i policyjna detektyw wymieniły się spojrzeniami, w których echem odbiła się irytacja na rządowych biurokratów, o czym wcześniej rozmawiały. O ironio, Jacks postrzegała O'Dell jako sojuszniczkę, choć przecież nosiła federalną odznakę. Maggie widziała, że detektyw Jacks doskonale zdawała sobie sprawę, czym się zajmuje Platt i co konkretnie robi w tej sprawie. Jednak po raz kolejny, tym razem przez niego, została odsunięta, choć on i CDC skwapliwie korzystali z pomocy jej wydziału, i choć policja z Chicago chroniła ich i dbała o to, by ich działania nie wyszły jaw.

Maggie chciała mu przypomnieć, że na dłuższą metę takie postępowanie tylko utrudni działania. Pracowała z wieloma przedstawicielami lokalnych sił ochrony porządku publicznego i wiedziała, że prężenie federalnych muskułów i nadużywanie stanowisk działało im na nerwy, ale nieraz również narażało na niebezpieczeństwo w sytuacji, kiedy człowiek potrzebował fachowej pomocy czy ochrony.

Jacks uśmiechnęła się do O'Dell i skinęła głową Plattowi, potem zakręciła się na pięcie i odeszła. Platt odprowadzał ją wzrokiem, czekając, aż się oddali, aż drzwi windy się za nią zamkną.

– Chyba ją znaleźliśmy – rzekł w końcu.

Maggie od razu się domyśliła, że mówił o doktor Clare Shaw, naukowcu i szalonej kobiecie, której poszukiwała od wielu miesięcy.

Przerażenie niczym klamra ścisnęło jej żołądek. Kiedy Shaw zniknęła, uważali, że zabrała z centrum badawczego, w którym pracowała, zaizolowaną kasetkę, w której prawdopodobnie znajdowały się co najmniej trzy śmiertelne wirusy.

– Bix osobiście sprawdza wyniki badania krwi, dlatego prosił, żebym mu pomógł i zajął się pokojem.

Roger Bix był dyrektorem wydziału chorób zakaźnych w CDC. Nie pierwszy już raz współpracował z Plattem przy trudnych sprawach, w równym stopniu niebezpiecznych, co przerażających. Maggie też była taką „sprawą”, gdy okazało się, że miała kontakt z wirusem eboli.

– Nawet jeśli ten człowiek, który skoczył z balkonu, był zarażony jednym z wirusów

skradzionych przez Shaw, skąd pewność, że wirus pochodzi właśnie od niej? Przecież mógł się nim zarazić w wielu różnych okolicznościach. – Zaczęła wkładać ochronny kombinezon, starając się ukryć wahanie.

– Wiem, Maggie, że to nie jest dla ciebie łatwe.

Podniosła na niego wzrok. Gdzieś zniknął biurokrata, który w niegrzeczny i pozbawiony szacunku sposób odprawił detektyw Jacks. Platt patrzył na Maggie łagodnymi brązowymi oczami. Zdjął kaptur, kosmyki krótkich włosów sterczały na wszystkie strony. Ten człowiek zdobył jej przyjaźń, a nawet kawałek serca.

– Nie musisz tego robić – kontynuował. – Wiem, że prowadziłaś śledztwo w sprawie Shaw, ale zastępca dyrektora Kunze może przysłać tu kogoś innego.

– Nie trzeba, w porządku. – Sięgnęła po kaptur i rękawiczki. – Już tu jestem, więc nie traćmy czasu. – Gdy to mówiła, czuła na sobie jego baczny wzrok. – Ben, nie odpowiedziałeś na moje pytanie. – Podwinęła mankiety kombinezonu, a potem dokładnie i ciasno zapięła paski wokół kostek i nadgarstków. – Skąd możesz wiedzieć, że wirus znaleziony w organizmie tego mężczyzny ma cokolwiek wspólnego z doktor Clare Shaw?

– Z próbek, które koroner dostarczył CDC. Bix już stwierdził, że młody mężczyzna był zarażony ptasią grypą. Sprawdzał to skrupulatnie, powtarzając niektóre testy, i nadal to robi, ale tak czy inaczej już jest przekonany, że to nowy szczep wirusa. Takiego jeszcze nie znaliśmy.

– Co to ma wspólnego z Shaw?

– Wiemy, że zanim lawina błotna zniszczyła jej laboratorium, właśnie nad tym pracowała.

– Chwileczkę. Jeśli do tej pory nie znano tego szczepu, to jak mogła nad nim pracować?

– Pomogła go stworzyć.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

*Pensacola, Floryda*

– Co takiego wyjątkowego jest w tym cholernym psie?

Starszy mężczyzna urządził zasadzkę na Creeda i Jasona. Wyskoczył do nich, gdy tylko przeprowadzili psy przez drzwi zabezpieczające i weszli do ośrodka opieki dla seniorów. Creed rozpoznał mężczyznę, rozmawiali ze sobą podczas poprzedniej wizyty w ośrodku. Starzec wypytywał go wówczas, jak się tu dostał. Creed wskazał drzwi, ale nie wspomniał, że zna kod.

– Te drzwi są stale zamknięte – ze złością rzucił mężczyzna dodatkowo rozdrażniony spokojem Creeda.

Z początku sądził, że starzec niepokoi się o bezpieczeństwo, boi się, że ktoś może bez trudu się tu włamać, ale po chwili powiedział:

– Jak będzie pan wychodził, proszę mi dać znać, żebym mógł się z panem wydostać z tego piekła.

Tamten incydent zapisał mu się w pamięci. Creed nie był w stanie sobie wyobrazić, żeby ktoś przetrzymywał go gdzieś wbrew jego woli i jeszcze wmawiał mu, że to jego nowy dom. Tego dnia wcale by tam nie poszedł, gdyby nie nalegania Hanny. Jakimś cudem – i zresztą jak zawsze – zdołała go przekonać, że dla psów to cenna okazja do nauki.

A zatem Creed wziął ze sobą Jasona. Ale już zauważył, że starzec zdążył go zdenerwować, bo chłopak był bardzo spięty. Podczas jazdy wyznał Creedowi, że niedawno jego dziadek został umieszczony w tym właśnie ośrodku. Przyznał, że jeszcze go nie odwiedził, ale nie wyglądało na to, by właśnie z powodu wyrzutów sumienia przenosił ciężar ciała z nogi na nogę.

Gdy tylko starzec się oddalił, Jason wyznał cicho:

– Nie czuję się swobodnie ze starymi ludźmi.

– Czemu? – spytał Creed.

To jednowyrazowe pytanie zaskoczyło Jasona, jakby się nie spodziewał, że kiedykolwiek będzie się musiał z tego tłumaczyć.

– Co znaczy czemu?

– Co takiego drażni cię czy peszy w starych ludziach?

Jason zastanowił się przez chwilę, aż wreszcie odpowiedział:



– Mówią głupoty i uchodzi im to na sucho. W kółko powtarzają oczywistości, no i nie znają żadnych hamulców, zupełnie jakby dostali pozwolenie na niegrzeczne uwagi i postęпки oraz na wprawianie innych w zakłopotanie. A wszystko to tylko dlatego, że są starzy. Stawiam dziesięć dolców, że nie minie piętnaście minut, a jeden z nich wskaże mnie palcem i powie coś w stylu: „O, patrzcie, temu gościowi brakuje pół ręki”.

– Z dziećmi jest tak samo. Może tak powinieneś na to patrzeć. Spróbuj zrozumieć, że oni znów są dziećmi.

– Tak, a jeden z tych dzieciaków nauczył mnie jeździć na rowerze. Kiedy się wywaliłem, wziął mnie na ręce i zaniósł do domu. Ciężko myśleć o nim jak o dziecku. Był dla mnie wzorem.

Creed nie potrafił na to odpowiedzi. Z tamtego pokolenia znał tylko babcię, która zmarła, gdy był nastolatkiem. Stało się to tuż po zaginięciu Brodie, jego siostry. Uważał, że babcię zabiła niewiedza o tym, co się stało z wnuczką. Lata później z tego samego powodu jego ojciec popełnił samobójstwo. Tak sądził Creed, sądził na sto procent. Zaginięcie Brodie w taki czy inny sposób po kawałku zabijało ich wszystkich.

Gdy czekali na dyrektorkę ośrodka, Creed przykucnął, żeby znaleźć się oko w oko z psami. Grace nie potrzebowała jego otuchy, była profesjonalistką i niecierpliwie czekała na rozpoczęcie pracy. Już zaczęła wciągać w nozdrza powietrze. Ale dla Molly był to egzamin, po raz pierwszy miała się sprawdzić poza terenem szkolenia, dlatego Creedowi zależało, żeby zakodował się w niej jako pozytywne doświadczenie.

Podrapał ją za uszami i pochwalił. Molly popatrzyła na przytupującą stopę Jasona i podkurczyła pod siebie ogon.

Creed podniósł wzrok na Jasona i z rozczarowaniem zobaczył, że jego uczeń nerwowo rzuca wzrokiem dokoła i przygląda się korytarzom, które prowadzą do pokoi. Patrzył wszędzie, tylko nie tam, gdzie powinien, czyli na swojego psa. Tak był przejęty i zakłopotany, że nie zwracał uwagi na Molly.

Jedną ręką Creed wciąż głaskał psa, a drugą położył na stopie Jasona. Potem przechylił się i nacisnął na palce jego stopy tak mocno, że aż przyszpilił je do podłogi.

Przytupywanie ustało.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Creed zerknął do góry i przekonał się, że Jason powściągał grymas bólu.

– Pies wyczuwa twoje emocje – przypomniał chłopakowi, po czym zdjął rękę z jego stopy.

Jason kiwnął głową, przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i całą uwagę skierował na Molly, zaciskając przy tym palce na smyczy.

Dla Jasona i Molly to miał być sprawdzian ich umiejętności. Jason zaczął pracować z Creedem i psami jakieś siedem miesięcy wcześniej. Kiedy chłopak nie był tak bardzo skupiony na sobie, ujawniał cechy, które pozwoliły Creedowi stwierdzić, że będzie z niego dobry przewodnik psów. Wyglądało na to, że szczerze je lubił, a kiedy z nimi trenował, chętnie go słuchały.

Creed starał się dawać mu trochę luzu. Rok wcześniej Jason był w Afganistanie, i właśnie tam jego życie wywróciło się do góry nogami. Wybuch miny pułapki pozbawił go prawego przedramienia. Dla dwudziestojednoletniego chłopaka, który ledwie wkraczał w dorosłość, była to prawdziwa tragedia, a także powód, by skupić się na sobie, na własnym nieszczęściu. Ale każdy, kto chciał zostać dobrym przewodnikiem psów w K9, nieustannie musiał wykraczać poza swój prywatny świat, w tym poza przyzwyczajenia i wygodę, ponieważ stale musiał myśleć o psie, który był w tym wszystkim najważniejszy. Dlatego w pracy przewodnik powinien być stabilny psychicznie, natomiast Jason wciąż był przewrażliwiony. Creed nie bardzo wiedział, jak go ustabilizować.

Ośrodek opiekuńczy dla osób w podeszłym wieku także wykraczał poza sferę prywatnego komfortu, ale tym razem Creeda. Podobnie jak cel ich poszukiwań. Ostatnio Hanna go przekonała, że do listy oferowanych usług powinni dołączyć wykrywanie na podstawie zapachu infekcji i chorób. Kilka lat wcześniej dołączyła do tej listy poszukiwania związane z katastrofami naturalnymi, a także narkotykami i materiałami wybuchowymi. Wszystko to Creed rozumiał, choć nigdy się nie śpieszył z poszukiwaniem materiałów wybuchowych. Podobnie jak Jason, Creed przeżył eksplozję w Afganistanie. Był wtedy żołnierzem piechoty morskiej i pracował z psem. Ten jeden raz, gdy nie posłuchał swojego psa, o mały włos obaj nie zginęli. To była trudna lekcja, która go nauczyła, jak ważne jest stawianie na pierwszym miejscu psa i jego instynktu.

Lecz Creed szanował także instynkt Hanny. Wcześniej nauczył się, że jego partnerka

biznesowa ma dobrego nosa i potrafi ocenić, co jest dobre nie tylko dla firmy i psów, ale również dla niego.

Zasadniczo procedura była taka sama. Wiedział, że psy wywęszą niemal wszystko, o ile tylko wymyśli odpowiedni sposób komunikowania się z nimi. Korzystał z rozmaitych technik, które zawierały różne słowa i zdania. „Ryba” oznaczała narkotyki. Mógł zatem w środku tłumu na lotnisku nakazać swojemu psu:

– Szukaj ryby! – nie ryzykując przy tym, że handlarze narkotyków czy przemytnicy popędzą do wyjścia.

Zależnie od zadania zmieniał też obroże i szelki, a także kamizelki, by wielozadaniowe psy od pierwszej chwili wiedziały, czego mają szukać. Jednak kwestie medyczne wymagały od Creeda nowego poziomu kreatywności, musiał znaleźć słowa i frazy, które nie zaalarmują pacjentów czy mieszkańców tego typu ośrodków. Nie mógł przecież polecić psu:

– Szukaj raka!

Ten ośrodek opiekuńczy zgodził się ich wpuścić i przetestować psy. Dla zwierząt i treserów to była niepowtarzalna, wprost bezcenna okazja. Jednak gdy Creed się wyprostował, wciąż poklepując Molly i Grace, dostrzegł, że Jason nadal jest usztywniony, psychicznie skrępowany.

– Znamy zasady – powiedział Creed, intensywnie patrząc w oczy Jasonowi, by utrzymać jego uwagę. – Wbrew pozorom, to się tak bardzo nie różni od innych poszukiwań.

– Jestem gotowy – odparł Jason, choć wyraz jego twarzy oznajmiał co innego.

– Psy wyczują, że nie jesteś.

Tym razem na twarzy Jasona pojawiło się zdumienie. O tym nie pomyślał. Spojrzał na psy, potem lekko się pochylił i dał im rękę do obwąchania, po czym po kolei podrapał je za uszami.

– Jak dotąd psy obwąchiwały tylko próbki w pojemnikach. – Jason znów się rozejrzał. – Nie ludzi.

Creed powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem. Kilku mieszkańców ośrodka siedziało na kanapie w odległym kącie sali. Patrzyli na psy, nie na ekran dużego telewizora. Po drugiej stronie przestronnego pomieszczenia dwóch starszych mężczyzn grało w karty. Mijając staruszkę, która poruszała się z pomocą chodzika, pracownica ośrodka posłała jej uśmiech. Creed uznał, że wszyscy są dość daleko, więc ich nie słyszą.

– Obejdziemy ośrodek z Grace i Molly.

– Wchodzimy do pokoi?

– Nie, chyba że nas zaproszą. Mieszkańcy sądzą, że to są psy używane do dogoterapii.

Przywykli do wizyt takich psów.

– Jak ten gość, który napadł na nas przy drzwiach?

– On ma inny cel – odparł Creed, oglądając się przez ramię na mężczyznę, który wciąż stał obok drzwi. – Dla Molly to pierwszy raz, więc oczekuję, że będzie tylko obserwować. Ale Grace wie, po co przyszliśmy.

– Dzięki obroży?

– Tak. Na podstawie zapachu powietrza powinna nam wskazać, czy jest tu ktoś z *Clostridium difficile*, a jeśli tak, to da nam znak, która to osoba. Położy się przed nią albo w drzwiach jej pokoju.

– Już to robiła?

– Dwa razy w zeszłym tygodniu.

– I obaj ci ludzie są zarażeni tą bakterią? – spytał Jason.

– Tak.

*Clostridium difficile* to bakteria, którą łatwo się zakazić przez dotyk zakażonych powierzchni. Najłatwiej rozprzestrzenia się w szpitalach lub w ośrodkach opieki. Z tego, co Creed przeczytał w tej kwestii, wynikało, że to wyjątkowo paskudna bakteria, ponieważ z początku nie powoduje żadnych objawów. Uwalniane przez nią toksyny atakują śluzówkę jelit, a choroba, którą wywołują, może być śmiertelna, jeśli nie zostanie wykryta we wczesnym stadium, zwłaszcza u osób z osłabionym układem odpornościowym. Diagnostyka jest kosztowna i powolna. W badaniach i testach, o których czytał Creed, psy były zdolne wykryć *Clostridium difficile* ze stuprocentową czułością i dziewięćdziesięciosześciprocentową dokładnością. Na dodatek potrafiły odkryć zakażenie w bardzo wczesnym stadium, szybciej niż wszelkie dostępne testy laboratoryjne. To samo dotyczyło niektórych rodzajów raka.

– Rozumiem, że psy, posługując się węchem, potrafią odkryć ciało zmarłego czy narkotyki. – Jason mówił spokojnie i niemal szeptem, gdyż kilku mieszkańców domu opieki podeszło do nich bliżej. – Nawet materiały wybuchowe. To wszystko ma swój bardzo konkretny zapach. Ale infekcje, rak i tym podobne? Według mnie to wszystko pachnie prawie tak samo.

– Chcesz powiedzieć, że chory człowiek po prostu pachnie jak chory człowiek. – Wyczytał w spojrzeniu Jasona pytanie: „Żartujesz sobie ze mnie?”. Jednak Creed mówił dalej z autentyczną powagą: – Doskonale wiesz, że psy rozróżniają zapachy. Proszę cię, nigdy o tym nie zapominaj. Weźmy na przykład potrawkę z duszoną wołowiną. Ty czujesz zapach duszonej wołowiny, natomiast psy potrafią rozróżnić różne warstwy tego zapachu. Czują wołowinę, marchew, ziemniaki, cebulę, po prostu każdy ze składników osobno. Więc dla Grace, i mam nadzieję, że również dla Molly, cukrzyca pachnie inaczej niż rak, a rak płuc inaczej niż rak prostaty, ponieważ każda z tych chorób powoduje w zaatakowanym organizmie inne reakcje. Układ odpornościowy uwalnia różne mechanizmy, by zwalczyć chorobę albo jakoś ją zrównoważyć.

– Wygląda mi na to, że o wiele łatwiej szukać ciał zmarłych ludzi.

– Ale zwłoki też mają inny zapach na każdym etapie rozkładu.

– Okej, rozumiem. – Jason milczał przez chwilę. – Tylko to wydaje się...

– Zbyt niewiarygodne?

– No, coś w tym stylu.

– Dla psa to część jego natury, jedna z podstaw egzystencji, ponieważ świat otaczający psa w ogromnej mierze oparty jest na zapachach. Powiem jeszcze mocniej: to podstawa psiego życia, po prostu psi świat jest światem zapachów. Psy mają ponad trzysta milionów receptorów zapachów, porównaj to z naszymi nędznymi pięcioma milionami. Pomyśl o tym w ten sposób: ty potrafisz wyczuć zapach łyżeczki cukru w kubku kawy, a pies potrafi wyczuć łyżeczkę cukru w basenie olimpijskim, ale nie tylko dlatego, że ma taki superczuły nos. Jeszcze ważniejsze jest co innego. Część psiego mózgu odpowiedzialna za analizowanie zapachów jest czterdzieści razy większa od analogicznej części naszego mózgu. Kiedy sobie to wyobrazisz, zrozumiesz, że tak naprawdę wcale nie szkolimy psów, tylko staramy się wykorzystać tę ich zdolność i szukamy sposobów komunikacji, by im przekazać, czego od nich oczekujemy.

– Hej, Jason! Co tu robisz?

Gdy się odwrócili, ujrzeni mężczyznę, który do nich machał z jednego z korytarzy. Jego białe włosy sterczały, jakby właśnie wstał z łóżka. Patrząc na jego spodnie, zapiętą pod szyję koszulę i kardigan, Creed pomyślał, że gdyby nie fryzura, mężczyzna prezentowałby się nieskazitelnie, jakby właśnie wyszedł z biznesowego spotkania. Do chwili, gdy dostrzegł różowe kapcie z króliczymi uszami.

Jason zdusił jęk, zanim wyjąwił Creedowi:

– To mój dziadek.

Mężczyzna klepnął Jasona w ramię, kaprawymi oczami patrząc na Creeda i psy.

– Pewnie pracujesz – rzekł, po czym wyciągnął rękę do Creeda. – Jestem Gus Seaver.

– Ryder Creed. Miło mi pana poznać.

Zanim padło kolejne słowo, Creed i Jason zwrócili uwagę na psy. Grace i Molly zaczęły gwałtownie wachać, ich oddech przyspieszył... i położyły się u stóp Gusa Seavera.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### *Chicago*

Maggie, gdy tylko przekroczyła próg pokoju, mimo plastikowej osłony na twarz od razu wyczuła lekki zapach zepsutego jedzenia. Za wąskim przedsionkiem wszystko wyglądało zdumiewająco porządnie, na przykład łóżko przykrywała idealnie naciągnięta narzuta. Dopiero patrząc z bliska, zauważyła wgłębienie w poduszce, widomy znak, że ktoś położył tam głowę.

Na nocnym stoliku też nie było bałaganu. Na biurku stał hotelowy telefon i leżał również hotelowy notes, który nawet nie został otworzony. W kącie pokoju był wózek obsługi hotelowej, a przykrytych pokrywami z nierdzewnej stali talerzy również nikt nie ruszał. To stamtąd brał się przykry zapach. O'Dell podeszła do wózka i delikatnie uniosła pokrywę, pod którą ujrzała przejrzałe truskawki ułożone w nietkniętą piramidę.

Platt bacznie obserwował ją z przedsionka, gdzie stał ze splecionymi rękami. Chciała się tam rozejrzeć, zanim on zacznie pobierać próbki. Jeżeli Jacks miała rację, ostatnią osobą przebywającą w pokoju była ofiara.

O'Dell odwróciła się i zobaczyła telewizor z płaskim ekranem. Powierzchnia była czymś spryskana, widniały na niej zaschnięte gęste krople. Na ścianie za telewizorem również dostrzegła rudawe ślady, które, jak podejrzewała, mogły być plamami krwi.

Zerknęła na Platta, czekając na jego komentarz.

– Moim zdaniem to krwawa plwocina – powiedział.

Spojrzała znów na ekran i ścianę, po czym skomentowała:

– Sporo tego.

– W raporcie z autopsji są zdjęcia jego płuc. Później ci je podrzucę.

– Okej. – Powróciła do oględzin pokoju. Najpierw zamierzała się rozejrzeć, a potem dokonać skrupulatnej penetracji.

W minibarku niczego nie brakowało. W wypełnionej do połowy szklance stojącej na tacy znajdowała się najpewniej woda. Pozostałe szklanki stały do góry dnem, a na nich leżały podkładki. Wiaderko na lód było suche. Trudno było tam znaleźć jakieś ślady czy coś nietypowego.

– Nie wygląda to na żaden rytuał – powiedziała O'Dell, wciąż się przypatrując.

– Rytuał?

– Czasami, kiedy ktoś popełnia samobójstwo, wykonuje pewne drobne rytualne gesty. Na przykład zdejmuje okulary, opróżnia kieszenie z drobnych monet. – Wskazała ręką. – Ścieli łożko.

– Podobno miał portfel w tylnej kieszeni.

– A komórkę?

– Tego nie wiem. – Platt wzruszył ramionami. – Na podłodze w garderobie jest worek marynarski denata.

Oczywiście tam zajrzy, ale uznała, że najpierw powinna zobaczyć balkon. Stała przed rozsuwanymi drzwiami. Były zasunięte, ale nie zablokowane, czyli ktoś otworzył zamek.

– Jak tu weszliście, były zasunięte? – spytała.

– Tak.

Nie chwyciła klamki, tylko ostrożnie popychała drzwi dwoma palcami, żeby nie zamazać odcisków palców. Wymagało to trochę wysiłku, bo zgrzytały z oporem.

Cementowy balkon był mały, balustrada z kutego żelaza wyglądała na starą i sięgała O'Dell do pasa. Usłyszała szum samochodów dochodzący z dołu, a przez plastikową osłonę widziała połyskujące płatki śniegu. Kiedy zerknęła w dół, natychmiast się cofnęła i chwyciła szklanych drzwi. Owiał ją zimny powiew, przysięgłaby, że balkon zakołysał się pod jej nogami.

– To nie ma sensu – oznajmił Platt tak nagle, aż się wzdrygnęła. Nie zauważyła, kiedy podszedł do drzwi balkonu. – Jeśli ktoś chce skoczyć, po co zawracałby sobie głowę zasuwaniem drzwi?

– Czasami trudno doszukać się w tym sensu – odparła, wchodząc do pokoju. Ostrożnie zasunęła drzwi, również i teraz posługując się dwoma palcami. – O takich drobiazgach decyduje instynkt. Zamykasz drzwi, nie zastanawiając się nad tym, zwłaszcza jeśli nie zamierasz wracać do środka.

– Skąd psycholog kryminalny tyle wie na temat samobójstw?

Rozpoznała szczere uznanie w jego głosie. To dzięki wzajemnemu szacunkowi i podziwowi połączyła ich przyjaźń.

– Prowadziłam kilka śledztw w sprawie morderstw dokonanych przez samobójców. – To były jej najtrudniejsze śledztwa, wymagały wniknięcia w umysł człowieka, który zabija całą swoją rodzinę albo niewinnych obcych ludzi zgromadzonych w sklepie, po czym przykłada sobie lufę do skroni. – To samobójstwo z jakimś tajnym zamiarem – dodała. –



Albo z misją. Samobójstwo jest po prostu ostatnim krokiem.

Ruszyła przez pokój, kierując się do łazienki, i zauważyła mały kosz na śmieci wciśnięty pod biurko. Wyciągnęła go i zajrzała do środka. Posługując się tylko czubkami palców, przeglądała zawartość, niczego nie wyjmując. Były to: podarty bilet z Muzeum Nauki i Przemysłu, złożony plan centrum Chicago, kilka broszur reklamujących atrakcje turystyczne, ulotka z Instytutu Sztuki i serwetka z miejscowej pizzerii.

Podniosła wzrok na Platta i spytała:

- Kiedy się zameldował w hotelu?
- O ile dobrze pamiętam, detektyw Jacks mówiła, że mieszkał tu dwa dni.
- Wspomniałeś, że jego płuca wyglądały fatalnie, jakby choroba była w zaawansowanym stanie.
- Zdecydowanie.
- Ile czasu to zajmuje od momentu zakażenia się wirusem?
- Nie jestem pewien. Ludzie rzadko zarażają się ptasią grypą, więc mamy skąpe dane statystyczne. Informacje pochodzą głównie z Azji, a niektóre przypadki zostały opisane pobieżnie, nie tak szczegółowo, jak my to robimy. Ponoć ptasia grypa ulega tak szybkiej mutacji, że w końcu nieuchronnie zaatakuje duże ludzkie zbiorowiska, przynajmniej tak głosi jedna z teorii. – Przerwał na moment. – Wiemy, że Shaw pracowała nad szczepem, który miał być wyjątkowo zaraźliwy.

– W jaki sposób zamierzała to osiągnąć?

– Doprowadzając do tego, żeby wirus przenosił się drogą powietrzną. Obecnie żeby człowiek się zaraził, musi mieć kontakt z chorym ptakiem albo bezpośredni kontakt z krwią czy odchodami chorego ptaka. Gdyby Shaw zrealizowała swój pomysł i wirus byłby przenoszony drogą powietrzną, sytuacja uległaby diametralnej zmianie. Mógłby łatwo przenieść się z ptaków na ludzi, a potem między ludźmi. Mielibyśmy do czynienia z prawdziwą katastrofą.

O'Dell zadumała się na tych słowach, a potem spytała:

- Gdybyś musiał zgadywać, ile czasu potrzeba, żeby płuca wyglądały tak jak u tego samobójcy, to co byś odpowiedział?
- Tydzień, najwyżej dziesięć dni. Czemu pytasz? O czym myślisz?
- Zajrzyj do kosza. – Machnęła w tamtą stronę ręką. – Jak na kogoś, kto pluje krwią, ten człowiek sporo zwiedził. – Przez chwilę patrzyła na zasłoniętą maską twarz Platta, kiedy

przyglądał się zawartości kosza na śmieci, po czym skomentowała: – Nie wydajesz się zaskoczony.

- Tak podejrzewaliśmy – odparł po chwili. – Prawdę mówiąc, tego się obawialiśmy.
- Byłoby miło, gdybyś podzielił się ze mną tymi podejrzeniami.
- To tylko... podejrzenia.

Tajne podejrzenia, pomyślała Maggie, ale zachowała to dla siebie. To był delikatny temat, który spowodował między nimi poważny rozdzźwięk. Minionej jesieni, gdy pracowali razem podczas lawin błotnych w Karolinie Północnej, Platt ukrywał przed nią informacje. Twierdził, że pewne szczegóły są objęte absolutną tajemnicą i może się z nią podzielić wyłącznie podstawową wiedzą. Nie wiedział, że przez niektóre z tych „tajnych” informacji omal nie straciła życia. Miała nadzieję, że tym razem będzie inaczej.

– Musimy zachować ostrożność – powiedział, widząc jej irytację. – Nieusprawiedliwione podejrzenia mogą wywołać alarm. Nie możemy dopuścić do szerzenia się paniki w mediach i w społeczeństwie.

– Ja nie pracuję w mediach, Ben, i nie jestem społeczeństwem. Musicie mi zaufać, ty i Roger Bix.

– Oczywiście, że ci ufamy.

– To ja prowadzę śledztwo w sprawie Shaw, to ja mam ją odnaleźć, więc pozwól, że powiem to wprost. Podejrzewasz, że doktor Shaw nie tylko zaraziła tego człowieka, ale wysłała go, żeby zarażał innych? Jak samobójca z bombą, tyle że zamiast pasa z ładunkami wybuchowymi dysponował wirusem?

Platt spojrział jej w oczy, odczekał moment i odparł:

– Tak.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

*Nowy Jork*

Christina Lomax stała w hotelowym atrium, wyglądając na ulicę. Obserwatorzy wsunęli ręcznie napisaną notatkę pod drzwi jej hotelowego pokoju. To musiało się zdarzyć podczas tych dwóch godzin, kiedy w końcu zasnęła, bo nic nie słyszała, absolutnie nic.

Powiedzieli, że stale ktoś będzie ją obserwował, by jej pomóc dokończyć eksperyment, jednak nigdy nikogo nie zauważyła. Ci ludzie byli jak duchy. Poprzedniego dnia nawet jej się wydawało, że w oknie wystawowym widzi kogoś, kto za nią stoi, ale kiedy się odwróciła, nikogo tam nie było. Coraz trudniej radziła sobie z odróżnianiem tego, co rzeczywiste, od wywołanych gorączką halucynacji.

Ostrzegli, że od czasu do czasu temperatura może trochę jej wzrosnąć, i przypomnieli o tym w otrzymanej dziś wiadomości. Brzmiało to jednak tak, jakby nie powinna się tym martwić. Do tej pory uczestniczyła w licznych eksperymentach i dobrze wiedziała, że złe samopoczucie to tylko przejściowy stan. Zdarzały się zawroty głowy, kiedyś przez dwa dni męczyły ją nudności, ale te wszystkie – i w sumie nie aż tak uciążliwe – objawy nigdy nie trwały zbyt długo. A jednak ucieszyła się, że uprzedzali ją o tym, co ją czeka, o tych kilku dniach gorszego samopoczucia.

Pamiętała, co wówczas pomyślała: że to nie może być nic złego. Przyjęła już tyle różnych leków, że raczej niemożliwe, by istniało coś, czego jej umysł czy ciało dotąd nie doświadczyły. I chociaż nigdy nie uważała się za twardzielkę, wiedziała, że daje radę. Niezależnie od tego, jak nisko upadała, zawsze znajdowała sposób, by przetrwać... by przeżyć.

Minionego lata po swoim drugim rozwodzie Christina przez dwa miesiące mieszkała w samochodzie. Kiedy zabrakło pieniędzy na benzynę, zakotwiczyła na parkingu centrum handlowego, co jakiś czas przestawiając samochód z miejsca na miejsce. Był tam pojemnik Goodwill, a także kilka restauracji z fast foodami. Miała zatem czyste ubrania i zjedzone do połowy kanapki. Kiedy jest się bardzo głodnym, grzebanie w śmietnikach nie jest niczym strasznym, zwłaszcza jeśli robi się to o odpowiedniej porze. Czasami wyrzucone frytki były jeszcze ciepłe.

O wiele większym wyzwaniem było znalezienie ochłody w upalne parne dni. Christina krążyła po jednej z ogromnych galerii handlowych, udając, że ogląda towar, i korzystała z

tamtejszych toalet. Damskie toalety w Home Depot w godzinach rannych były rzadko używane, miała więc czas, by umyć włosy i wyszczotkować zęby. Nabrała wprawy w podkradaniu ze sklepowych półek niezbędnych drobiazgów, takich jak dezodorant, pasta do zębów czy szampon. Znała lokalizację ukrytych kamer, wiedziała nawet, które zmiany są słabiej obsadzone.

Tak, sztuka przetrwania naprawdę nie była jej obca.

Nigdy nie zapomniała, że walczy o życie, ale zarazem stało się to dla niej swoistą grą. Tak było aż do tego wieczoru, gdy przyłapano ją, jak grzebała w wypełnionym nowymi darami pojemniku Goodwill. Spodziewała się policyjnych syren, a przynajmniej kazania, nawet w najśmielszych marzeniach nie oczekiwała propozycji pracy. Jak się okazało, ktoś uznał, że jej umiejętności mogą okazać się przydatne.

Dzięki pieniądзом, które zaczęła zarabiać, raz czy dwa razy w miesiącu biorąc udział w eksperymentach, wyprowadziła się z samochodu i wynajęła kawalerkę. Tym razem jednak eksperyment był poważny, to znaczy od trzech do pięciu dni miała się czuć chora, ale za tych kilka dni obiecano jej więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek zdołała zarobić przez cały długi rok.

Teraz, gdy stała w atrium Grand Hyatt, żałowała, że nie mogła zostać w chłodnej pościeli w wielkim łóżku, bo od gorączki w głowie jej się kręciło.

Niezbyt dobrze znała Nowy Jork, ale oni jej powiedzieli, że dzięki temu będzie bardziej przekonująca, udając turystkę. Twierdzili, że to, co uważała za słabość, w ostatecznym rozrachunku okaże się jej największym atutem. Poza tym notatki sugerowały kilka miejsc, które powinna odwiedzić, a poprzedniego dnia obserwatorzy dodatkowo wsunęli plan miasta pod drzwi jej hotelowego pokoju.

Przy tym jednak ostrzegli, żeby trzymała się z dala od policji. Wyjaśnili, że jeśli zbyt długo będzie przebywać w jednym miejscu, to może zostać aresztowana za podejrzone zachowanie, więc najlepiej w ogóle się nie zatrzymywać. Nie ma sprawy, pomyślała Christina. Programowo nie ufała policjantom, choć zdawała sobie sprawę, że ma to swoje źródło w okresie buntu, gdy nadużywała narkotyków.

Kiedy tylko wyszła na zewnątrz, przed dworcem Grand Central zauważyła kilku mężczyzn w wojskowych mundurach polowych. Minęła dwa policyjne radiowozy, a dwaj policjanci krążyli po drugiej stronie ulicy i rozglądali się bacznie.

Christina szła w kierunku rogu. Tak bardzo się zbliżyła do jednego z wojskowych, że

mimowolnie spotkali się wzrokiem. Miał młodą twarz, musiał być w wieku jej syna. W jego wzroku wyczytała spore napięcie. Poruszał się energicznie, w jego ruchach widać było wojskową dyscyplinę.

Gdy uniosła rękę, żeby zatrzymać taksówkę, żołnierz wciąż na nią patrzył.

Na moment wpadła w panikę.

On wie! – przebiegło jej przez głowę. Jak mógłby nie wiedzieć?

Kiedy do krawężnika podjechała taksówka, Christina zamarła. Spodziewała się, że młody żołnierz na nią krzyknie, że ją zatrzyma.

W końcu ruszyła naprzód. Kątem oka patrzyła na mężczyznę. Czyżby przyśpieszył kroku?

Chwyciła klamkę i otworzyła drzwi taksówki. Gdy już jej się zdawało, że żołnierz za nią pobiegnie, odwrócił się na pięcie i poszedł w przeciwnym kierunku.

Christina wśliznęła się na tylne siedzenie i odetchnęła z ogromną ulgą. Dopiero kiedy taksówkarz na nią spojrzał, zdała sobie sprawę, że w chłodny wiosenny dzień zalewa się potem.

Podawała mu adres i usiadła prosto.

Mieli rację, była niewidzialna. Powinna się uspokoić, w żadnym razie nie panikować. Była tylko czterdziestokilkuletnią kobietą, anonimową turystką.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*Chicago*

Platt zaczął wyciągać z kosza wszystkie broszury, bilety i ulotki, mówiąc przy tym:

– Musimy prześledzić jego trasę.

O'Dell nawet sobie nie wyobrażała, jakie to trudne zadanie, na szczęście należało do Platta i CDC. Ona miała inny cel. Musi odnaleźć cokolwiek, choćby najdrobniejszy ślad, który pozwoli jej wysledzić i zatrzymać Shaw.

Podeszła do worka marynarskiego, który leżał na podłodze w garderobie, gdy usłyszała okrzyk Platta:

– Niech mnie diabli!

Odwróciła się i zobaczyła, że z kosza na śmieci wyjął telefon w czarnej oprawie. Natychmiast sięgnęła do kieszeni kombinezonu po woreczek na dowody, ale Platt machnął ręką.

– Wybacz – powiedział – ale nic nie może zostać wyniesione z tego pokoju, dopóki nie będziemy pewni, że nie jest zakażone.

– Mogę go przynajmniej włączyć i zerknąć?

Platt pomyślał przez chwilę, potem podał jej telefon.

Próbowała go włączyć, ale bateria była rozładowana. Oczywiście.

Ostrożnie przeglądając zawartość worka marynarskiego, znalazła kabel z ładowarką i podłączyła telefon do najbliższego gniazdka. Potem wróciła do worka i przyklęła obok niego. Nie podnosiła go z podłogi, starała się też nie robić w nim niepotrzebnego bałaganu.

– Muszę zadzwonić do Bixa – oznajmił Platt. – Zostaniesz chwilę sama?

– Jasne.

– Stanowisko dekontaminacji jest w końcu korytarza po lewej, gdybyś musiała wyjść przed moim powrotem. Są tam dwaj technicy, którzy ci pomogą pozbyć się wszystkich zagrożeń.

Skinęła głową, przez chwilę słuchała kroków Platta, aż wyszedł, a potem zaczęła opróżniać worek. Wyciągnęła zapasową bieliznę i skarpetki, dwa T-shirty, dzinsy, czyli nic nadzwyczajnego. W zamykanych na zamek błyskawiczny kieszeniach też nic ciekawego nie znalazła, aż dotarła do ostatniej z nich. W środku znajdowało się zdjęcie o wymiarach dziesięć na piętnaście centymetrów. Było mocno podniszczone, szczególnie rogi. Ostrożnie

je wyjęła, trzymając za najsolidniej wyglądający róg.

Zdjęcie przedstawiało czterech młodych mężczyzn w wojskowych polowych mundurach, zakurzonych butach i hełmach. Broń mieli przewieszoną przez ramię, uśmiechali się, obejmowali za plecy. Pozowali na tle skalistej ściany.

O'Dell odwróciła zdjęcie i przeczytała podpis wykonany czarnym flamastrem:

*Afganistan, ja, Jason, Colfax i Benny.*

Znów odwróciła fotografię i zaczęła przyglądać się uważnie twarzom zaciemnionym hełmami i pokrytym warstwą pyłu oraz brudu. Jeden z mężczyzn wydał jej się znajomy, choć nie potrafiła powiedzieć, skąd go zna.

Spakowała z powrotem wszystkie rzeczy do worka, lecz zachowała fotografię. Gdy poszła sprawdzić telefon, wzięła ją ze sobą. Tym razem kiedy nacisnęła przycisk „On”, telefon ożył. Mała żółta koperta w rogu wskazywała, że są nieprzeczytane wiadomości. Kolejna ikonka informowała o kilku nieodsłuchanych wiadomościach głosowych.

Zaczęła od esemesów. Gdy tylko ujrzała imię przy najświeższej wiadomości, wiedziała, kim był znajomo wyglądający młody żołnierz ze zdjęcia. W pierwszej chwili nie rozpoznała Jasona Seavera, ponieważ zdjęcie zrobiono, gdy miał jeszcze obie ręce.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### *Florida Panhandle*

Creed i Jason właśnie wrócili z Pensacoli. Creed nie był pewien, czy przekonał chłopaka, że z jego dziadkiem wszystko będzie w porządku. Podkreślał, jakie to szczęście, że tak szybko odkryli u niego bakterię *Clostridium difficile*, więc kuracja powinna dać dobre rezultaty.

Creed zwrócił uwagę na zachowanie psów, nim podniósł wzrok i dojrzał czarny metaliczny błysk przesuwany się za linią drzew. Kilka psów skoczyło do ogrodzenia, niespokojne i przestraszone nadstawiały uszu, głośno wciągały w nozdrza powietrze, kręciły łbami. Wszystkie wskazywały na podjazd, na liczący sobie czterysta metrów pas drogi wijący się przez las.

Creed miał ograniczony widok. Widział tylko fragmenty czarnych aut i błyski światła odbijającego się od przednich szyb. Wyglądało to jak długa karawana, Creedowi skojarzyła się z procesją pogrzebową. Poczuł ucisk w żołądku, zacisnął zęby.

Niedobrze.

Obliczał swoje możliwości.

Ile czasu potrzebował, żeby wbiec do mieszkania na górze i wziąć ukryty pod materacem rewolwer? Śrutówka była zamknięta w sali treningowej. Jednak zanim dokonał wyboru i podjął decyzję, pierwszy SUV wjechał na posesję.

Wystarczająco dużo wiedzieli o tym miejscu, by minąć piętrowy budynek i znak, który kierował gości do biura K9 CrimeScents na pierwszym piętrze. W tym budynku mieszkała też Hanna z dwoma synami, więc Creed odetchnął z ulgą. Ale ulga nie trwała długo, bo zaraz potem ogromny czarny samochód terenowy przejechał po trawie i kierował się prosto w jego stronę, a tym samym w stronę psiarni.

Za nim jechał drugi samochód, trzeci i kolejne. Po chwili podwórze od frontu wypełniło pięć identycznych SUV-ów z przyciemnionymi szybami, lśniących i nowych, ubrudzonych tylko pyłem z podjazdu Creeda.

– Co jest, do diabła? – spytał Jason.

Creed nawet nie usłyszał podchodzącego do niego chłopaka. Kątem oka zobaczył, że doktor Avelyn wychodzi z gabinetu. Zerknął na dom z nadzieją, że Hanna zostanie wewnątrz.



– Spokój – powiedział do psów, starając się zachować opanowany ton głosu.

Psy uciszyły się, ale trudno było nie zauważyć, jak bardzo są spięte. Opuszczone ogony, zjeżona sierść na karku, patrzyły w jeden punkt, nadstawiały uszu.

Creed wyjął z kieszeni pilota i nacisnął przycisk, żeby pozostałe psy nie opuściły bezpiecznej psiarni.

Silniki wciąż pracowały na wolnych obrotach, ale drzwi samochodów się otworzyły i mężczyźni w ciemnych garniturach i przeciwsłonecznych okularach wysiadali jakby pośpiesznie czy niecierpliwie. Dwaj z nich nosili na marynarkach kamizelki kuloodporne. Trzej mężczyźni, którzy wysiedli z ostatniego SUV-a, mieli broń automatyczną. Na ich widok Creed zacisnął pięści. Panikę szybko zastąpił instykt, który kazał mu walczyć i chronić.

– Sukinsyny – mruknął Jason pod nosem. – Kim, do diabła, są ci goście?

Jeden z „gości” w kamizelce kuloodpornej ruszył w ich kierunku, a wtedy Creed w końcu go rozpoznał.

– Jakoś nie zauważyłem, że pan dzwonił, agencie Tabor! – zawołał do niego. – Co się stało?

– Najlepiej, żeby wszyscy zachowali spokój, panie Creed. Potrzebujemy tylko pańskiej współpracy.

– Trudno zachować spokój, kiedy pojawiacie się na mojej posesji bez uprzedzenia czy zaproszenia.

– To sprawa oficjalna.

– Czyżbym zapomniał zapłacić jakiś podatek? – Creed nadal starał się mówić spokojnie przez wzgląd na psy. Kiedy Tabor nie odpowiedział, spytał: – O co chodzi?

– O te ptaki, które pan zabrał. Podobno mogą być nosicielami śmiertelnego wirusa.

Tabor nie widział, jak Creed pakował martwe rudziki, więc to szeryf Wylie musiał się wygadać.

Doktor Avelyn dołączyła do Creeda i Jasona, po czym powiedziała:

– Są szczelnie zapakowane, trzymamy je osobno. Mogę je panu przynieść.

Ale Tabor nie wydawał się zainteresowany jej słowami. Gdy machnął ręką, otworzyły się drzwi kolejnego samochodu. Czterej mężczyźni, którzy wysiedli, mieli na sobie białe kombinezony i gotowe do nasunięcia na twarz maski chirurgiczne. Przeszli na tył SUV-a, otworzyli bagażnik i zaczęli wypakowywać sprzęt.

– Jest bardzo zaraźliwy – mówił dalej Tabor. – Powiedziano mi, że to nowy szczep wirusa ptasiej grypy. – Dał kolejne sygnały dwóm innym mężczyznom, którzy podeszli do psiarni, gdzie przed ogrodzeniem stali Creed, Jason i doktor Avelyn.

– Proszę nam dać chwilę. Przyniesiemy panu martwe ptaki – rzekł Creed.

– Chciałbym, żeby to było takie proste.

– Dwa dni temu wysłałam próbki do badania – oznajmiła doktor Avelyn. – Być może są już wyniki.

– Obawiam się, że to nie wystarczy – odparł Tabor. – Musimy poddać wszystkich kwarantannie.

– Nikt z nas ich nie dotykał – stwierdził Creed.

– Jeden z pańskich psów dotykał martwego ptaka. Szeryf Wylie wspomniał mi, że przyniósł go panu w pysku. Jeśli to ten szczep ptasiej grypy, który podejrzewamy, wszystkie pana psy są zarażone – zawyrokował Tabor. – I być może również wy wszyscy.

Nagle Creed zdał sobie sprawę, o co chodzi. Zerknął na doktor Avelyn i cicho spytał:

– Nie mogą tego zrobić, prawda?

Podniosła na niego wzrok, ale nie próbowała odpowiedzieć. W jej oczach dojrzał cień strachu.

– Załatwimy to najszybciej, jak to możliwe – podjął Tabor, czekając na ludzi w ochronnych strojach. Wydawał się dziwnie rozkojarzony.

– Nikt poza moim personelem nie tknie moich psów. Jeśli potrzebuje pan próbki do badania, mój weterynarz ją pobierze.

Tabor potrząsnął głową, patrząc na Creeda.

Creed poczuł się, jakby dostał cios w splot słoneczny. Tabor nie zamierzał pobierać materiału do badania ani organizować kwarantanny dla psów. On chciał je pozabijać.

– Dostałem informację, że ten wirus bardzo szybko się rozprzestrzenia – mówił Tabor. – Cały pana personel musi przejść kwarantannę. Ale psy... Przykro mi. Z tego, co rozumiem, nawet gdyby testy wypadły negatywnie, mogą być nosicielami. Ja tylko wykonuję rozkazy.

Obejrzał się na mężczyzn w bieli, którzy nieśli torby, a także broń ze środkiem uspokajającym.

– Czyje rozkazy? – chciał wiedzieć Creed.

Zamiast mu odpowiedzieć, Tabor oznajmił:

– Postaramy się zrobić to możliwie najszybciej i bezboleśnie.

– Nie mogą tego, kurwa, zrobić. Prawda? – spytał Jason, kręcąc się nerwowo.

Creed ruszył do bramy. Czuł straszny chaos w głowie, jakby nie mógł podjąć żadnej decyzji, a zarazem czuł się absolutnie zdeterminowany, jakby już tę najważniejszą decyzję podjął. Kurczowo zacisnął palce na ogrodzeniu. Najpierw mnie będą musieli zastrzelić, pomyślał.

Kiedy padł pierwszy strzał, Creed pomyślał, że to serce eksplodowało mu w piersi. Dopiero gdy zobaczył, że Tabor czmychnął, szukając schronienia, zdał sobie sprawę, że to był prawdziwy strzał.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po drugim strzale mężczyźni zaczęli się wycofywać, nurkując pod samochody. Wtedy Creed uświadomił sobie coś jeszcze. Strzał nie padł z broni koleśi Tabora.

Tabor i ci z jego ludzi, którzy stali najbliżej ogrodzenia, ukryli się za drzewami, a ci z automatyczną bronią skulili się przy drzwiach samochodów, rozglądając się wokół, by ustalić, skąd padły strzały.

Creed ani drgnął, doktor Avelyn stała u jego boku, Jason zniknął, a psy krążyły nerwowo. Creed wyjął z kieszeni pilota i gwizdek. Przyłożył gwizdek do warg i w tym samym momencie otworzył drzwi psiarni, a psy na komendę pobiegły do środka. Kiedy już wszystkie były bezpieczne, a drzwi psiarni zamknięte, Creed odwrócił się znów do Tabora i jego ludzi.

– Jesteśmy tu oficjalnie! – zawołał Tabor. – Proszę odłożyć broń, zanim komuś stanie się krzywda.

Creed dojrzał Hannę, która wyszła na trawnik przed domem. Wyglądała jak zawodowy snajper, stanęła z wyciągniętą przed siebie bronią gotową do kolejnego strzału, tym razem już nie w powietrze.

– Nie obchodzą mnie pańskie słowa! – odkrzyknęła do Tabora. – Chcę zobaczyć nakaz.

– Nie potrzebujemy nakazu! – Tabor wychylił się zza pnia. – Radzę odłożyć broń, zanim zrobi sobie pani krzywdę.

Gdy nad jego głową przeleciała kula, znów schował się za drzewo. Ale tym razem to nie Hanna strzelała, strzał padł z linii drzew, zza przyczepy Jasona.

– Co do diabła? – Tabor przyklęknął, zdając sobie sprawę, że było dwóch strzelców.

Creed wymienił nerwowe spojrzenie z doktor Avelyn. Jason stracił w Afganistanie pół ręki, ale nadal pozostał dobrze wyszkolonym wojskowym snajperem.

– Najlepiej będzie, jak pan zawróci i zdobędzie nakaz! – zawołała Hanna.

– Nie potrzebuję...

– Och, zbyt wiele razy pracowałam z agencjami federalnymi, by nie wiedzieć, jak bardzo kochacie robotę papierkową. Za każdym razem, kiedy chcecie skorzystać z jednego z naszych psów, muszę wypełnić dwanaście stron papieru.

– To całkiem co innego – upierał się Tabor. – Mam prawo skorzystać z władzy, którą...

– Niech pan posłucha! – przerwała mu gwałtownie. – Tutaj ja mam władzę. –

Załadowała broń, jakby robiła to codziennie.

Tym razem Tabor przeniósł wzrok na Creeda.

– Ona tylko utrudnia sprawę, szkodzi panu i pana pracownikom – oznajmił. – Zwłaszcza jeśli wszyscy zachorujecie. Nie macie pojęcia, z czym macie do czynienia ani z kim macie do czynienia.

– To pan nie ma pojęcia, z kim ma pan do czynienia, Tabor. Żądam, żebyście natychmiast wynieśli się z mojej posesji.

Tabor zmierzył go wzrokiem i wycedził:

– Popełnia pan wielki błąd.

Ostrożnie wstał, zaczekał, by zyskać pewność, że nie padnie kolejny strzał, po czym ruszył do pierwszego SUV-a. Zerknął przez ramię na Hannę i dał znak swoim ludziom, żeby poszli w jego ślady.

Drzwi samochodów zamknęły się z trzaskiem, silniki obudziły się do życia, opony zapiszczały, plując trawą. Jeden za drugim, jadąc kolumną, czarne lśniące metalicznie SUV-y znikwały między drzewami, pozostawiając za sobą spaliny i ciszę.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

*Międzynarodowe lotnisko Hartsfield-Jackson*

*Atlanta, Georgia*

Stephen Bishop ciągnął walizkę na kółkach przez tłoczny terminal. Do stanowisk odprawy były długie kolejki, a kiedy jedno przy ścianie właśnie się otworzyło, Bishop skorzystał z okazji, przystanął i obserwował. To była jego trzecia wyprawa na lotnisko, na ten terminal, w ciągu niespełna tygodnia. Wyjął telefon i udawał, że czyta esemesa, patrząc znad okularów w ciężkich oprawach.

Tego dnia nie działał jeden skaner. Urządzenie było odgrodzone taśmą, a pracownicy TSA, federalnej administracji bezpieczeństwa transportu, kierowali pasażerów do innego stanowiska. W PreCheck kolejka była dłuższa niż zwykle, ale posuwała się szybko. Bishopowi się nie śpieszyło, nie wybierał się w żadną podróż samolotem. Pojawił się tu, podobnie jak poprzednio, po to tylko, by poczynić obserwacje i końcowe przygotowania.

Rozpoznawał już kilku urzędników TSA. Wysoki czarnoskóry mężczyzna z ogoloną głową i muskularnymi ramionami nazywał się Oscar. Zwykle pracował na stanowisku odprawy PreCheck. Blisko osadzonymi oczami bacznie wszystko obserwował, więc choć pasażerowie nie musieli zdejmować butów ani wyjmować płynów z bagażu podręcznego, bez jego zgody nie mogli przejść dalej.

LeKeesha siedziała przy jednym ze skanerów. Poprzednim razem Bishop usłyszał, jak któryś z kolegów zawołał ją po imieniu. Pozostali odnosili się do niej w taki sposób, jakby była tam najważniejsza. I tak też wyglądała. Potężna i arogancka, jej włosy z fioletowymi pasemkami przyciągały uwagę. Kiedy zatrzymywała taśmę i prosiła, żeby wziąć bagaż do kontroli, natychmiast wykonywano jej polecenie.

Ze wszystkich terminali Bishop wybrał właśnie ten. Niezależnie od posiadania karty pokładowej po wcześniejszej odprawie PreCheck, ważne było, żeby czuł się pewnie i na kogoś takiego wyglądał. By ktoś taki jak Oscar czy LeKeesha nie znalazł absolutnie żadnego powodu, żeby go zatrzymać i wypowiedzieć budzące grozę słowa:

– Proszę przejść na bok.

Stary reklamowy slogan „Nigdy im nie pokazuj, że się pocisz”, stał się bardzo ważną mantrą. Tego dnia wcale nie taką łatwą w realizacji.

Garnitur był gruby, Bishop z trudem przyzwyczajał się do dodatkowego ciężaru.

Męczyło go to, zwłaszcza kiedy człapał po lotnisku. Ale dodatkowy ciężar miał jeden plus. Sprawiał – prawdę mówiąc, po prostu wymuszał – że człowiek inaczej się poruszał, i działało się to w sposób odruchowy, automatyczny, więc ryzyko powrotu do normalnego chodu było nikłe.

Na tym jednak nie kończył się dyskomfort Bishopa. Swędziała go broda, irytowały krótko obcięte kwadratowe paznokcie i okulary w ciężkich oprawkach. Porzucił wszystko, co modne i szykowne, wybierając rzeczy zwyczajne i nierzucające się w oczy. To była niewielka cena za przyszłą sławę, być może nawet za znalezienie się w annałach historii nauki.

Dziadek Bishopa, który podczas zimnej wojny był słynnym naukowcem, zwykł mawiać:

– Możesz zmienić świat albo siedzieć z boku i pozwolić, żeby to świat cię zmienił.

Wybór należy do ciebie.

Gdy telefon zaczął wibrować, Bishop wyciągnął go z kieszeni marynarki i zerknął na przychodzący numer.

– Słucham? – odezwał się władcym tonem, który pojawił się wraz z nowym wizerunkiem.

– Czy rozmawiam z Bishopem?

– Kto, do diabła, mówi?

– Pułkownik chce wiedzieć...

– Jeśli pułkownik chce cokolwiek wiedzieć, musi sam do mnie zadzwonić. Nie rozmawiam z jego podwładnymi.

– Proszę wybaczyć, ale jestem dyrektorem wydziału...

– Gratuluję, nie każdemu jest to pisane, i proszę więcej nie dzwonić na ten numer.

Bishop rozłączył się, zanim rozmówca zdołał odpowiedzieć. Wciąż trzymał w ręce telefon. Wiedział, że sługus w ciągu paru minut przyzna się szefowi do porażki.

Pułkownik Abraham Hess był złem koniecznym. Zawarli niecny sojusz, bo każdy z nich na tym coś zyskiwał. Bishop zgodził się oszczędzić cenną reputację pułkownika, zaś Hess zapewnił mu ochronę. Stary pułkownik wciąż posiadał niekwestionowaną władzę i wpływy, ale czasami ta właśnie władza stawała się źródłem jego aroganckiej ignorancji, jak zwał to Bishop. Abraham Hess wierzył w swoją nieomyślność. Głupie błędy, jak na przykład powierzenie tajnych numerów kontaktowych jakiemuś dyrektorkowi, w końcu doprowadzą do jego upadku, ale na pewno nie pociągnie za sobą Bishopa.

Telefon znów zaczął wibrować. Na ekranie wyświetlił się ten sam numer przychodzący. Bishop przesunął palcem po ekranie, żeby odebrać, ale się nie odezwał.

– Bishop? Co się, do diabła, dzieje?

– Nigdy więcej nie podawaj nikomu moich numerów telefonu. Zrozumiałeś?

– To jest wysokiego szczebla...

Bishop rozłączył się i czekał. Pułkownik na pewno się wściekł. Nikt nie śmiał traktować go z takim brakiem szacunku.

Telefon po raz kolejny zawibrował. Bishop odczekał chwilę, odebrał tuż przed przełączeniem na pocztę głosową.

– Co chcesz wiedzieć? – spytał Bishop zamiast powitania.

– Chcę wiedzieć, co się, do diabła, dzieje. Wolałbym nie dowiadywać się tego z plotek i telewizyjnych serwisów informacyjnych. W rzece znaleziono martwą dziewczynę. Co, do diabła...

– Przestań. Nic więcej nie mów – odparł spokojnie Bishop. – Zadzwoń do ciebie, ale nie na ten telefon. Muszę ci załatwić nowy numer.

– Och, na Boga, czy nie z tego powodu używamy tych durnych jednorazowych komórek? Nikt nie naruszył żadnej tajemnicy, więc tylko dlatego...

Bishop znów przerwał rozmowę, a wibracje zaczęły się zaledwie po trzech sekundach.

– Okej, załatw mi nowy numer telefonu – powiedział Hess pojednawczym tonem, choć brzmiało to tak, jakby rozżłoszczony facet ugryzł się w język.

– Ktoś ci go dostarczy dziś po południu.

– Kolejny liścik? To idiotyczne. Jesteś naukowcem. Czemu upierasz się przy tym archaicznym rytuale?

– Kiedy ostatnio kogoś skazano z powodu obciążającej go ręcznie napisanej dostarczonej przez kuriera notatki? Wiesz równie dobrze jak ja, że każdy ślad elektroniczny może być i jest obserwowany, odsłuchany, nagrywany i zapisywany. Byłbyś zdumiony, ilu twoich przyjaciół z Waszyngtonu korzysta z tej metody.

– Istnieje też coś takiego jak grafologiczna analiza pisma.

– Ale to nie będzie mój charakter pisma. Ty po swojemu chronisz siebie i swoje interesy, pozwól, że ja będę to robił po swojemu. A to coś mi przypomniało. Potrzebuję elektronicznej karty pokładowej. Musisz mi to załatwić.

– Będą musieli ci pobrać odciski palców.



- Nie wchodzi w rachubę.
- Nie ma innego...
- Wymyśl coś.

Bishop się rozłączył, na tę chwilę zakończył sprawę ze starym oficerem.

Nie było karty SIM, którą mógłby wyjąć i zniszczyć, więc cały telefon wylądował w pustym kubku po kawie szczelnie zamkniętym pokrywką. A ponieważ tego dnia załatwił już wszystko, co miał do załatwienia, wrzucił kubek z telefonem do najbliższego kosza na śmieci i skierował się do wyjścia, ciągnąc pustą walizkę na kółkach.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### *Florida Panhandle*

– To możliwe? – spytał Creed doktor Avelyn.

Uspokoił psy i usiedli w kuchni Hanny, która zaparzyła im kawę i podała talerz domowych owsianych ciasteczek, jakby to był zwyczajny dzień i rutynowe spotkanie personelu, choć z dwoma wyjątkami. W kącie przy tylnych drzwiach stała broń, a butelka irlandzkiego likieru Baileys przechodziła z rąk do rąk niczym śmietanka do kawy.

Creed był zaskoczony zachowaniem Hanny, która nienawidziła broni i nie pozwalała jej wnosić do domu. Musiała zatem zakraść się po nią do budynku, gdzie szkolili psy. Z nich dwojga to ona była dyplomatką. Prawdę mówiąc, już na początku ich znajomości wygłosiła Creedowi kazanie na temat przemocy, która niczego nie rozwiązuje. Miało to miejsce po tym, jak wdał się w bójkę w Walter's Canteen, gdzie Hanna prowadziła bar. Po latach mąż Hanny, Marcus, został zabity w Iraku. Hanna była współzałożycielką Segway House, domu dla wracających z wojny weteranów, ofiar domowej przemocy, które szukały schronienia, i narkomanów, którzy chcieli wyjść na prostą. Każdego tygodnia miała do czynienia z brutalnymi skutkami wojny i starała się zapewnić schronienie oraz pracę tym, którzy, jak na przykład Jason, na polu walki zostawali kalekami.

Od czasu do czasu zlecenia, które przyjmowała ich firma K9 CrimeScents, także wiązały się z poważnymi zagrożeniami. Psy znajdowały zwłoki, narkotyki i materiały wybuchowe, bywało też, że stawali się zwierzyną łowną dla zabójców, handlarzy narkotyków czy terrorystów. Szczerze mówiąc, Creed i Hanna naprawdę widzieli już wystarczająco dużo przemocy. Tyle że Creed nigdy jeszcze nie widział, żeby Hanna wzięła do ręki broń i do kogoś strzeliła.

Patrzył na nią, gdy nerwowo krążyła po swojej kuchni. Kiedy go mijała, chwycił ją za rękę.

– Usiądź, Hanna. – Wstał i wyciągnął dla niej krzesło. – Proszę, usiądź. – Kiedy wreszcie usiadła, znów skupił uwagę na doktor Avelyn. – Czy to, co mówił Tabor, może być prawdą? Że rudziki były czymś zarazone?

– Niewykluczone, choć ja nic nadzwyczajnego nie zauważyłam.

– A zauważyłabyś? Niby jak?

– Tego samego dnia, kiedy je znalazłeś, wysłałam pobrany od nich materiał do badania.

W zeszłym roku spędziłam miesiąc w Iowa. Pamiętasz? Zagazowaliśmy miliony kur niosek zarazonych ptasią grypą, która zaatakowała kilka farm drobiu. Trudno ją zauważyć, ponieważ ptaki nie zawsze okazują symptomy choroby.

– Ale tylko ptaki mogą się tym zarazić. Psy nie, prawda? Czy Grace mogła się zarazić? – Gdy Avelyn nie odpowiedziała, Creed wpadł z panikę. – Musisz to wiedzieć, bo być może właśnie zaraziłem śmiertelnym wirusem kilkunastu starych ludzi. – Potarł brodę, gdy uświadomił sobie ewentualne konsekwencje. – Proszę, powiedz, że psy się tym nie zarazają. Tabor mówił tak, jakby wierzył, że to możliwe.

– Wiemy, że wirus ulega mutacji. Tak, zdarzyło się, że przenosił się na inne gatunki, nie tylko na ludzi. O ile wiem, odnotowano przypadki chorych świń oraz, w warunkach laboratoryjnych, fretek.

Zapadła cisza. Creed myślał tylko o tym, jaka dumna była Grace, przynosząc mu rudzika.

– Posłuchaj – dodała Avelyn. – Dopóki nie dowiem się czegoś więcej, już nic ci nie powiem. Nie powinniśmy panikować, ale należy zachować ostrożność.

Creed patrzył na lekarkę, która objęła dłońmi kubek i wlepiła wzrok w kawę. Nie wypła ani łyka.

– O czym myślisz? – spytała Hanna.

– Do czasu, gdy otrzymamy więcej informacji, musimy poddać Grace kwarantannie.

– Już i tak miała kontakt z większością psów – przypomniał Jason.

Doktor Avelyn rozejrzała się wokół, po czym skoncentrowała wzrok na Creedzie.

– Musimy je wszystkie poddać kwarantannie. To nie oznacza klatek, da się to zrobić w psiarni, ale przez jakiś czas nie wolno im pracować. Trzeba rozważyć, czy podczas kontaktu z psami nie powinniśmy nosić rękawiczek i masek, a także ograniczyć liczbę osób, które będą miały z nimi kontakt.

– Boże, miej litość – mruknęła Hanna. – Uważasz, że my też możemy się zarazić?

Creed wiedział, że myślała o swoich synach.

– Nie da się tego wykluczyć.

– A co z ośrodkiem opiekuńczym dla seniorów?

– Zaczekajmy, aż dostanę wyniki badania próbek. Zadzwoń tam i spytam, czy mogą się pośpieszyć z wynikami. – Spojrzała na Creeda. – Dotykałeś któregoś z ptaków?

Musiał się zastanowić. Wszystko, co pamiętał – co widział teraz tak żywo oczami wyobraźni – to Grace z rudzikiem w zębach. Schował ptaka do foliowego woreczka.

Najpierw otworzył woreczek i ostrożnie trzymał go w ręce. Kiedy kazał Grace wypuścić rudzika z pyska? Czy upuściła go na ziemię? Jego psy upuszczają znalezione przedmioty mu na rękę, żeby mógł sprawdzić, co to jest. Zły zwyczaj, być może śmiertelny.

W końcu Creed odparł:

- Kazałem jej upuścić ptaka na moją rękę.
- Miałeś robocze rękawiczki?

Potrząsnął głową, nie patrząc na Hannę. Nie musiał patrzeć. Czuł jej niepokój. Był gęsty jak kawa, którą im zaserwowała.

– Zrobię badanie krwi i śliny nas wszystkich i psów. – Doktor Avelyn nadal mówiła wyważonym tonem, starała się nie wywoływać paniki.

To ten jej niewzruszony spokój wzbudził w Creedzie taki podziw, że jej zaufał i powierzył życie swoich psów. Teraz musiał jej zawierzyć także życie ich wszystkich.

– Jeżeli okaże się, że to ptasia grypa – podjęła Avelyn – wiedziecie, że ryzyko dla ludzi jest niewielkie. W każdym razie takie panuje przekonanie. Wirus nigdy nie przenosił się drogą powietrzną. Ci, którzy zostali zarażeni, mieli w pracy bliski kontakt z żywym chorym ptactwem albo pomagali je zabić. Wirus łatwo rozprzestrzenia się przez ptasie odchody, więc wystarczająco nieodpowiednie warunki sanitarne. To nie musi być krew. – Przerwała na moment, zaraz jednak podjęła: – Większość przypadków śmiertelnych wystąpiła w Chinach, gdzie nie stosują dostatecznych środków ostrożności podczas kontaktów z żywym ptactwem. Nie noszą ubrań ochronnych, kiedy zabijają chore ptaki. Prawdę mówiąc, Chiński Nowy Rok to zawsze powód do niepokoju, bo wielu Chińczyków podróżuje, żeby świętować z rodzinami, a mają zwyczaj przywozić ze sobą w podarunku kury lub kaczki.

– I zaraza gotowa – mruknął Creed.

– W dwa tysiące czternastym roku po raz pierwszy mieliśmy do czynienia z euroazjatyckim wirusem H5N8 w Stanach Zjednoczonych. To było nieuniknione. Zawiniło ptactwo migrujące, które pokonuje Pacyfik. Kiedy wirus dostał się na Środkowy Zachód, już uległ mutacji, żeby przetrwać. H5N1 różni się genetycznie od szczepów azjatyckich czy europejskich.

– Nigdy wcześniej o tym nie myślałam – przyznała Hanna. – Jak łatwo ptaki migrujące mogą przenieść choroby z drugiego końca świata.

– W większości wypadków wirus nie zabija ptaków migrujących, po prostu są idealnymi nosicielami. Ale kiedy zarazi się ptactwo domowe, jak stało się w przypadku hodowlanych

indyków i kurczaków na Środkowym Zachodzie, to już katastrofa. Te ptaki to łatwy cel, nie ma na to lekarstwa, nie ma szczepionki. Jedynym sposobem na zniszczenie wirusa to wybicie całego stada.

– To właśnie Tabor chciał zrobić z naszymi psami – stwierdził Creed. – Wolę myśleć, że był w błędzie. Może został źle poinformowany? Powiedział, że wykonuje czyjeś rozkazy. – Tak mocno zaciskał zęby, aż poczuł ból w szczęcie. Po kawie czuł kwas w ustach i w żołądku. – Powiedz mi, proszę – dodał, patrząc badawczo w oczy lekarki – że eutanazja nie jest rozwiązaniem, jeśli okaże się, że Grace się zaraziła.

– Zaczekajmy na wyniki badań – odparła.

Nie na taką odpowiedź liczył.

– A w tym czasie – kontynuowała Avelyn – sami zadbamy o środki bezpieczeństwa. Musimy przestrzegać standardowych procedur, to znaczy wkładać kombinezony ochronne, maski, osłony na buty i okulary, ilekroć wchodzimy do psiarni. Aha, jeszcze coś. Nikt z nas nie może opuścić tego miejsca.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### *Chicago*

Kiedy agentka Maggie O'Dell znalazła się wreszcie w swoim hotelowym pokoju kilka pięter nad pokojem ofiary, zadzwoniła w parę miejsc i duszkiem wypić dietetyczną pepsi. Włączyła telewizor i nastawiła kanał informacyjny, ale tylko po to, by nie siedzieć w kompletnej ciszy. Jeszcze się nie rozpakowała, wyjęła jedynie notes, kopie dokumentów i laptop. Wszystko to leżało na biurku i w nogach łóżka.

Coś jej nie dawało spokoju, jeśli chodzi o samobójstwo Tony'ego Briggsa, pominiawszy już nawet to, że trudno się było dopatrzeć śladów jakiegoś rytuału i brak pożegnalnego listu. W jego pokoju panował przesadny porządek. Poza telewizorem i ścianą zbryzganymi czymś, co wedle Platta mogło być krwawą flegmą, nie znaleziono innych śladów krwi, nawet na żadnym cholernym ręczniku czy myjce. Prawdę mówiąc, łazienka sprawiała wrażenie, jakby ktoś ją wyszorował, a przecież kierownictwo hotelu twierdziło stanowczo, że nikt z personelu nie wchodził do pokoju Briggsa. A gdyby wchodził, to opróżniłby kosz na śmieci.

Czy zatem to Briggs wyszorował łazienkę? Czy to on pościelił łóżko? Czy można to uznać za jego rytuał, że posprzątał pokój i zrobił porządek, zanim wyszedł na balkon i z niego skoczył?

Wszystko było możliwe. O'Dell widziała dziwniejsze rzeczy w swojej karierze agentki FBI i psychologa przygotowującego profile psychologiczne zbrodniarzy. O wiele dziwniejsze.

Mimo to zastanawiała się, że może jednak ktoś inny wchodził do tego pokoju. Jeśli nie personel hotelu, to może ktoś, kto znał zamiary Tony'ego Briggsa.

Ze stosu papierów wzięła kartkę. Przypięto do niej jedno z najnowszych zdjęć doktor Clare Shaw. Nie wyglądała na swoje czterdzieści dwa lata. Do tej fotografii – zrobionej i wykorzystanej do identyfikatora w ośrodku badawczym – Shaw zaczesła do tyłu ciemne włosy, zostawiając grzywkę, która zwisała nad okularami. Była atrakcyjną kobietą, i tylko drobne zmarszczki w kącikach warg sugerowały jej prawdziwy wiek.

Shaw zdobyła kilka tytułów naukowych z biologii molekularnej na Johns Hopkins University, skupiając się na genetyce i inżynierii biomedycznej. Jej zaawansowane badania koncentrowały się na neurobiologii i ludzkim zachowaniu. Spędziła jakiś czas w kilku

różnych laboratoriach w Stanach Zjednoczonych, ale jedynie parę lat w każdym z nich. Nie tylko często się przenosiła, ale i rzadko nawiązywała trwałe relacje. Podczas śledztwa O'Dell napotkała duże trudności, by znaleźć kogoś, kto znałby ją naprawdę dobrze.

Shaw nie wyszła za mąż i nie miała dzieci. Była jedynaczką, jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Jedynym żyjącym krewnym był dziadek z zaawansowaną demencją starczą. O'Dell znalazła go w ośrodku opiekuńczym w Panama City na Florydzie. W tamtych stronach żył i pracował, a potem, przed dziesięcioma laty, przeszedł na emeryturę. Personel poinformował ją, że doktor Shaw odwiedzała dziadka co najmniej raz w miesiącu, a także często przysyłała drobne upominki, jednak wizyty i prezenty urwały się po lawinie błotnej w Karolinie Północnej. Wszyscy sądzili, że Shaw zginęła w tamtym kataklizmie.

W dwa tysiące dwunastym roku, kiedy Shaw pracowała na University of Wisconsin, zwróciła na siebie uwagę DARPA, rządowej Agencji Zaawansowanych Programów Badawczych w Obszarze Obronności, i powierzono jej kierownicze stanowisko w ośrodku badawczym w Karolinie Północnej. Cieszyła się dużą samodzielnością w doborze i sposobach prowadzenia eksperymentów, dostała też środki na opłacenie ochotników. Jeden z nich, Daniel Tate, przeżył lawinę błotną. Co ważniejsze, jako jedyny przeżył też zbiorową egzekucję, która miała miejsce parę chwil przed atakiem lawiny. Ktoś zastrzelił jednego z naukowców i dwóch ochotników. FBI uważała, że zabójcą była Clare Shaw.

Jednak w tej rekonstrukcji zdarzeń pojawiła się pewna luka czy niejasność. Shaw zniknęła tamtej nocy, jej telefon komórkowy zamilkł, a mieszkanie wyglądało tak, jakby wyszła do pracy i więcej tam nie wróciła. Wydawało się, że nic wartościowego stamtąd nie zginęło. Samochód Shaw został zniszczony przez lawinę. Obciążenia na jej kartach kredytowych zakończyły się w dniu katastrofalnej lawiny.

FBI wystawiło nakaz poszukiwania i aresztowania Clare Shaw obowiązujący na terenie całych Stanów Zjednoczonych, kontaktowało się też w jej sprawie z ośrodkami badawczymi i laboratoriami w kraju. Jednak przez pięć miesięcy nikt nie zgłosił, że ją widział, nie pojawił się nawet żaden fałszywy sygnał. O'Dell zaczęła brać pod uwagę inne rozwiązanie. Mianowicie że doktor Shaw została zabita razem ze swoim kolegą i ochotnikami.

Telefon przerwał jej rozmyślenia. Nie znała tego numeru, a kod wskazywał na Chicago.

– O'Dell, słucham?

– Nawiązując do dzielenia się: może zjedlibyśmy razem kolację?

To był Platt. Gdzieś zniknął oficjalny ton, mówił teraz ciepłym zapraszającym głosem, przypominając jej, że czasami bywa czarującym facetem.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### *Florida Panhandle*

Creed właśnie skończył wieczorne zajęcia z psami. Zdjął kombinezon oraz pozostałe elementy ochronnego stroju i wrzucił do worka do dekontaminacji. Z okna w swoim mieszkaniu widział, że w budynku, gdzie mieścił się gabinet doktor Avelyn, wciąż paliło się światło. Zapowiedziała mu, że to będzie długa noc. Hanna zaoferowała jej pokój gościnny. Creed wiedział, że zrobi wszystko, by lekarka choć trochę się przespalała.

Przed kilku laty Creed i Hanna uznali, że z uwagi na dobro psów szczepienia i w ogóle cała opieka weterynaryjna powinna odbywać się na miejscu, bez kłopotliwych wyjazdów. Zatrudnili więc doktor Avelyn Parker, która z dwoma innymi weterynarzami prowadziła klinikę w Milton na Florydzie, ale zgodziła się zająć się także ich psami. Creed domyślał się, że spadło na nią więcej pracy, niż się spodziewała, nigdy jednak się nie skarżyła. Traktowała jego psy jak swoje.

Włosy wciąż miał mokre po prysznicu, kiedy usłyszał ciche stukanie do tylnych drzwi.

To był Jason. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Wejdz – zaprosił go Creed.

Jason zaraz po przekroczeniu progu powiedział:

– Tony nie żyje. Jego mama właśnie dzwoniła.

Głos miał śmiertelnie poważny. Rozglądał się, by nie spotkać się wzrokiem z Creedem, ale on już zobaczył emocje w jego oczach.

– Co się stało?

Creed nie znał zbyt dobrze Tony'ego Briggsa, ale podczas tych kilku okazji, kiedy się widzieli, odniósł wrażenie, że to napakowany adrenaliną wybuchowy młody mężczyzna, podejrzewał więc, że nie zmarł cichą i spokojną śmiercią. Rozedrganie Jasona wskazywało, że się nie mylił.

– Podobno skoczył z balkonu w hotelu. Z osiemnastego piętra.

Creed się skrzywił. Cieszył się, że Jason patrzył teraz na półki z książkami i tego nie zauważył.

– Gdzie?

– Chicago.

– Co robił w Chicago?

– Skąd, do diabła, mam wiedzieć?

No i proszę, Jason znów wpadł w złość. Jak zwykle. To była jego ucieczka. Wykorzystywał złość, żeby się chronić. Prawdę mówiąc, Creed odetchnął z ulgą. Chłopak nie powinien udawać, że nic nie czuje. Tony wiele dla niego znaczył, więc złość była jak najbardziej na miejscu.

– Nie mówił ci, że wybiera się do Chicago?

– Nie jestem jego pieprzonym opiekunem. – Jason otarł twarz na wypadek, gdyby pojawiła się na niej jakaś łza.

– Lepiej mi powiedz, co wiesz, zamiast na mnie naskakiwać.

Jason skrzyżował ramiona na piersi, sięgnął dłonią amputowanego ramienia. To był nerwowy gest. Creed zauważył, że młody weteran często go wykonywał. Jason pomasaował kikut, jakby wciąż czuł ból, a może jakby musiał sobie przypomnieć, że nie ma przedramienia. Creed nie naciskał. Zachował milczenie, czekał, aż Jason będzie gotowy. Wiadomość była świeża, szok wciąż świeży jak rana.

– Słowem nie wspomniał, że jedzie do Chicago. Przynajmniej mnie. Jego mama powiedziała, że to był jakiś drogi hotel na Michigan Avenue. Coś mi tu nie pasuje. Nic nie pasuje. To nie w jego stylu... – Jason urwał. Spojrzał na zdrową rękę i opuścił ją.

– Są pewni, że to on? – spytał Creed, gdy cisza się przedłużała.

– Miał przy sobie portfel.

– To nie świadczy...

– Odciski palców się zgadzają. To on.

Znów zaległa cisza.

Jason ponownie zaczął masować kikut, przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, nie mógł ustać w spokoju. Wyglądał marnie, choć bardzo starał się nie okazać, że tak właśnie się czuje.

Creed żałował, że nie ma z nimi Hanny. Była w tym lepsza, on nie potrafił pocieszać ludzi. Psy rozumiał, z ludźmi nie szło mu tak dobrze.

– Sukinsyn. Nie wierzę, że to zrobił. Drań.

– Czemu osądzasz go za coś, co sam chciałeś zrobić?

Jason wreszcie spojrział mu w oczy. Na sekundę czy dwie złość zastąpił cień zdumienia. Może zapomniał, co przed miesiącami wyznał Creedowi. Że myślał o samobójstwie. Że po pierwszym powrocie z Afganistanu poważnie to rozważał. Do diabła, może wciąż brał to

pod uwagę?

Creed wiedział też, że Jason stracił przyjaciół. Tony nie był pierwszy, ale najwięcej dla niego znaczył. Razem dorastali, razem wybrali się na wojnę. Razem też z niej wrócili, obaj złamani, choć każdy na swój sposób.

Wreszcie Jason podjął:

– Nie osądzam go. – Uciekł znów wzrokiem, jakby szukał odpowiedzi na horyzoncie. Jeszcze bardziej się wiercił, był rozedrgany.

Creed podszedł do lodówki, wyjął dwie butelki piwa, otworzył je i podał jedną Jasonowi. Chłopak wypił łyk.

Creed chciał zadzwonić do Hanny. Przywykła do pracy z weteranami, których przerosły problemy. Była współzałożycielką Segway House i odgrywała tam aktywną rolę, pomagając rezydentom znaleźć pracę i odnaleźć się w społeczeństwie. Tam właśnie na początku mieszkał Jason, a potem dzięki Hannie zaczął u nich pracować.

Creed ratował psy, a Hanna ratowała zagubione dusze. Jason był jedną z nich.

– Nie spodziewałem się, że wybierze taki sposób. – Jason wypił kolejny łyk piwa. Trzymając w dłoni butelkę, przynajmniej przestał masować kikut.

Creed czekał.

– Czasami o tym gadaliśmy – przyznał Jason. – Na przykład jak byliśmy pijani. Wiesz, takie durne przechwałki. Mieliśmy kumpli, którzy wsadzili sobie lufę w usta. Mówiłem ci, jeden gość nawet się powiesił.

– Więc jaki sposób wybraliście sobie z Tonym? – spytał Creed tak zwyczajnie, jakby dyskutowali o sporcie.

O ironio, to właśnie uspokoiło Jasona. Przestał rzucać wzrokiem dokoła. No, tylko na kilka sekund.

– Po pierwsze zgodziliśmy się, że nie zrobimy nic takiego, przez co nasze matki nie będą w stanie spojrzeć na nasze ciała. – Obejrzał się na drzwi, jakby kogoś oczekiwał. – Nie powiesz tego Hannie, co?

I tyle zostało z pomysłu, że to właśnie z nią Jason powinien porozmawiać. Creed niechętnie pokręcił głową.

– To znaczy nie wiem, jak wygląda ciało kogoś, kto skoczył z osiemnastego piętra, ale domyślam się, że niezbyt fajnie.

– Może był pijany. Nie myślał logicznie. Może to był wypadek.

– Tony to jeden z tych gości, którzy lepiej myślą po pijaku. Zwłaszcza po tym urazowym uszkodzeniu mózgu.

Creed wiedział, że choć Tony wyglądał normalnie i nie miał żadnych widocznych blizn czy uszkodzeń, z którymi wrócili Jason i inni kumple, pourazowe uszkodzenie mózgu miało na niego ogromny wpływ.

– Jakby alkohol go uspokajał – ciągnął Jason. – Mówił, że ucisza demony w jego głowie.

– Więc co się twoim zdaniem wydarzyło?

– Obaj wiemy, że Tony wkurzał wielu ludzi. – Jason wzruszył ramionami. – A wśród nich są tacy, których nie powinno się wkurzać.

Creed skinął głową.

Takich ludzi jak członków karteli narkotykowych. Zeszłego lata Jason, Tony i ich koledzy przyszli mu z pomocą, kiedy członkowie Choque Azul, kolumbijskiego kartelu narkotykowego, którzy korzystali z Zatoki Meksykańskiej jako drogi przemytu, wzięli za cel Creeda i jego psy. Gdyby nie Tony, Creed nie wiedziałby, że atak kartelu się zbliża. Nie zdołałby się do tego przygotować, nie przeżyłby, gdyby Jason, Tony i ich koledzy weterani nie przyszli mu na ratunek.

– Dostałem od niego wiadomość – powiedział Jason. – Może pochodzi z tego samego dnia. – Poklepał się po tylnej kieszeni dzinsów, ale nie miał tam komórki. – Muszę sprawdzić.

– Co ci napisał?

– Że wpakował się w jakieś gówno.

– To może znaczyć wszystko – odparł Creed.

– Może. A może nie.

Zapadła cisza. Creed wiedział, jak trudno pogodzić się z tym, że przyjaciel czy ktoś przez nas kochany popełnił samobójstwo. Kiedy znalazł ojca na kanapie z kulą w skroni, przeczesał cały dom w poszukiwaniu intruza. Pamiętał, że powiedział operatorowi 911, że ktoś zastrzelił jego ojca, patrząc jednocześnie na zwisający z palców ojca rewolwer.

– A jeśli Tony nie skoczył? – spytał w końcu Jason, tym razem patrząc Creedowi w oczy i nie uciekając wzrokiem.

– Uważasz, że ktoś go wypchnął...

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

### *Chicago*

O'Dell i Platt minęli luksusową czterogwiazdkową hotelową restaurację i wybrali boks w barze z grillem. Zamówili burgery i piwo. Maggie poprosiła jeszcze o sałatkę z mieszanych warzyw. Platt zamiast frytek zdecydował się na prażone ziemniaki. W takich miejscach jak to czuli się dobrze, choć od świąt się nie spotykali. Oboje doszli do wniosku, że wydarzenia w Karolinie Północnej wbiły między nich klin, którego łatwo się nie pozbędą.

Platt był uosobieniem dżentelmena i nie inaczej zachowywał się tego wieczoru. Czasami Maggie czuła się winna, kiedy jego dobre maniere ją drażniły. Przez całą karierę zawodową usiłowała doprowadzić do tego, żeby koledzy ze względu na płeć nie traktowali jej inaczej. Platt o tym wiedział, ale kierował się sztywnym kodem etycznym, który między innymi w obecności kobiety nakazywał mu zachowywać się jak dżentelmen.

Pułkownik i lekarz, a także dyrektor USAMRIID, często rozróżniał tylko czerń i biel, dobro i zło, tam, gdzie Maggie by się upierała, że dostrzega choć trochę szarości. Oboje pracowali dla tego samego rządu. Platt darzył go zaufaniem. O'Dell przeciwnie. On należał do tych, którzy przestrzegają zasad. Ona przekraczała granice, a czasami naginała zasady. Było jednak coś, co ich łączyło. Robili to, co należy, a w każdym razie to, co uważali za słuszne. Czasami przy okazji ryzykowali, narażając zarówno karierę, jak i zdrowie.

Tak więc O'Dell trudno było zrozumieć, czemu Platt usprawiedliwia niektóre badania prowadzone przez jego ośrodek czy inne podobne instytucje, jak choćby ta kierowana przez doktor Clare Shaw. Rozumiała, że trwają prace nad stworzeniem szczepionki. Tak, posiadanie próbek najgroźniejszych śmiertelnych wirusów na świecie było konieczne, by stworzyć na nie lekarstwo.

Takie instytucje jak DARPA czy USAMRIID miały dobre argumenty, gdy twierdziły, że muszą być gotowe do ochrony obywateli Stanów Zjednoczonych przed każdą możliwą formą bioterroryzmu, który nie wykluczał wykorzystania wirusów. Grzebiąc w tajnych dokumentach dotyczących ośrodka badawczego w Karolinie Północnej kierowanego przez Shaw – dokumentach, które dopiero niedawno jej udostępniono – O'Dell dowiedziała się, że doktor Shaw prowadziła badania, które w jej mniemaniu naruszały etykę zawodową naukowca.

Na przykład chodziło o eksperymenty, w których płatni ochotnicy zostali zaszczepieni halucynogennymi narkotykami. Innych z kolei pozbawiono snu i co godzinę kazano przechodzić serię testów.

Shaw wydawała się też zafascynowana komarami jako potencjalnymi nosicielami śmiertelnych wirusów i niewykluczone, że wypuściła całe roje tych owadów zarażonych dengą, żeby sprawdzić ich skuteczność jako ewentualnej broni biologicznej.

Przyjrząwszy się dokładnie innym ośrodkom badawczym DARPA – oczywiście na tyle, na ile jej pozwolono – O'Dell nabrała podejrzeń, że eksperymenty Shaw nie należały do wyjątków. Wyglądało na to, że głównym tematem badań były szkody, które można by wyrządzić dzięki nowym odkryciom, oczywiście pod warunkiem, że te szkody dotyczą wroga. Prawdę mówiąc, O'Dell nie byłaby zdziwiona, gdyby się okazało, że te ośrodki zgromadziły więcej broni biologicznej niż chroniących przed nią szczepionek.

– Miałeś wiadomości od Rogera? – spytała, gdy przyniesiono im jedzenie.

– Jest pewny, że to szczep ptasiej grypy. Różni się od H5N1, a nawet H7N1. – Podniósł wzrok. – Wybacz, wiem że te oznaczenia są mylące.

– Czy nad tym właśnie pracowała Shaw?

– Niezupełnie. Zdaniem Rogera ona zmieniała ten szczep, próbowała doprowadzić do tego, żeby przenosił się drogą powietrzną, tak jak podejrzewaliśmy.

– Czy Tony Briggs go testował?

– Briggs i przypuszczalnie inni.

– Już to mówiłeś. Jeśli macie z Rogerem informacje, których ja nie mam na temat...

– Spokojnie, Maggie. – Platt uniósł ręce, jakby się poddawał. – Powiedziałem ci, że niczego nie wiemy na pewno. To tylko przypuszczenia. Zadaniem FBI jest odnalezienie Shaw. Musisz nam zaufać. CDC i USAMRIID muszą być gotowe na to, co ewentualnie zrobi ta kobieta ze skradzionymi wirusami.

– Mylisz się, Ben. Kiedy szukasz mordercy, motyw jest równie ważny, co jego cechy fizyczne i miejsca, gdzie ostatnio przebywał.

– My tylko spekulujemy na temat jej motywu.

– Okej, Ben. A teraz zrób mi tę grzeczność i podziel się ze mną tymi spekulacjami.

Platt kiwnął głową, patrząc na boks po przeciwnej stronie sali. W tym momencie Maggie zdała sobie sprawę, jak oczywista była jej irytacja. Zresztą wciąż była na niego zła. Tworzyli kiedyś coś więcej niż parę znajomych czy przyjaciół, niewiele brakowało, by

stworzyli prawdziwy związek. A przynajmniej coś najbliższego prawdziwego związku od czasu jej rozvodu.

– Powiedz mi, co jeszcze wie Bix – powtórzyła, grzebiąc widelcem w sałatce i nie patrząc Benowi w oczy.

– Jego zespół sprawdza okoliczne szpitale i ośrodki pierwszej pomocy. Niestety większość wczesnych objawów, które znamy, przypomina zwyczajną gripę.

– To bardzo poważna sprawa?

– Byłaś zarażona ebolą, więc wiesz, że wirus może być śmiertelny. – Spotkał się z nią wzrokiem. – Ale ebola rozprzestrzenia się przez kontakt z płynami ustrojowymi zainfekowanej osoby. Dopóki nikt z wirusem nie wejdzie na pokład samolotu, wirus się nie przeniesie. Teraz wyobraź sobie równie śmiertelny wirus. Ptasia grypa jest rozprzestrzeniania przez ptaki migrujące.

Zapadła cisza. Platt rozejrzał się, oparł łokcie na stoliku, pochylił się, żeby O'Dell słyszała jego ściszone mimo gwaru w barze głos.

I powiedział to co najważniejsze:

– Jeśli Shaw udało się dokonać tego, żeby wirus przenosił się drogą powietrzną, potrzebowała bardzo niewielu nosicieli takich jak Tony Briggs. Prosiłaś, żebym podzielił się z tobą naszymi przypuszczeniami. Cóż, spójrz na to w ten sposób. Shaw ma już niewiele do zrobienia. Musi tylko wymyślić, jak zakazić stada ptaków. To byłby jeden ze sposobów rozprzestrzenienia wirusa po całym kraju, i to bardzo szybkiego rozprzestrzenienia. Gdyby odniosła sukces – Platt urwał, lustrując otoczenie – gdyby odniosła sukces, mielibyśmy do czynienia z pandemią.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– W Chinach – wyjaśniał dalej Platt – ludzie zarażali się ptasią grypą przez bezpośredni kontakt z zainfekowanym ptactwem. Z tego, co pamiętam, pięćdziesiąt pięć procent przypadków zakończyło się śmiercią. W dwa tysiące trzynastym roku pojawił się nowy szczep H7N9. Jest tak bardzo genetycznie niestabilny, że od tamtej pory ujawniło się czterdzieści osiem podtypów. To dobry przykład pokazujący, jak ptasia grypa potrafi wymienić się genami z innymi rodzajami grypy i nie tylko przetrwać, ale stać się jeszcze silniejsza. Jeśli tak dzieje się w naturze, możesz sobie wyobrazić, co byłoby ze szczepem hybrydowym stworzonym specjalnie do zakażenia ludzi. A jeśli istnieje sposób, by przekazywać go drogą powietrzną i przenosić z ptaków na ludzi, a potem z człowieka na człowieka...

– Co ze szczepionką? – spytała O'Dell. – CDC na pewno nad tym pracuje.

– Zgromadzili wielkie zapasy szczepionki na H5N1, tylko że może okazać się bezużyteczna, bo wirus szybko się mutuje. Najlepszym sposobem na stworzenie skutecznej szczepionki jest dokładne zbadanie obecnie istniejącego wirusa, przed którym próbujesz się chronić. Ale najpierw musimy go mieć.

– Więc jeśli Bix zdoła wyizolować kilka ofiar, które zostały zarażone tym wirusem, będzie w stanie to zrobić? Stworzyć przeciw niemu szczepionkę? Czy nie tak działa CDC w przypadku zwykłej grypy?

– Tak, ale to może zabrać wiele miesięcy. Sezonowe szczepionki przeciw grypie powodują, że w naszych organizmach jakieś dwa tygodnie po szczepieniu powstają przeciwciała. Chronią nas przed infekcją wywołaną przez wirusy, które są zawarte w szczepionce.

– A skąd wiedzą, jakie wirusy tam umieścić? Sezonowe grypy różnią się z roku na rok.

– To prawda. Wykorzystują dostępne badania wskazujące, które wirusy będą się pojawiały najczęściej w nadchodzącym sezonie. – Gdy O'Dell uniosła brwi, dodał: – Wiem, to brzmi jak loteria... ale ja tego nie powiedziałem. Więc wyobraź sobie, że próbuje się to zrobić z nowym wirusem, który może się zmutować do czasu, gdy stworzysz nową szczepionkę. Ten jest jednym z najbardziej cwanych, dlatego może być tak groźny. Nie jestem ci nawet w stanie powiedzieć, ile milionów dolarów i cennych godzin poświęcono na szczepionki, które okazały się za słabe albo pojawiły się za późno.



Platt zerkał na duży ekran jednego z telewizorów. O'Dell wiedziała, że czekał na najnowsze wiadomości. Owszem, podjęli wszelkie możliwe środki ostrożności, by zachować sprawę w tajemnicy, ale...

– Nie możecie zbyt długo tego ukrywać – stwierdziła O'Dell. – Ludzie muszą wiedzieć, inaczej będą myśleli, że mają zwyczajną gripę.

Platt rzucił wzrokiem dokoła.

– To zadanie Rogera. – Gdy Maggie westchnęła z irytacją, mówił dalej: – Posłuchaj... – Patrzył z napięciem, a ona widziała jego frustrację. – Huragan Katrina nauczył nas, że musimy szybciej ewakuować miasta, nadal jednak nie mamy pojęcia, jak poddać kwarantannie całe miasto. Muszę w tej kwestii zaufać Rogerowi Bixowi i CDC, bo ja przyglądam się tym wydarzeniom przez mikroskop w laboratorium USAMRIID.

Znów popatrzył na telewizor, jakby nie chciał już widzieć sceptycznej miny Maggie. Wiedziała, że patrzył też na pasek na dole ekranu.

Korzystając z okazji, przyglądała mu się. Nie zmienił się, wciąż był przystojny, miał inteligentne, zadumane i życzliwe oczy. Włosy nosił krótko ostrzyżone, po wojskowemu. Ubranie zawsze leżało na nim idealnie. Niezależnie od tego, czy miał na sobie mundur, czy dżinsy i bluzę, jak tego wieczoru, wyglądał schludnie i profesjonalnie. Poruszał się z precyzją i dyscypliną, w zasadzie wszystko robił zręcznie i umiejętnie. Nawet otwierając butelkę z ketchupem, najpierw ją przechylał, potem uderzał wnętrzem dłoni o dno i wreszcie długimi palcami chirurga otwierał wieczko.

Przyłapał ją na tym, że go obserwuje.

– Co?

– Czekam na ketchup – skłamała, a potem mu podziękowała, gdy podał butelkę.

– Czy twoje śledztwo w sprawie Shaw natrafiło na coś, co by wskazywało, że ta kobieta nadal może przebywać w Chicago lub okolicy? – spytał. – Czemu wybrała Chicago? Briggs zdaje się pochodzi z Florydy, prawda?

– Z Pensacoli. – Gdy tylko poznała nazwisko ofiary, sprawdziła ją. – W Atlancie miał godzinę i dwadzieścia minut przerwy w podróży. Roger na pewno wysłał tam swoją ekipę?

Platt kiwnął głową i zajął się hamburgerem.

– Późno włączyłem się do gry – powiedział między kęsami. – Roger zadzwonił do mnie wczoraj późnym popołudniem i prosił, żebym tu przyleciał, kiedy zdał sobie sprawę, że to może być wirus Shaw. Pojawienie się tu Briggsa ogromnie zwiększa ewentualny zasięg

zakażenia. Nie chodzi tylko o ludzi, z którymi miał kontakt na lotnisku, ale o wszystkich pasażerów i członków załogi obu samolotów.

– Kiedy zakażona osoba zaczyna zarażać innych?

– Bardzo mało wiemy na temat ptasiej grypy u ludzi, więc dla bezpieczeństwa zakładamy, że ktoś zaatakowany tym szczepem od razu może zarażać. Czy twoim zdaniem Briggs spotkał Shaw w Pensacoli?

– Raczej miała tam kogoś, kto w jej imieniu wynajmował ludzi, ponieważ od chwili, gdy zaginęła, nie znaleźliśmy po niej ani śladu. Jak dotąd Pensacola może być najlepszym tropem. To może znaczyć, że Shaw wciąż przebywa na Południowym Wschodzie. Czego by potrzebowała, żeby to zrobić?

– Co masz na myśli?

– Wzięła jedną próbkę z ośrodka w Karolinie Północnej. Nawet ja wiem, że to za mało, żeby wywołać epidemię, prawda? Zatem czego by potrzebowała do stworzenia większej ilości tego wirusa? Domyślam się, że to nie jest tak jak z metamfetaminą, kiedy wystarczy przyczepa czy garaż oraz sąsiedzi, którzy nie wściubiają nosa w cudze sprawy.

– Potrzebowałyby laboratorium. Nie musi być bardzo nowoczesne, ale żeby ochronić się przed zakażeniem, laboratorium musi zapewnić izolację i najwyższy, czwarty poziom bezpieczeństwa ze względu na obecność groźnego patogenu.

– Może jakiś inny ośrodek badawczy? – spytała. – Ten w Karolinie Północnej pracował samodzielnie z minimalnym nadzorem.

– Wiele z nich tak działa, zwłaszcza te związane z DARPA. Ale z pewnością już to sprawdziliście?

– Owszem, w miarę naszych możliwości. Niestety nie da się ich wszystkich choćby tylko zlokalizować. Nie ma żadnego archiwum, a w niektórych przypadkach nie ma federalnych regulacji. Rozmawiałam z naukowcami, którzy pracowali z Shaw w innych laboratoriach, ale to ślepa uliczka. FBI wydała nakaz poszukiwania, Shaw jest ścigana z podejrzeniem o morderstwo. Jeśli ktoś zaryzykuje i będzie ją chronił, to ukrywa uciekiniera, czyli sam zostaje przestępcą.

– Czy DARPA z wami współpracuje? – spytał Platt.

Dyrektor DARPA był mentorem i przyjacielem Platta. Pułkownik Abraham Hess był taką legendą, że nawet przesłuchania w Kongresie minionej jesieni nie naruszyły jego dobrego imienia.

– Hess rozmawia tylko z Kunze’em – odparła O’Dell. Kunze był jej szefem w FBI, był też zwierzęciem politycznym zdecydowanie zbyt mocno zatroskanym o swoją reputację w waszyngtońskich elitach. – Wyraził chęć dostarczenia mi wszelkich niezbędnych informacji, tylko wydaje się, że jego personelowi dotarcie do mnie zajmuje całe wieki.

Platt potrząsnął głową. Wiedziała, że nie lubił być zmuszany do obrony Hessa, a teraz nawet nie próbował.

Skończyli kolację. Platt zamówił szkocką, ale Maggie odmówiła, tłumacząc, że czeka ją jeszcze kilka rozmów telefonicznych, i pożegnała się.

Jechała windą z trzema osobami. Jedną z nich był ciemnowłosey młody mężczyzna, który siedział w boksie naprzeciw niej i Platta. Nie patrzył na nią, wlepił wzrok w wyświetlające się nad drzwiami windy numery pięter, jakby bardzo się starał nie patrzeć na żadnego ze współpasażerów.

O’Dell wysiadła na swoim piętrze, a za nią młody mężczyzna, ale kiedy skręciła w prawo, on poszedł korytarzem w lewo. Zatrzymując się przy drzwiach pokoju, widziała, że nieznajomy nadal idzie przed siebie. Zauważyła jednak kątem oka, że na dźwięk jej karty magnetycznej obejrzał się przez ramię.

Weszła do pokoju i przytrzymała klamkę, żeby drzwi głośno się zamknęły, a potem czekała i nasłuchiwała. Po chwili bezgłośnie uchyliła drzwi. Kiedy wyjrzała, młody mężczyzna akurat skręcił za róg, kierował się do wind.

Słyszała dźwięk nadjeżdżającej windy, odczekała, aż jej drzwi otworzą się i zamkną. Potem pośpieszyła korytarzem.

Nad drzwiami wszystkich wind wyświetlały się numery pięter, pokazując, czy winda zjeżdża, czy wjeżdża. W tym momencie tylko jedna winda była w ruchu. Wracała na dół.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

O'Dell wyjęła komórkę.

Być może to przypadek, że młody mężczyzna pomylił piętra, w końcu wszystkie piętra w hotelu wyglądają tak samo. Jedyne problemy polegały na tym, że nie wierzyła w przypadki.

Platt odebrał po drugim dzwonku.

– Jesteś wciąż w restauracji? – spytała.

– Właśnie wyszedłem.

– Naprzeciw nas w boksie siedział młody mężczyzna. – Widziała, że winda jedzie na dół, nie zatrzymując się. – Ciemne włosy, dzinsy, niebieska koszula. Za parę sekund powinien wysiąść z windy w holu na dole. Możesz zrobić mu zdjęcie, a potem zobaczyć, dokąd pójdzie?

Nie zadawał jej pytań, tylko rzucił:

– Oddzwonię.

Odezwał się po dwudziestu minutach, choć wydawało jej się, że trwało to godzinę.

– Wsiadając z windy, rozmawiał przez telefon – relacjonował Platt. – Wziął walizkę od odźwiernego, teraz siedzi w taksówce. Chyba wybiera się na O'Hare.

– Skąd wiesz, że jedzie na lotnisko?

– Bo jadę za nim taksówką. Pamiętam go z restauracji. Miałem wrażenie, że za bardzo interesował się naszą rozmową. Myślisz, że ma z tym coś wspólnego?

– Nie wiem. Jechał ze mną windą i wysiadł na moim piętrze. Udawał, że idzie w drugą stronę korytarza, ale gdy tylko weszłam do pokoju, zawrócił do windy.

– Chciał zobaczyć, w którym pokoju mieszkasz. Może lepiej, żebyś zmieniła pokój.

– Nic mi nie będzie, potrafię się bronić. Zabijanie agentów nie leży w niczyim interesie.

– Dopóki ten agent za bardzo się nie zbliży do rozwiązania sprawy.

– Nie wolno nam wpadać w paranoję. Co mogą mi zrobić? Wypchną mnie z balkonu? – Próbowała żartować. Nie chciała, żeby Platt się niepokoił.

– Sądzisz, że ktoś wypchnął Briggsa?

– Niewykluczone. Ben, uspokój się. Jedziesz taksówką za jedyną osobą, która być może stanowi jakieś zagrożenie.

Rozległo się stukanie do drzwi.

– Obsługa hotelowa.

O'Dell ruszyła przez pokój.

– Maggie, on nie siedział sam w tym boksie w restauracji.

Zatrzymała się w pół kroku.

– Co się dzieje? – spytał Platt, gdy zbyt długo milczała.

– Niczego nie zamawiałam. Oddzwonię. – Zakończyła rozmowę, zanim zaprotestował.

Wyjęła z szafy glocka i przez dziurkę od klucza zobaczyła mężczyznę w stroju kelnera z restauracji. Usiłowała sobie przypomnieć tego drugiego gościa z boks. Dałaby głowę, że ten za drzwiami był starszy, bardziej przysadzisty i w przeciwieństwie do tamtego miał rzednące włosy.

Mimo to natychmiast przypomniała sobie tacę dostarczoną przed laty przez obsługę hotelową do jej pokoju w Kansas City. To wspomnienie uruchamiało wszystkie dzwonki alarmowe w jej głowie. Nigdy nie wymaże tego z pamięci. Na porcelanowym talerzu przykrytym pokrywą z nierdzewnej stali morderca podrzucił śledzionę ofiary.

Z bronią u boku w opuszczonej ręce O'Dell otworzyła drzwi, ale tylko tyle, na ile pozwalał łańcuch.

– Niczego nie zamawiałam – powiedziała.

Mężczyzna nerwowo otworzył notes z zamówieniami i spojrzał na numer pokoju.

– Bardzo przepraszam, proszę pani. Faktycznie pomyliłem numer pokoju. Bardzo mi przykro, że zakłóciłem pani spokój. – Zażenowany odwrócił się i pchając wózek, szybkim krokiem ruszył korytarzem.

O'Dell czekała, nasłuchując, czy zapuka do innych drzwi, lecz zamiast tego usłyszała otwierające się drzwi windy, stukot wózka i szum zamykających się drzwi windy. Czy było w tym coś dziwnego, że pomylił nie tylko numer pokoju, ale także piętro?

Zadzwoniła jej komórka. Platt pewnie się niecierpliwił, choć kiedy odebrała, wydawał się raczej zatroskany.

– Co jest?

– Pomylili pokój. – Nie rozwijała tematu, choć wciąż czuła ucisk w żołądku.

– Ten gość wraca do Atlanty.

– Skąd wiesz?

– Stałem obok niego, kiedy drukował kartę pokładową.

– Wyglądał na chorego? – spytała.

– Nie, ale...

– Ben, nie mamy dowodu, że ma z tym coś wspólnego.

Zwykle mogła liczyć na swój instynkt, ale może rzeczywiście wpadała w paranoję. Konieczność ponownego włożenia kombinezonu ochronnego wywołała nie tylko wspomnienia, ale też bezradność, poczucie, że nie ma nad wszystkim kontroli. Z mordercami dawała sobie radę. Niewidzialne wirusy to całkiem inne zagrożenie.

– Mógłbym go przynajmniej zatrzymać – zaproponował Platt.

– Na jakiej podstawie? Że wysiadł z windy na niewłaściwym piętrze? To niezbyt mądre.

Udało ci się zrobić zdjęcie?

– Tak. Wyślę ci je, zanim wrócę.

– Świetnie! Prześlę je agentowi Alonzo i zobaczymy, co z tego wyniknie. Dzięki.

– Maggie.

– Tak?

– Uważaj na siebie, dobrze?

Zapewniła go, że będzie na siebie uważała i wszystko dobrze się ułoży. Gdy tylko się rozłączyła, zadzwoniła na recepcję i poprosiła o zmianę pokoju.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

### *Florida Panhandle*

Creed podał Jasonowi kolejne piwo ponad blatem, który dzielił kuchnię od pokoju dziennego.

– Może po prostu nie chcę wierzyć, że Tony zrobiłby coś takiego beze mnie – powiedział Jason.

Spojrzał w oczy Creeda, jakby spodziewał się w nich zobaczyć jakiś osąd, jakby chciał sprawdzić, czy według niego byłoby to dziwne, gdyby dwaj przyjaciele razem odebrali sobie życie. Dziwne, że czuje się zawiedziony, kiedy przyjaciel zrobił to sam.

Creed wzruszył ramionami i spytał:

– Długo się przyjaźniliście?

Odetchnął z ulgą, gdy Jason zaczął opowiadać, jak to on i Tony poznali się w szkole średniej i zostali najlepszymi kumplami.

– Tak naprawdę mamy niewiele wspólnego. Nawet w szóstej klasie wszystkie dziewczyny leciały na Tony’ego – mówił Jason. – Ja byłem mołem książkowym, on sportowcem. Pomagałem mu w nauce i testach, a on pokazał mi, jak się zdobywa dziewczynę i jak nie dać się przeciwnikowi załatwić na boisku.

Creed nie miał podobnych wspomnień. Nigdy, ani w podstawówce, ani w szkole średniej, nie zaprzyjaźnił się kimś tak bardzo. Miał czternaście lat, gdy jego siostra Brodie zniknęła. Nie pamiętał nawet, co było wcześniej. Przez lata tak bardzo cierpiał z tego powodu, że nie był w stanie o tym myśleć. Wydawało mu się, że nie ma prawa wspominać szczęśliwszych dni, skoro nie wie, jaki los spotkał siostrę.

Przyglądał się Jasonowi. Chłopak prawie się uśmiechał.

– To Tony chciał zaciągnąć się do wojska, ja nawet się nad tym nie zastanawiałem – mówił Jason. – Było jasne, że też włożę mundur. Oficer rekrutujący dopilnował, żebyśmy razem się szkolili i razem wypłynęli.

Coś przyszło Jasonowi na myśl. Creed zauważył, że jego uśmiech zgasł, jakby przesłonił go cień. Chłopak uniósł sprawną rękę i zaczął masować kikut.

– Powiedział, że czuje się winny, że straciłem rękę, bo mnie namówił, żebym się zaciągnął. Ale on też wrócił z problemami. Tak, był cały, nie jak Colfax ze szklanym okiem i bliznami Frankensteina czy Benny, któremu obie nogi ucięli na wysokości kolan. Do

diabła, w porównaniu z tymi dwoma nawet ja jestem szczęściarzem. Jednak Tony... jak wrócił, wyglądał normalnie, ale od Afganistanu z jego głową nie jest już tak samo.

Creed zwrócił uwagę, że Jason, mówiąc o przyjacielu, używał na przemian czasu teraźniejszego i przeszłego. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Szok po śmierci Tony'ego nigdy do końca nie minie. Creed wiedział, że Tony nie tylko cierpiał na zespół stresu pourazowego, lecz zdiagnozowano u niego również pourazowe uszkodzenie mózgu.

– Tony nazywa to gorączką mózgową – ciągnął Jason. – Widziałem, jak to wygląda. No, strasznie, choć on tak by tego nie nazwał. Powiedział, że mu się zdaje, jakby głowa zaraz miała wybuchnąć. Czuje ciśnienie, ból, czasami walenie. Wciąż potrafi z tego żartować. Czasami pytał nas, czy to słyszymy, i przekrzywiał głowę, nadstawiając ucha w naszą stronę. – Jason uśmiechnął się, i nagle, gdy przyplłynęło do niego kolejne wspomnienie, wyprostował się na barowym stołku. – Coś mi się przypomniało. Tony mówił, że dzwonił na gorącą linię dla weteranów, którzy chcą popełnić samobójstwo.

– Kiedy to było?

– Zeszłego lata, podczas jednego z ataków. Potem z tego żartowaliśmy. Kazali mu czekać na połączenie.

Creed tylko pokręcił głową. Dość już słyszał takich opowieści, wcale go nie dziwiły.

– Cekał trzydzieści siedem minut. Tak się wkurzył, że bardziej niż się zabić, chciał im powiedzieć, żeby się walili.

Creed otworzył lodówkę, by wyjąć jeszcze dwa piwa, ale się powstrzymał.

– Jesteś głodny?

– Gotujesz?

– Jasne, że nie, ale zostało mi coś z tego, co przyniosła Hanna.

– Tak, coś bym zjadł. – Nawet nie musiał odpowiadać, bo na wspomnienie kuchni Hanny oczy mu się zaświeciły.

Creed wyjął z lodówki naczynie żaroodporne i już miał zdjąć folię, kiedy uznał, że ją zostawi i włączy piekarnik. Zwykle brał widelec i jadł zimne jedzenie z prosto garnka. Fatalny zwyczaj samotnika. Sięgnął też po bochenek domowego chleba z mąki kukurydzianej. Ukroił kilka kromek i podsunął talerz Jasonowi.

– Kurczak i fasolka zagrzeją się za jakiś kwadrans.

Jason złapał łąpczywie chleb, zanim Creed wyjął masło. Widząc, że chłopak je z apetytem, Creed uśmiechnął się. Obaj mieli po dwadzieścia kilka lat, tyle że on zbliżał się



do trzydziestki, a Jason ledwie przekroczył dwudziestkę. Jednak przez większość czasu Creed czuł się tak, jakby dzieliły ich całe dekady. Może po części chodziło o to, że miał już za sobą wiele z tych doświadczeń, które dopiero niedawno stały się udziałem Jasona. Co prawda Creed odnosił wrażenie, że jego doświadczenia pochodzą z innego życia.

– Hanna obiecała, że nauczy mnie go piec. – Jason mówił o chlebie.

– A ty gotujesz?

– Trochę, ale chleb się piecze, nie gotuje.

Kiedy Creed uniósł brwi, Jason dodał:

– Moja młodsza siostra i ja byliśmy dziećmi z kluczem na szyi. Tata pracował na nocną zmianę, a mama wracała dopiero o piątej czy szóstej. Mam dość mrożonej pizzy i grillowanego sera.

Creed nigdy dotąd nie słyszał, by Jason mówił o rodzinie. Może widok dziadka mu o niej przypomniał.

– Mieszkają gdzieś w okolicy?

– W Mobile.

Czyli osiemdziesiąt kilometrów dalej. Mimo to Jason po powrocie z Afganistanu trafił do Segway House w Pensacoli. Dotarło do niego, że Creeda to zdziwiło.

– Było im ciężko, jak wróciłem – wyjaśnił. – Jakby nie wiedzieli, co mi powiedzieć. Mama chciała, żebym z nimi został, ale nie mogłem. – Potrząsnął głową, wlepiając wzrok w talerz z domowym chlebem. – Nie mogłem znieść ich wzroku, patrzyli na mnie z takim smutkiem i w ogóle. Z taką cholerną litością i troską. Czuję, że to współczucie mnie przygniata. – Chwycił butelkę za szyjkę i wypił spory łyk. Milczał przez chwilę, po czym dodał: – Tata nawet nie przyjechał do szpitala. Mówił, że nie był w stanie na to patrzeć. – Uniósł kikut. – To było dla niego za trudne, kurwa.

Creed go rozumiał, bo też nie mógł liczyć na swoją rodzinę. Dlatego zaciągnął się do piechoty morskiej, a teraz jego rodzina to Hanna i psy. Nie miał nic do powiedzenia Jasonowi na pocieszenie. Żadnych mądrości. Żadnych rad starszego kolegi.

Spojrzał na zegar i powiedział:

– Może zostaniesz tu na noc?

– Co?

– Kanapa jest całkiem wygodna. Scout jest na dole w psiarni. Będziesz mógł do niego zajrzeć w nocy, gdybyś chciał.

– Boisz się, że jak zostanę sam, coś sobie zrobię. Z powodu Tony’ego.

– Nie o to chodzi. – Właśnie o to chodziło. – Posłuchaj, to był ciężki dzień. Tak tylko zaproponowałem. – Udawał, że wcale mu na tym nie zależy.

– Dobra, rozumiem – odparł Jason z uśmiechem.

Creed spodziewał się odmowy. Czasami korciło go, by zapytać Jasona, czy to przewrażliwienie nie zaczyna go już męczyć.

Tymczasem Jason zaskoczył go, mówiąc:

– Tęsknisz za Grace i Rufusem.

Nie było tajemnicą, że Grace i stary labrador zwykle sypiali u Creeda. Zanim Creed odpowiedział, chłopak dodał:

– Okej, zostanę, jeśli mogę być bliżej Scouta.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

*Nowy Jork*

Christina Lomax przepychała się przez zatłoczony Broadway. Znalazła się tam przez pomyłkę. Po zakończeniu wieczornego spektaklu zamierzała wrócić na Piątą Aleję, lecz nagle porwała ją fala ludzi. Poczowała się zagubiona, nie wiedziała, w którą stronę się skierować. Ale przecież jej przewodnicy tego właśnie chcieli.

Bez końca podkreślali, że powinna mieć kontakt z jak największą liczbą osób. Dotykać przedmiotów, których później inni będą dotykali – klamek w drzwiach taksówek, przycisków w windach, menu w restauracjach.

Teraz Christina marzyła o jednym: by jak najszybciej znaleźć się w hotelu, dlatego rozglądała się za taksówką. Odległość była dla niej zbyt duża do pokonania na piechotę, zwłaszcza że czuła się osłabiona. Przysięgłaby, że opuszczając hotel, nie była nawet w połowie tak słaba. Ledwie trzymała się na nogach, ścisnęła ją w dołku. Tego dnia zjadła tylko obwarzanek kupiony u ulicznego sprzedawcy. Sól złagodziła ból gardła, a ciepłe ciasto wypełniło pusty żołądek. Ale od tamtej chwili minęło wiele godzin i choć właściwie nie miała apetytu, wiedziała, że musi coś zjeść, by całkiem nie opaść z sił.

Przez tłum dojrzała stojące w rzędzie żółte taksówki i czarne sedany. Próbowала łokciami przepchnąć się bliżej krawężnika. Tuż przed nią do samochodów wsiadali ludzie, którzy właśnie wylegli z teatrów. Przeciskała się między nimi, ale ilekroć znalazła się dość blisko, ktoś inny pierwszy docierał do drzwi taksówki. Wciąż ją odpychano. Miała wrażenie, jakby płynęła pod prąd.

W końcu się poddała.

Postanowiła pójść do najbliższego hotelu. Wejdzie do środka na kilka minut, potem wyjdzie i poprosi portiera, by przywołał taksówkę. Wcześniej to się sprawdziło.

Była wystarczająco dobrze ubrana, by wziąć ją za turystkę, którą stać na luksusowy hotel w centrum miasta. Chociaż to nie miało znaczenia. Przed laty nauczyła się, że nie chodzi o same ciuchy, ale o to, jak się prezentujesz.

Pewność siebie. Tego właśnie potrzebowała.

Pewność siebie działała skuteczniej niż skórzane balerinki marki Cole Haan. Nigdy nie miała na sobie butów ani ubrań od drogich projektantów, gdy korzystała z łazienki w Home Depot czy zaopatrywała się w niezbędne rzeczy w Walmarcie. I nikt tam nawet na nią nie

spojrzał. Nikt by nie zgadł, że była bezdomna i mieszkała w samochodzie.

Znajdowała się już na skraju tłumu na Broadwayu, kiedy jakiś mężczyzna powiedział do niej cicho:

– Mam coś dla ciebie, Christina. Ale nie patrz na mnie.

Zesztywniała, nie spojrzała na mężczyznę. Szli razem, a raczej byli niesieni przez tłum w tę samą stronę.

– Staraj się nie sprawiać wrażenia zdziwionej czy zdenerwowanej – dodał, gdy posuwali się naprzód.

Kątem oka próbowała zobaczyć, czy go rozpozna. Był tylko kilka centymetrów od niej wyższy. Miał na sobie ciemną sportową marynarkę, podobne spodnie i lśniące skórzane buty. Włosy i brodę miał krótkie, lekko przyprószone siwizną, choć Christina przypuszczała, że był mniej więcej w jej wieku, po czterdziestce.

– Nie rozumiem – odparła spokojnie, nie przenosząc na niego wzroku. – Kim pan jest?

– Nazywam się Howard, ale to nieważne. Wsunąłem ci coś do kieszeni. Nie sięgaj po to teraz, zaczekaj, aż wrócisz do hotelu.

Do kieszeni? Kiedy? Jak to możliwe? Niczego nie poczuła. Nie zadała mu jednak tych pytań.

– Miej to cały czas przy sobie. Kiedy skończysz, ważne, żeby władze znalazły to przy twoim ciele.

O czym on mówił, do diabła? Nikt nie wspomniał, że musi coś przy sobie nosić. Ale mężczyzna już zniknął.

Przy jej ciele? To brzmiało tak, jakby mówił o śmierci. O jej śmierci.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

### *Na obrzeżach Atlanty*

Stephen Bishop zjadł samotnie późną kolację w narożnym gabinecie usytuowanym blisko laboratoriów. Dla naukowców to normalne, przynajmniej dla oddanych naukowców. Doktor Howard Getz odwołał wieczorne spotkanie, bo miał jakąś pilną rodzinną sprawę w Nowym Jorku.

– Szczerze przepraszam – powiedział przez telefon.

Rodzina może być dla naukowca najsłabszym ogniwem, zwłaszcza podczas takiego jak ten eksperymentu, który pociąga za sobą przeogromne konsekwencje. Ale Getz mówił tak bardzo zboląłym głosem, że trudno było kwestionować jego wyjaśnienia.

Bishop nie miał zielonego pojęcia o prywatnym życiu doktora Getza i wolałby nie nabywać tej wiedzy, lecz jak miał tego uniknąć, skoro nie sposób było nie zauważyć wystawy w jego gabinecie. Na ścianach i półkach pyszniły się zdjęcia Getza i jego uśmiechniętej żony, bez dzieci albo z kilkorgiem w różnym wieku.

Bishop mu nie ufał, choć Getz był jednym z dwóch naukowców zatrudnionych do tego projektu przez pułkownika Hessa. Wprawdzie Getz i doktor Sheila Robins nie zostali wprowadzeni we wszystkie szczegóły operacji, jednak oboje kiedyś już pracowali przy tworzeniu szczepów ptasiej grypy w różnych ośrodkach DARPA.

Celem Getza było spreparowanie uniwersalnej szczepionki, z czym borykano się od dawna. Oczywiście rozumiał, że aby osiągnąć ten cel, najpierw trzeba stworzyć odpowiednio zakaźnego wirusa. Praca Robins była bliższa temu, czym zajmował się Bishop: mieli stworzyć silny szczep, który łatwo przeniesie się z ptaków na ludzi. A potem z człowieka na człowieka, i to przy ograniczonym kontakcie. Ptaki to idealni nosiciele. W powstaniu nowej broni biologicznej Robins dostrzegła tę samą zaletę co Hess.

Ośrodek badawczy był ogromny, choć żeby do niego trafić, trzeba było znaleźć jedną z krętych bocznych dróg. Stał wciśnięty w las u stóp Smoky Mountains, niewiele osób spoza ośrodka w ogóle miało pojęcie o jego istnieniu.

Bishop nie wiedział, ilu naukowców tam pracuje ani ile osób liczy cały personel. W każdym razie było ich tylu, że nikt nie zauważył trzech nowych twarzy. To jedna z dobrych stron tych specyficznych ludzi, którzy zajmują się badaniami naukowymi. Większość z nich to osoby zamknięte w sobie, skryte, a w ośrodku badawczym DARPA wielu było takich,

k którzy chronili swoje projekty przed oczami innych. Brakowało im też czasu i chęci, by interesować się cudzymi projektami.

Bishop wiedział, że w całym kraju istnieją dziesiątki podobnych ośrodków, które cieszą się sporą niezależnością i nie podlegają restrykcyjnym regulacjom. Kiedy Hess musiał szybko znaleźć laboratorium, w którym Bishop mógłby dalej prowadzić swój eksperyment, nie miał z tym żadnego problemu.

Mimo to Bishop musiał posłużyć się siłą argumentów. Być może Hess nazwałby to szantażem, ale po prostu odwołał się do jego osobistych celów i ambicji. Pułkownik jako szef DARPA przez dekady inwestował w badania, które miały chronić amerykańskich żołnierzy i sprowadzać śmierć na wroga. Z tym że wróg przez lata się zmienił. To już nie byli Rosjanie, zimna wojna należała do przeszłości. Teraz to były nowe, choć nienowoczesne siły, takie jak talibowie i radykalni islamscy terroryści.

Broń biologiczna stanowiła tylko część brudnych sekretów, które Hess i jego towarzysze ukrywali przed światem. I niech Bóg broni, by rządzący liberałowie o miękkich sercach zostali skonfrontowani z tą rzeczywistością. Mowa o tych wszystkich, którzy nie chcą choćby obrazić wroga, a co dopiero go zabić.

Bishop i Hess w wielu kwestiach się nie zgadzali, ale jedno ich łączyło. Mianowicie uważali, że wróg jest zawsze dwa kroki przed nimi, niezależnie od tego, jak pokręconą i niemoralną broń wymarzy sobie DARPA. A na pokonanie tego nowego wroga nie było łatwego sposobu. Przecież to terroryści, którzy przypinają sobie ładunki wybuchowe do ciała, gotowi wysadzić się w powietrze razem z setkami niewinnych cywilów.

Dziadek Bishopa był naukowcem w latach sześćdziesiątych, w okresie wyścigu zbrojeń, gdy rywalizowano, kto zbuduje większą i lepszą bombę i kto będzie miał większy zapas tych lepszych bomb. Dziadek Bishopa i Hess rozpoczęli karierę w momencie, kiedy broń biologiczną, jak VX i sarin, uważano za najnowsze narzędzia w rosnącym arsenale broni alternatywnej.

Prawdę mówiąc, dziadek Bishopa był jednym z pierwszych, którzy testowali wykorzystanie komarów jako nosicieli dengi. W tamtych latach testy przeprowadzano na żołnierzach. Pięćdziesiąt lat później, kiedy te fakty wyszły na jaw po latach ukrywania ich w tajnych archiwach, Amerykanie byli oburzeni.

Minionej jesieni pułkownik Hess został wezwany do Kongresu na przesłuchanie, które okazało się polityczną burzą, lecz jakimś cudem wstał niczym Feniks z popiołów. Udało mu

się to bez ujawniania jakichkolwiek informacji na temat bieżących działań DARPA. Nie złożył w ofierze ani jednego ośrodka badawczego czy projektu. Jeśli nie liczyć nieszczęsnej straty ośrodka w Karolinie Północnej, czego naprawdę nie powinno się brać pod uwagę, gdyż doszło do jego zagłady wskutek ogromnej lawiny błotnej, a nie politycznego plutonu egzekucyjnego.

Nowa komórka zaczęła dzwonić.

O wilku mowa.

– Bishop, słucham?

– Miałeś do mnie zadzwonić. – Głos Hessa brzmiał jak żwir na papierze ściernym.

– Widzę, że masz mój nowy numer.

– Powtórz mi, czemu to takie ważne, żeby ci nosiciele byli eliminowani – oznajmił Hess.

– Nie możemy ryzykować, że wyjawią, jak zostali zarażeni – odparł Bishop, który już to wyjaśniał staremu pułkownikowi. – Jeśli będziemy czekać, aż choroba się u nich rozwinie, mogą coś wychłapać.

– Jeden z twoich obserwatorów zabił młodą kobietę i zostawił jej ciało w rzece.

– Mają zrobić wszystko, żeby wyglądało to na samobójstwo.

– Powiedziano mi, że spanikował. Kobieta dzwoniła do szeryfa hrabstwa.

Bishop usiadł prosto, ściskając telefon. To była nowa informacja.

– Co mu powiedziała?

– Jakąś fantastyczną historię o tym, że bierze udział w rządowym eksperymencie i przez to jest chora.

Tego właśnie obawiał się Bishop.

– Uwierzył jej?

– Nieważne. Wysłałem jednego z moich ludzi, żeby tam posprzątał. Od tej pory wykorzystujemy tylko wybranych przeze mnie rekrutów.

– Naprawdę nie mogę sobie zawracać głowy takimi drobiazgami – odparł Bishop, skrywając ulgę. – Wykorzystamy tych twoich ludzi w następnym etapie.

– I twoich obserwatorów – dodał Hess. – Mają składać raporty mojemu człowiekowi.

Hess wyczuł bezbronność Bishopa, jak rekin wyczuwa w wodzie krew swojej ofiary, i wykorzystał to, by zyskać jeszcze więcej kontroli. To było ważne nie tylko dla sukcesu projektu, lecz w równej mierze dla zachowania jego pozycji.

Bishop przełknął dumę, nie wspominając o latach przygotowań, i udał, że to nic takiego,

a potem powiedział po prostu:

– Dobrze.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

### *Chicago*

Dochodziła północ, a Maggie nie mogła zasnąć. Kierownictwo hotelu zareagowało natychmiast, a nawet z przesadą, dając jej nowy pokój, tym razem z pięknym widokiem. Zostawiła włączony telewizor na jednej ze stacji informacyjnych, ale nic ciekawego nie usłyszała.

Nagrała wiadomość agentowi Anthony'emu Alonzo, który został w Quantico, wysłała mu też zdjęcie młodego mężczyzny, którego śledził Platt. Agent mógł je sprawdzić w ich programie rozpoznawania twarzy. Jeżeli szczęście im dopisze, dowiedzą się, z kim mają do czynienia.

Wysłała też mejlem listę pytań, bo Alonzo był magikiem od baz danych. W obecnych czasach niemal wszyscy zostawiali jakieś elektroniczne ślady i jeśli zachował się choć okrucz, Alonzo zwykle go znajdował. Nie dotyczyło to tylko doktor Clare Shaw, która zniknęła bez śladu, a każda kolejna próba poszukiwania kończyła się fiaskiem.

Przekazała agentowi, czego zdaniem Platta potrzebowała Shaw do wyhodowania wirusa, poprosiła, by raz jeszcze spróbował znaleźć laboratorium na Południowym Wschodzie, a na koniec spytała trochę desperacko:

*Czy to możliwe, że podczas dotychczasowych poszukiwań pominęliśmy jakiś ośrodek? Być może w okolicy Pensacoli?*

Alonzo obiecał również, że spróbuje znaleźć coś nowego na temat Tony'ego Briggsa. Prześledzenie jego ostatnich dni mogło ich doprowadzić do Shaw. Maggie jako doświadczona agentka wiedziała, że badając ofiarę, nieraz można zdobyć ważne informacje na temat mordercy. Myśląc o tym, uprzytomniła sobie, że jest ktoś, kto może jej powiedzieć o Briggsie o wiele więcej niż Alonzo.

Myślała o Jasonie Seaverze, kiedy zabręczała komórka. Rozpoznała numer kierunkowy, dzwonił ktoś z Florydy. Ale to nie mógł być Jason. Natychmiast pomyślała o Ryderze Creedzie i była na siebie zła za nagłe podniecenie.

– Maggie O'Dell – przedstawiła się.

– Maggie, mówi Hanna. Hanna Washington.

Oczywiście. Ryder nie był jedyną znaną jej osobą z tamtych stron. Telefon od biznesowej partnerki Creeda i jej zdradzający zdenerwowanie głos zamienił podniecenie

O'Dell w niepokój.

– Hanna, co się stało? Nic ci nie jest? Z Ryderem wszystko w porządku?

– Dzięki, wybacz, że przeszkadzam o tej porze. Wszyscy cali i zdrowi, w każdym razie jak dotąd. Zachodziłam w głowę, kto mógłby nam pomóc, no i padło na ciebie. Wiem, że Ryder o to nie poprosi, ale ja nie jestem taka dumna. Muszę myśleć o chłopcach.

– O co chodzi, Hanno? Oczywiście, że wam pomogę, jeśli tylko będę mogła. Mów, co się dzieje.

– Mieliśmy tu dziś niezłe piekło.

Hanna opowiedziała o mężczyznach w czarnych SUV-ach, którzy przyjechali do ośrodka szkoleniowego dla psów. Uzbrojonych mężczyznach.

– Paru z nich było w kombinezonach ochronnych. Przyjechali... dobry Boże, nie jestem nawet w stanie tego wydusić. Chcieli zabić nasze psy, co do jednego.

– Nie rozumiem. Kto to był?

– Ten, który dowodził, to agent FBI, nazywa się Lawrence Tabor.

Hanna opowiedziała też o zaginionej dziewczynie, Izzy Donner. O tym, jak Ryder i Grace pomagali odnaleźć ciało. I o martwych ptakach. Jeszcze dzień wcześniej żadna z tych informacji nie wzbudziłaby w O'Dell zaciekawienia, nie mówiąc już o niepokoju.

– Zmusiliśmy ich, żeby sobie pojechali – ciągnęła Hanna – ale wiem, że wrócą. Maggie, możesz porozmawiać z tym człowiekiem? Doktor Avelyn poddała psy kwarantannie, wysłała próbki pobrane od padłych ptaków do badania i czeka na odpowiedź z CDC. Ale obawiam się, że ten agent wcześniej tu wróci.

O'Dell zanotowała wszystko, co Hanna wiedziała na temat agenta Tabora.

– Mogą to zrobić? – dopytywała się Hanna.

Mówiła już spokojniej, ale Maggie nadal wyczuwała w jej głosie strach.

– Nie jestem pewna – odparła – ale znam kogoś w CDC. Obiecuję, że zrobię wszystko, by ich powstrzymać.

– Och, dziękuję.

– Powiedz mi coś więcej o tej młodej kobiecie, którą znaleźli w rzece.

– Szczerze mówiąc, niewiele wiem. Rye mówił, że wyglądała spokojnie.

– Spokojnie? Ryder właśnie tak to określił? Spokojnie?

– Powiedział, że wyglądało to tak, jakby wypchała sobie kieszenie kamieniami, weszła do rzeki i się położyła.

Samobójstwo? – pomyślała Maggie, ale zamiast głośno powiedzieć to słowo, spytała:

– Co tam robił agent Tabor? Czemu się tym interesował?

– Nie powiem ci, nie wiem.

– Czy ty albo Ryder możecie się dowiedzieć, co się z nią stało?

– Rye zna koronera, pewnie może do niego zadzwonić. Albo do szeryfa Wyliego. Myślisz, że to ma z nią coś wspólnego? Że nie chodzi tylko o martwe rudziki z wirusem ptasiej grypy?

– Chwileczkę, agent Tabor powiedział wam, że ptaki są zakażone wirusem ptasiej grypy?

– Tak mi się zdaje.

O'Dell już nie siedziała na łóżku, tylko w nocnej koszuli krążyła po pokoju. Skąd agent Tabor to wiedział? – dopytywała się w duchu. A może po prostu zgadywał?

– Posłuchaj, jestem w Chicago, ale jutro albo w środę rano polecę do Pensacoli. – Maggie nie mogła jej powiedzieć o Tonym Briggsie. Nie wiedziała, czy jego rodzina została już powiadomiona o tym, co się stało.

– Byłoby cudownie mieć cię tutaj – powiedziała wzruszona Hanna. – Prawdziwe błogosławieństwo.

– Jeśli Tabor znów się pojawi, zadzwoń do mnie albo każ mu do mnie zadzwonić.

– Dziękuję, Maggie.

O'Dell zakończyła rozmowę i natychmiast włożyła dzinsy oraz bluzę, żeby się rozgrzać, bo chodząc po pokoju w samej koszulinie, nieźle zmarzła.

Pensacola, Floryda, rodzinne strony Tony'ego Briggsa. Martwe rudziki i martwa dziewczyna w rzece, być może kolejna samobójczyni. Musi dodać jej nazwisko do listy agenta Alonzo. O'Dell sięgnęła po laptopa, żeby wysłać mejla, potem zaczęła sprawdzać połączenia lotnicze.

Raptem jej uwagę przyciągnął ekran telewizora.

Wzięła do ręki po pilota i nastawiła głośniej. Reporter rozmawiał z jakąś kobietą. Na dole ekranu widniało jej imię i nazwisko. Była to Ameer Rief, biolog ze Służby Połowu i Dzikiej Przyrody Stanów Zjednoczonych. To, co zainteresowało O'Dell, znajdowało się w tle obrazu.

W tym momencie kamera pokazywała okolicę, dzięki czemu Maggie mogła zobaczyć całkiem sporo. Jezioro wyglądało na ogromne, a całą jego powierzchnię pokrywały białe

gęsi śnieżne. Rief wyjaśniała, że te migrujące ptaki zwykle zatrzymują się tam każdej wiosny w drodze na tereny lęgowe w arktycznej tundrze.

Tyle że gęsi widoczne na ekranie były martwe. Wszystkie.

**WTOREK**

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

### *Florida Panhandle*

– Wyglądasz strasznie – powiedziała doktor Avelyn do Creeda, kiedy wszedł do kuchni Hanny.

– Spałeś w ogóle? – spytała Hanna. Na jednej patelni smażyła jajka, na drugiej bekon.

Creed potrząsnął głową i potarł nieogoloną brodę. Zarost był dłuższy niż zwykle, ale pomyślał, że im nie o to chodziło. Wiedział, że ma przekrwione oczy. Skończył poranne zajęcia, a na zewnątrz wciąż było ciemno. To błąd, że pozwolił Jasonowi spędzić noc w swoim mieszkaniu. Chłopak chrapał, narobił hałasu jak piła łańcuchowa.

Nalał sobie kawę do kubka, a gdy spojrzał na Hannę, zobaczył, że ona też ma cienie pod oczami. Za to Avelyn wyglądała na wypoczętą i ładnie pachniała czymś cytrusowym z kokosową nutą. Starał się nie zwracać uwagi na to, jak ładnie wyglądała czy pachniała. Wiedział, że jest sama, no i mniej więcej w jego wieku. A także to, że jest atrakcyjną kobietą. Ale lata temu obiecał sobie i Hannie, że nie będzie się zadawał – czyli sypiał – z żadną kobietą, z którą pracuje. Hanna twierdziła uparcie, że to by nadszarpnęło reputację firmy i zakwestionowało ich profesjonalizm, a Creed nigdy nic takiego nie zrobi, co mogłoby zranić jego przyjaciółkę i biznesową partnerkę.

– Chyba mam dobre wieści – powiedziała doktor Avelyn, kiedy usiadł naprzeciw niej przy kuchennym stole.

Creed podniósł wzrok na Hannę. Ona już je znała.

– Dostałaś odpowiedź z CDC?

– Nie, jeszcze nie, ale mam wiadomość ze stanowego wydziału zdrowia. Pamiętasz, że wysłałam im próbki pobrane od ruzyców tego samego dnia, kiedy je znalazłeś? Wczoraj, kiedy Tabor i jego banda odjechali, zadzwoniłam do znajomego, który tam pracuje, i przedstawiłam sytuację. Znalazł te wyniki. Nic nie wskazuje, że to wirus ptasiej grypy.

– A co mogło je zabić?

– Wysłałam tylko próbki tkanki. Musieliby mieć całego ptaka, żeby go zbadać. Chcesz, żebym im wysłała ruzycy?

– Chyba nie ma takiej potrzeby?

– Raczej nie, skoro wyniki badania wyeliminowały ewentualne zagrożenie i dla psów, i dla nas.

Creed odetchnął z ulgą tak głęboko, że Hanna się roześmiała.

– Też tak zareagowałam.

– Dodając serię alleluja – powiedziała doktor Avelyn.

– Czyli z Grace wszystko dobrze? – spytał Creed.

– Tak, nie ma powodu do obaw, więc kwarantanna nie jest potrzebna. Wysłałam próbki do CDC, ale wyślę im też te wyniki.

– Więc mamy z głowy Tabora? – spytała Hanna.

– Nie sędzę. Jeśli wróci, pokażę mu wyniki – odparła doktor Avelyn.

Zadzwoił telefon Creeda. Patrząc, kto dzwoni, sprawdził, która godzina. Było dużo za wcześnie na telefon od doktora Emmeta, koronera hrabstwa Santa Rosa.

– Słucham, doktorze.

– Ryder, wybacz, że zawracam ci głowę, ale nie mogę złapać szeryfa Wyliego. Podobno wczoraj pojechał na ryby, ale nawet nie odpowiada na wiadomości.

Creed dobrze znał koronera. Przez lata pracowali razem przy wielu sprawach i choć Creed nie należał do policji, doktor Emmet zawsze traktował go jak przedstawiciela służb. Dawał mu nawet rozmaite przedmioty, które służyły do szkolenia psów, na przykład zęby i kości, po które nikt się nie zgłosił, czy zakrwawione ubranie, którego nie chciała odebrać rodzina ofiary.

– Chodzi o Izzy Donner? Dlatego pan go szuka? Nie rozmawiałem z Wyliem od dnia, kiedy znaleźliśmy ciało.

– Nie dotykałeś jej, co?

– Słucham?

– A twój pies?

– Ani Grace, ani ja jej nie dotykaliśmy. – Creed widział, że doktor Avelyn i Hanna przerwały swoje zajęcia i patrzyły na niego, słuchając uważnie.

– Ona się nie utopiła.

– Tyle sam się domyśliłem.

– W płucach nie ma wody, ale jest spory krwotok. Podczas autopsji niezbyt się nad tym zastanawiałem, tylko stwierdziłem fakt. A teraz posłuchaj. To był krwotok wybroczynowy. Wiesz, co to jest, tak? – Zanim Creed odpowiedział, Emmet podjął: – Zwykle mamy z nim do czynienia, kiedy krew przecieka z małych naczyń włoskowatych w gałkach ocznych. Pękają przy podwyższonym ciśnieniu w żyłach w głowie, kiedy drogi oddechowe są

zablokowane. Brak tlenu czasami może spowodować też krwotok w płucach, ale płuca tej dziewczyny były w strasznym stanie. Ona była chora, bardzo chora, zanim znalazła się w rzece.

– Niech zgadnę – rzekł Creed. – Była zarażona jakimś śmiertelnym wirusem.

– Tego nie wiem. Nie miałem okazji tego sprawdzić, ale według agenta Tabora mogła być zarażona nowym szczepem wirusa ptasiej grypy.

– Tabor do pana dzwonił?

– Był tu. Wczoraj po południu zabrali ciało dziewczyny. Wpadł tu jak burza z ekipą, która wyglądała na jednostkę specjalną. Dupki śmiertelnie przestraszyli moich pracowników. Zamknął nas tutaj. Jego ekipa medyczna pobrała od nas próbki krwi i śliny. Dzisiaj koło trzeciej nad ranem wreszcie nas wypuścili. Martwię się o Wyliego. Wiesz, jak się z nim skontaktować? Zdaje się, że pomagał wyciągnąć dziewczynę z wody.

– Ale jak ona znalazła się w rzece? Jak sama mogła dojść tak daleko, skoro była ciężko chora?

– Jestem przekonany, że ktoś ją tam zaciągnął. Jej zabójca.

– Zabójca? Izzy Donner została zamordowana? Chce pan powiedzieć, że nie umarła na skutek zakażenia wirusem?

– Wybacz, mówię trochę chaotycznie. Krwotok w gałkach ocznych nie powstał z powodu zatonięcia. Sądząc po śladach na szyi, jestem prawie pewien, że została uduszona.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

*Nowy Jork*

Christina całą noc rzucała się na łóżku. Kiedy wróciła do hotelu, była wyczerpana, rozpalona gorączką i wstrząsana dreszczami nie do opanowania.

Zgodnie z poleceniem nieznajomego, nawet nie wkładała ręki do kieszeni, żeby wyczuć, co do niej wsunął. Gdy wreszcie dotarła do hotelowego pokoju, zapaliła wszystkie lampy, a potem usiadła, masując ramiona i zbierając się na odwagę.

Wciąż słyszała jego słowa, a najważniejsze pytanie brzmiało: przyjaciel czy wróg? Na pewno nie był jednym z obserwatorów, skoro nie chciał, by ktokolwiek mógł zobaczyć, że ze sobą rozmawiają. A jednak sprawiał takie wrażenie, jakby wszystko wiedział.

Najbardziej się zaniepokoiła, gdy powiedział, żeby miała to coś cały czas przy sobie.

„Jak skończysz, ważne, żeby władze znalazły to przy twoim ciele”.

Władze. Nie jej zleceniodawcy. Nie obserwatorzy.

Może źle go zrozumiała. Ale przecież jej umysł zachował bystrość i dokładnie pamiętała słowa mężczyzny, choć nie chciała przyjąć ich do wiadomości. Mówił o jej śmierci tak, jakby już się zbliżała, czekała za rogiem. A przecież zleceniodawcy zapewniali Christine, że mają za zadanie pomóc wypełnić jej misję. Zaszczepili ją wirusem. Wiedziała o tym, pozwoliła na to. Wiedziała, że jej zadaniem jest zarażenie możliwie największej liczby osób.

Poinformowano ją także, że to jest test, taki sam eksperyment jak inne testy i eksperymenty, w których uczestniczyła jako ochotniczka w ośrodku badawczym w Karolinie Północnej. Za każdym razem otrzymywała sowite wynagrodzenie. Oczywiście nieraz się zdarzało, że czuła się nieswojo, a nawet przez kilka dni miała nudności, ale zawsze wszystko dobrze się kończyło. Dwukrotnie podali jej nawet surowicę, żeby szybciej doszła do siebie. Czemu więc nieznajomy mówił w taki sposób, jakby spodziewał się jej śmierci?

Przedmiot, który wsunął Christine do kieszeni, tylko zwiększał jej konsternację.

Cały ten incydent w połączeniu z gorączką wywołał dziwne sny, niektóre były niczym halucynacje. Chwilami nie wiedziała, czy śpi, czy śni na jawie. Zostawiła zapalone światło, mając nadzieję, że to coś pomoże, ale nie pomogło. Czuła się jeszcze bardziej zagubiona.

Pościel była mokra od potu, dlatego Christina wstała i owinęła się luksusowym miękkim szlafrokiem hotelowym. Próbowła zasnąć w fotelu zamiast w łóżku, ale nie spała, gdy usłyszała przy drzwiach szelest. Kiedy ujrzała wsuwaną przez szparę pod drzwiami kartkę, poderwała się na nogi, na palcach podbiegła do drzwi i przyłożyła oko do judasza. Niestety zobaczyła tylko zamazaną szczupłą oddalającą się w pośpiechu postać.

Ostrożnie podniosła z podłogi złożoną kartkę papieru i wróciła z nią na fotel. W tym momencie nie była zainteresowana instrukcjami na kolejny dzień.

Nie rozkładając kartki, położyła ją obok przedmiotu, który nieznajomy wsunął jej do kieszeni. Chwilowo mały pendrive był bezużyteczny. Bez komputera nie mogła się przekonać, co jest tam tak ważnego, że muszą go znaleźć przy jej ciele.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

*Omaha, Nebraska*

Zamiast do Pensacoli Maggie zarezerwowała bilet do Omaha. Przed wylotem cały ranek starała się dowiedzieć jak najwięcej o kobiecie, którą poprzedniego wieczoru zobaczyła w wiadomościach telewizyjnych. Zadzwoiła do Platta i poinformowała go o swoich planach, dopiero gdy była gotowa wejść na pokład samolotu, zostawiając mu niewiele czasu na to, by wybił jej z głowy ten pomysł czy próbował przekonać, że to szukanie wiatru w polu. Platt był bardzo zajęтым człowiekiem, więc nie chciała mu zawracać głowy zbyt długą rozmową. Tylko poprosiła go jeszcze, żeby na bieżąco informował ją o postępach CDC.

Ekipa Rogera Bixa spędziła ostatnie trzydzieści sześć godzin w szpitalach i ośrodkach pierwszej pomocy medycznej w Chicago. Platt powtórzył O'Dell za Bixem, że w całym Chicago znaleźli siedemdziesiąt trzy osoby, które mogły mieć kontakt z Tonym Briggssem i były chore. Właśnie teraz badali je na obecność wirusa. Platt przyznał, że jest zbyt wcześnie i większość ludzi może nie szukać pomocy lekarskiej, dopóki nie pojawią się groźniejsze objawy. Spodziewali się, że liczba chorych wzrośnie w ciągu kilku kolejnych dni, zwłaszcza gdy odnajdą pasażerów obu samolotów, którymi leciał Briggs, jednego z Pensacoli, a drugiego z Atlanty.

Lot z Chicago do Omaha był krótki, ale za to Maggie zdrowo wytrzęsło. Cieszyła się, że pani biolog ze Służby Połowu i Dzikiej Przyrody Stanów Zjednoczonych znalazła czas, by spotkać się z nią, a nawet zaproponowała, że odbierze ją z lotniska.

Amee Rief miała na sobie niebieskie džinsy, jasnożółtą narciarską kurtkę i stylowe turystyczne buty. Zaskoczyła tym Maggie, bo w telewizji była ubrana w groszkowy żakiet z identyfikatorem agencji rządowej, w której pracowała.

Rief wychwyciła jej niemą reakcję i powiedziała z uśmiechem:

– Poza kamerą lubię zaszaleć.

Maggie ją polubiła, zanim się spotkały, już przez telefon wyczuła, że jest szczerą i otwartą, a także twardo pilnuje, by robić to, co należy robić. Choć była rzeczniczką departamentu i śledczą w tej sprawie – O'Dell wiedziała również, że ze wszystkich sił się stara, by ustrzec przed paniką media i okolicznych mieszkańców – to nie próbowała ukryć przed nią żadnych szczegółów. Było to miłe i krzepiące, no i rzadkie u pracowników

federalnych.

Droga z lotniska nad jezioro zajęła im prawie dwie godziny. Gdy przyjechały na miejsce, do zmierzchu zostało jeszcze sporo czasu. Podczas jazdy Rief wskazała widoczne w oddali ogromne stado śnieżnych gęsi. O'Dell nie mogła uciec od myśli, że niebo wygląda jak podczas śnieżnej burzy. Białe skrzydła przepięknie połyskiwały w promieniach słońca.

– Czyli nie wszystkie zostały zakażone.

– Jak dotąd martwe gęsi znalazłam tylko na jeziorze. Pobrałam próbki wody, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakichś środków chemicznych, w tym pestycydów, ale pozostałe stada wydają się zdrowe. Zatrzymują się tu miliony śnieżnych gęsi, zanim ruszą na tereny lęgowe – wyjaśniała Rief. – Nie są to jedyne ptaki migrujące, które wybierają dolinę rzeki Platte. Wiele z nich przylatuje tu wzdłuż Platte i Missouri. Za kilka tygodni pojawią się żurawie kanadyjskie.

– Piękne ptaki – powiedziała O'Dell oczarowana na przemian wznoszącą się i opadającą białą falą. Ptaki poruszały się tak płynnie i gładko jak woda w rzece.

– Dobierają się w pary na całe życie – podjęła Rief. – Mają od dwóch do sześciu młodych. Przez pierwszą zimę rodzice z potomstwem trzymają się razem. Jakies sto lat temu śnieżne gęsi prawie całkowicie wyginęły, w ostatnim momencie udało się to zatrzymać, a teraz ich populacja nadal rośnie. I to tak bardzo, że znów wolno na nie polować. Czasami zbyt duża populacja jakiegoś gatunku ptactwa wodnego staje się problemem. Ale nie napotkaliśmy wśród śnieżnych gęsi wielu chorób... aż do tej pory.

– Tak pani myśli czy wie pani na pewno?

– Nie dostaliśmy jeszcze wyników badań, ale nigdy dotąd z czymś takim się nie spotkałam. Wędrowne ptaki wodne od dawna są podejrzewane o nosicielstwo ptasiej grypy, ale same rzadko chorowały.

O'Dell powiedziała o przypuszczalnym pojawieniu się nowego szczepu wirusa. W tej sprawie potrzebowała wiedzy oraz kompetencji Rief i miała nadzieję, że powierzając jej tę informację, nie popełniła błędu, nie doprowadziła do wycieku tajnej informacji. Choć z drugiej strony na to patrząc, jak mogłaby nie przekazać Rief tej informacji, skoro ona i jej koledzy przez najbliższe dni i tygodnie będą badać tysiące martwych gęsi, a potem się ich pozbywać. Powinni znać zagrożenie.

– Wie pani, wszyscy od jakiegoś czasu spodziewaliśmy się, że ptasia grypa dotrze do

Stanów – powiedziała Rief. – To była tylko kwestia czasu i pierwszy przypadek odnotowano jesienią dwa tysiące trzynastego roku w stanie Waszyngton. Być może pani nie wie o tym, ale gdy przebadano ten przypadek, wirus ptasiej grypy nie przypominał szczepu azjatyckiego ani tego, z którym spotkano się w Europie.

– Słyszałam, że wirus łatwo ulega mutacji.

– Och, nie chodziło tylko o ewentualną mutację – niecierpliwie odparła Rief. – Zastanawialiśmy się, czy skoro nasz wirus nie przypomina innych, nie dzieje się tak dlatego, że wyciekł z któregoś z naszych laboratoriów badawczych.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

### *Florida Panhandle*

Kiedy Creed znalazł gruntową drogę, w końcu przestało padać. Opony samochodu ślizgały się na czerwonej glinie, więc zwolnił i pozwolił, by auto z napędem na cztery koła samo sobie poradziło.

Zerknąwszy w tylne lusterko, upewnił się, że Grace siedzi nieporuszona ciągłymi grzmotami. Kiedy zbliżali się do wzgórza, zdawało się, że grzmi donośniej. Creed rozłożył tylne siedzenie dżipa, żeby zmieścić legowisko Grace i sprzęt. Suczka stała na środku, żeby patrzeć przez szybę między przednimi siedzeniami, jakby pomagała mu pilotować.

Grace wiedziała, że zabrali jej sprzęt do pracy, więc była do niej gotowa. Creed miał jednak nadzieję, że znajdą szeryfa Wyliego łowiącego ryby między kolejnymi oberwaniami chmury. Może będzie też znał kilka odpowiedzi na pytania dotyczące Izzy Donner.

Pamiętał, z jaką desperacją stary szeryf szukał młodej kobiety, choć na pozór trzymał się wersji, że po prostu sama się oddaliła. To nie było w jego stylu, żeby ot tak sobie wyjeżdżać na ryby, gdy dzieją się ważne rzeczy. Natomiast w jego stylu byłoby skontaktowanie się z doktorem Emmetem i dokładne wypytanie o to, co naprawdę stało się z Donner. Creed pamiętał również, że gdy jej szukali, Wylie i Tabor sprawiali wrażenie, jakby posiadali jakieś tajne informacje. Podejrzewał, że Wylie mógł dobrze wiedzieć, co się, do diabła, działo.

Może właśnie z tego powodu wyjechał. Jeśli nie po to, by się ukryć, to w każdym razie po to, by choć na chwilę zniknąć.

W głębi lasu wśród sosen długoigielnych stał mały drewniany dom. Grube pnie z łatami zieleni wystrzeliwały wysoko ponad dach, a dom wtapiał się w tło. W ten ciemny ponury dzień łatwo było go nie zauważyć i iść dalej ścieżką, z której korzystali amatorzy łowienia ryb.

Minęły lata, odkąd Creed tam był, ale niewiele się zmieniło. Wylie zapraszał małe grono kolegów na doroczne wyprawy wędkarzy, kończące się ucztą, podczas której smakowano złowione ryby i pito tyle piwa, ile tylko się dało. Creed zwykle omijał kilka kolejek. Grace nigdy jeszcze tam nie była, ale zauważył, że jej nozdrza zaczęły się poruszać, jakby wzięła się do pracy.

Zatrzymał się obok pikapa szeryfa. W błocie krzyżowało się kilka innych śladów opon.

Creed zdał sobie sprawę, że Wylie może mieć towarzystwo.

– Byłoby lepiej, gdybyś odpowiadał na telefony – mruknął pod nosem, a gdy Grace spojrzała na niego, przekrzywiając łeb, mruknął do niej: – Nic się nie martw.

W domu nie paliło się światło, ale nawet w ciemny i ponury dzień dla takiego sknery jak Wylie było tam pewnie wystarczająco jasno.

Creed po wyjściu z dżipa między drzewami poszukał wzrokiem rzeki. Za domem biegła wydeptana ścieżka. Widział stąd wodę i stary drewniany pomost, nie było jednak wędkarzy. Ale nic dziwnego, skoro chmury wyglądały, jakby lada chwila miały pęknąć. Coś jednak zaniepokoiło Creeda. Przy pomoście nie było łódki Wyliego.

Otworzył bagażnik dżipa, żeby wypuścić Grace. Spodziewał się, że będzie wiercić się podekscytowana, jednak suczka znieruchomiała z odchylonym łbem. Wąchając, nadstawiła uszu. Wtedy Creed zdał sobie sprawę z niezwykłej ciszy. Słyszał tylko odległe grzmoty. Żadnych ptaków. Żadnego trzepotania na wietrze. Żadnego szumu generatora.

Było za cicho.

Przypiął Grace smycz i zniósł ją na ziemię. Nie dał jej żadnych instrukcji ani poleceń, ale od razu pociągnęła smycz, kierując się na tył domu.

– Nie zostajemy na kolację – powiedział jej, kiedy poczuł woń palonego niedawno drewna.

Grace potrafiła wyczuć nie tylko popiół z ogniska, wiedziała także, co było na tym ogniu gotowane, choćby działo się to minionej nocy.

Creed zauważył w błocie ślady stóp, różne rodzaje podeszew, różne rozmiary. Pewnie Wylie zaprosił kumpli od wędkowania. Creed poczuł się głupio. Nie chciał wparować na imprezę, na którą nie został zaproszony.

Jednak coś mu się tu nie podobało.

Szedł prowadzony przez Grace. Kiedy minęła dół po ognisku, nawet go dokładniej nie obwąchując, trochę się zdziwił. Suczka kierowała się w stronę wody. Kiedy dotarli do pomostu, jej oddech przyśpieszył, postawiła ogon. Nie zmieniła tempa, nawet gdy wskoczyła na chwiejne deski i maszerowała na koniec pomostu. Dopiero tam gwałtownie się zatrzymała.

Obejrzała się na Creeda, patrząc mu prosto w oczy.

Zmarnował kilka sekund, lustrując wzrokiem brzeg rzeki. Kolejna cenna minuta czy dwie minęły, gdy uklęknął i zajrzał pod pomost.

Tymczasem Grace zaczęła się niecierpliwić. Kołysała łbem i drapała pazurami, jakby usiłowała wskazać właściwy kierunek.

Creed przyglądał się powierzchni wody, która cicho szumiała. Wsłuchał się w lekki wiatr przemykający między wierzchołkami sosen. I znów w górze rozległ się groźny pomruk.

Ta część rzeki miała zaledwie trzydzieści metrów szerokości, ale Creed wiedział, że na zakręcie była szersza. Gdzieniedzie drzewa pochylały nad nią gałęzie, niektóre nawet zanurzały się w wodzie, tworząc naturalne środowisko dla bobrów, insektów i mokasynów błotnych. Ale Creed nic poza tym nie widział.

Spojrzał znów na Grace.

Patrzyła na niego wciąż tak samo, po czym uniosła nos.

– Próbuję – powiedział.

Tym razem skupił wzrok na zakolu rzeki, ze sto metrów dalej. Blisko przeciwległego brzegu dojrzał w wodzie jakiś obiekt. Czerwony obiekt. Kołysał się na powierzchni, ale nie wyglądało na to, żeby płynął z prądem. Creedowi nie przychodziło na myśl nic, co w tej okolicy i o tej porze roku rosło czy kwitło na czerwono.

Wskazał ręką w tamtą stronę i spuścił wzrok na Grace.

Suczka podskoczyła na skraju pomostu, a puls Creeda przyśpieszył. Grace nigdy się nie myliła.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Creed ściągnął buty turystyczne, potem kamizelkę i koszulę, pozbył się też wszystkiego, co mogłoby go obciążać.

– Musisz tu zostać, Grace.

Suczka się zakręciła.

– Mówię poważnie.

Znów się zakręciła.

– Zostań, Grace.

Woda była zimna, więc Creed dobrze zrobił, że nie zdjął dzinsów. Miejscami woda sięgała do pasa, wiedział jednak, że trochę dalej głębokość wynosi sześć metrów. Za zakrętem znów było płycej, rzeka się tam rozlewała, ale żaden problem, bo Creed pływał znakomicie. W jego ośrodku był basen olimpijski dla niego i dla psów, które szkolił. Ale niemal natychmiast, gdy tylko zaczął płynąć, niebo pociemniało. To, co dotąd było cichym poburkiwaniem, teraz z trzaskiem przecięło niebo. Florida Panhandle słynęła z tego, że lądowało tam najwięcej piorunów w całym kraju, a wiosna była najbardziej nieprzewidywalną porą roku.

Creed musiał działać szybko. Uniósł głowę. Wciąż nie widział, czym jest ten czerwony przedmiot.

Niebo rozświetliła błyskawica.

Opuścił głowę i przyspieszył. W pewnym momencie obejrzał się na Grace. Czekwała na końcu pomostu, dokładnie tam, gdzie ją zostawił. Wiedział, że nie ruszy się z miejsca, gdy zacznie lać, nawet gdy po błyskawicach pojawią się grzmoty. Aż do przesady lojalna. Jego Grace.

Był zły, że ją zostawił, szukając wiatru w polu. Potem sobie przypomniał, że to Grace dała mu sygnał na brzegu rzeki. Nie prosił jej, by czegoś szukała, a jednak coś wyczuła.

Gdy bliżej brzegu Creed stanął na nogi, jego stopy zakopywały się w mokrym piasku. Woda uderzała o uda, bo w tym miejscu prąd był silniejszy, do tego wiatr wzmógł się odrobinę.

Czerwony przedmiot zniknął z widoku albo porwał go prąd.

Creed zlustrował powierzchnię wody. Potem przeniósł wzrok na zwisające gałęzie, które zanurzały się w rzece. Wyglądały jak sterta splątanych i połamanych krzaków, po

prostu jak śmieci. Już miał się poddać i zawrócić, kiedy tuż przed nim błysnęło czerwienią.

To była czerwona czapka bejsbolówka z literą A, logo University of Alabama. Wylie był wielkim fanem uniwersyteckiej drużyny futbolu amerykańskiego.

Serce zaczęło mu walić. Czy szeryf wpadł do wody? Uderzył się i wypadł z łódki?

Rzeka była na tyle płytka, by Creed mógł tam dojść. Nie uszedł daleko, kiedy po drugiej stronie sterty gałęzi dojrzał łódkę. Teraz wiedział, że Wylie musi gdzieś tam być.

Zanurkował z głową pod powierzchnię, ale było zbyt ciemno, żeby zobaczyć cokolwiek więcej poza korzeniami i gałęziami.

– Wylie! – zawołał.

Jeśli szeryf był ranny, może go usłyszy.

Obejrzał się na Grace, która podskakiwała podekscytowana.

Creed obszedł stertę gałęzi i śmieci, wlepiając wzrok w małą łódkę. Zaklinowała się między gałęziami a brzegiem. Może Wylie utknął gdzieś pod spodem.

Creed ruszył do łódki i już miał znów zanurkować, kiedy coś przyciągnęło jego wzrok. Coś na drzewie na brzegu. Coś kołyszącego się na gałęzi. Zwisającego z gałęzi.

To był Wylie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

*Nowy Jork*

Christina wyszła na ulicę dokładnie o tej porze, kiedy spodziewali się tego po niej obserwatorzy. Na początek zatrzymała się w małym narożnym sklepiku. Zadbali o to, by miała przy sobie sporo gotówki. Zwykle większość pieniędzy zostawiała w hotelowym pokoju, dzieliła je na trzy kupki i chowała do skarpetek, które potem wciskała w buty. Tego dnia część pieniędzy poupychała w ubrania.

Starła się zabrać ze sobą wszystko, co tylko zdołała zmieścić. Niektóre banknoty wsunęła płasko pod rajstopy. Dwie warstwy wypełniały biustonosz, aż wyglądała na tak biuściastą, że włożyła luźną bluzę, którą kupiła pierwszego dnia od ulicznego sprzedawcy. Rozpruła też podszewki w czapce bejsbolówce i wsadziła pod nią jak najwięcej banknotów. Uczesała się w koński ogon i wyciągnęła go przez otwór w czapce, by mocniej trzymała się na głowie.

Zrobiła to wszystko na wypadek, gdyby postanowiła już nie wracać do tego hotelu. Będzie potrzebowała pieniędzy na kolejny hotel, jedzenie i może bilet powrotny do domu.

Dopiero kiedy mężczyzna na ulicy – ten, który wsunął jej USB do kieszeni – wyraził się o jej rychłej śmierci w taki sposób, jakby była z góry przesądzona, Christina sobie uprzytomniła, że być może obserwatorzy niekoniecznie byli jej sprzymierzeńcami. A teraz zrozumiała, że nie będzie mogła wrócić do domu.

Nie była głupia. Wiedziała, że wszystkie informacje otrzymywane do tej pory od informatorów, a także udzielana przez nich pomoc, służyły temu, by jak najskuteczniej rozprzestrzeniała wirusa grypy, którym ją zarazili. Ale im więcej o tym myślała, tym dobitniej do niej docierało, że nikt z nich nawet nie napomknął, co będzie potem. Że po zakończeniu eksperymentu zadbają o to, by doszła do siebie.

Czasami nocą, kiedy rzucała się na łóżku w przepoconej pościeli, przychodziło jej do głowy, że może jednak okazała się skończoną idiotką. Bo jeśli tym razem nie podadzą jej antidotum, tylko pozwolą umrzeć?

Czy to możliwe? Czy też przez gorączkę zaczyna wpadać w paranoję?

Bezpieczna w niedużym sklepiku, schowana w tylnej alejce, Christina sięgnęła pod bluzę i T-shirt. Wymacała zgrubienie na lewym ramieniu. Małeńki czip był ledwie widoczny. Miała go od trzech miesięcy. Kolejny eksperyment w jakimś innym celu.

A jeśli nie? Jeśli to z niego korzystano, by ją śledzić?

Kupiła karton soku pomarańczowego, małe opakowanie tylenolu i trzy batony proteinowe. Idąc ulicą, na siłę zjadła dwa batony. Zatrzymała się na dość długą chwilę, by połknąć trzy tabletki tylenolu i popić sokiem pomarańczowym.

Poprzedniego dnia przypadkiem wysiadła z windy na niewłaściwym piętrze. W jednym z pomieszczeń ujrzała komputery i drukarki, mieściło się tam centrum biznesowe. Ale było tam kilku mężczyzn i parę kobiet. Obserwatorzy zawsze wsuwali liściki pod drzwiami jej pokoju. Z pewnością oni także mieszkali w tym hotelu. Nie uda jej się skorzystać z tamtejszego komputera.

Ale w innych hotelach z pewnością znajdują się podobne centra biznesowe. Wyjdzie i uda, że spaceruje ulicami, tak jak zawsze, aż w końcu gdzieś znajdzie jakiś komputer.

Wsunęła rękę głęboko do kieszeni dzinsów i upewniła się, że pendrive wciąż tam jest. Chciała wiedzieć, co jest takie ważne.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

*Dolina rzeki Platte*

*Południowo-środkowa Nebraska*

W Nebrasce nie było śniegu, którego w Chicago nie brakowało. Jezioro otaczała zbrązowiała trawa ze śladami zieleni i maleńkich listków. Kiedy słońce zaczęło chować się za drzewami, błękitne niebo na horyzoncie purpurowiało. Gdy SUV podjechał bliżej, O'Dell nie mogła uciec od myśli, że powierzchnia jeziora wygląda jak pokryta warstwą śniegu.

Ptaków było tak dużo, przyciśniętych jeden do drugiego, że nie widziała ani skrawka wody. Niektóre gęsi leżały nawet jedna na drugiej.

Wokół nie było żywego ducha, żadnego ruchu samochodowego, żadnych budynków przemysłowych czy mieszkalnych. I to przez wiele kilometrów. Nawet ptaki na drzewach trudno było zobaczyć. Jedynym dźwiękiem był wiatr szepczący w wysokiej trawie.

– Uznałam, że najlepiej będzie poczekać na wyniki badań, zanim zaczniemy zbierać te ptaki. – Rief wskazała na ślady opon. – Nawet mediom kazaliśmy oddalić się od głównej drogi i wyznaczyliśmy granicę, jak blisko mogą podejść. Nie było to takie trudne, jak widać, bo niełatwo się tu dostać.

– Mimo wszystko jestem pod wrażeniem.

– Ogólnokrajowe agencje informacyjne korzystały z materiałów lokalnych stacji. Jak dotąd byli tym usatysfakcjonowani.

Zaparkowały na polnej drodze i dalej poszły piechotą. W porze zmierzchu wiatr zrobił się zimny, więc Maggie była zadowolona, że włożyła płaszcz. Błoto lepiło się do podeszew. W oddali rozległ się gwizd pociągu. W powietrzu dało się wyczuć woń piżma, ale nie tego, czego O'Dell się spodziewała. Zimno powstrzymywało szybki rozkład ptaków.

– Nie wiem, co miałam nadzieję zobaczyć czy znaleźć – powiedziała do Rief.

– Po prostu musiała pani to zobaczyć.

Z bliska ptaki wyglądały, jakby położyły się na wodzie, by odpocząć, i po prostu zasnęły snem wiecznym. Nie było śladu żadnych urazów, żadnych deformacji, ptaki nie straciły piór. Nie było widać żadnych ran czy krwi. Sprawiały wrażenie bardzo spokojnych.

Właśnie zawracały do samochodu, kiedy Rief wyciągnęła rękę, by zatrzymać O'Dell, i

powiedziała cicho:

– Proszę się nie ruszać.

Nie rozumiała, o co chodzi, dopóki nie ujrzała wyłaniającego się spośród drzew kojota. Powoli zbliżał się do jeziora. Tak bardzo był skupiony na ptakach, że nie zwracał uwagi na dwie kobiety.

Maggie zerknęła na Rief i zobaczyła, że ta patrzy w przeciwnym kierunku. Z drugiej strony spomiędzy drzew trzy kolejne kojoty podążyły w stronę jeziora. Kiedy się znów obejrzała, dostrzegła jeszcze dwa idące śladem tego pierwszego.

– Co robimy?

O'Dell mówiła cicho i spokojnie. Ledwie słyszała własne słowa, tak głośno waliło jej serce. Pracując z Ryderem Creedem, dowiedziała się, że psy wyczuwają ludzki strach. Miało to jakiś związek z hormonami i chemią. Och, nieważne, co innego miało znaczenie. Maggie przypuszczała, że zmysły kojota są jeszcze bardziej wyostrome. Wyćwiczonym gestem wsunęła rękę pod marynarkę, by się przekonać, że nie wzięła ze sobą broni.

– Proszę się nie ruszać – poinstruowała Rief ze spokojem.

O'Dell była daleka od spokoju. Miała trwać nieruchomo? Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Nie mogła nie zauważyć, że znalazły się w pułapce między kojotami a jeziorem. Samochód stał jakieś trzydzieści metrów dalej i mniej więcej w tej odległości znajdował się najbliższy kojot. Bieg do samochodu mógłby zakończyć się fatalnie.

Największy kojot obejrzał się i spojrzał na nie, ale pozostałe raczej nie zwracały na nie uwagi. Bardziej interesowały się martwymi ptakami. To miało sens. Łatwiej im było chwycić w zęby martwe pożywienie, niż zapolować na żywych ludzi. Mimo to O'Dell gorączkowo szukała w pamięci informacji na temat obrony przed atakującymi kojotami.

– Wczoraj w nocy też tu były?

– Nie. One nie lubią świeżego mięsa – odparła Rief. – Zostawiają martwe zwierzę, aż zacznie się rozkładać. Łatwiej je wtedy trawia.

– Mają całe jezioro ptactwa. Czyli nam nic nie grozi?

Gdy O'Dell zadała to pytanie, obejrzał się na nie kolejny kojot.

– Zależy – rzekł Rief.

O'Dell bez słowa czekała na dalsze wyjaśnienia. I się doczekała:

– Zwykle samotny kojot nie atakuje, ale w grupie mogą być agresywne.

Nie to chciała usłyszeć.

Wkrótce słońce zniknie za linią drzew. Miała nadzieję, że kojoty nie potrafią wyczuć strachu, bo była pewna, że zaczyna nim śmierdzieć.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

### *Florida Panhandle*

Creed siedział na pomoście owinięty kocem. Nie pamiętał, kto mu go dał. Grace siedziała obok niego. Zanim ktokolwiek tam przyjechał, minęły dwie godziny. Dla Creeda było to zdecydowanie zbyt długo, żeby tak siedzieć, czekać i myśleć.

W pierwszym odruchu chciał Wyliego zdjąć z drzewa.

Zaczął wspinać się na brzeg. Wspiąłby się również na drzewo po to tylko, żeby szeryf nie wisiał już ze sznurem na szyi. A jednak się powstrzymał, stojąc po kolana w błocie. Zdał sobie sprawę, że może naruszyć miejsce zbrodni i zniszczyć dowody. Chciał wierzyć, że popełniono tam zbrodnię. Nie dopuszczał do siebie myśli, że Wylie sam sobie to zrobił.

A zatem został w miejscu, wlepiając wzrok w ciało. Nie mógł oderwać od niego oczu.

– Nie zrobiłeś tego sam, co, Wylie?

Lina została przerzucona przez gałąź, pętlę na końcu założono na szyi szeryfa, a drugi koniec przymocowano do łódki. Creed widział ślad na gliniastym brzegu. Łódź wciągnięto na brzeg. Wystarczyło ją pchnąć do wody, by zadziałała jak blok. Ciężar ześlizgującej się łodzi podciągnął ciało Wyliego i zatrzymał go w górze. Gdyby nie złamał sobie karku, mógłby walczyć. Creed nie chciał myśleć o tym, jak długo to trwało.

Jednocześnie przypomniał sobie, że czasami rzeczy nie są takimi, na jakie wyglądają. Istniało tyle łatwiejszych sposobów na odebranie sobie życia. Weźmy choćby Tony'ego Briggsa, który skoczył z osiemnastego piętra. Można też, wzorem ojca Creeda, przyłożyć sobie do skroni rewolwer.

Ale o tym Creed też nie chciał teraz myśleć. Przez ostatnie jedenaście lat życia usiłował wymazać to z pamięci. Czasami wymagało to od niego zbyt dużego wysiłku. Żonglowanie wspomnieniami, decydowanie, które uwolnić, a które szczelnie zamknąć, było zbyt bolesne. Zaginięcie Brodie. Samobójstwo ojca. Wyciekały ze swoich schowków i łączyły się ze sobą.

Wciąż słyszał tamtą relację na żywo z meczu piłki nożnej. Płynęła z radia w samochodzie. To dlatego ojciec nie poszedł z Brodie do toalety na postoju. Bo nie mógł stracić ani sekundy pieprzonego meczu. To z tego powodu także Creed z nią nie poszedł, gdyż jego zadaniem było uciszanie psa, żeby ojciec mógł słuchać relacji z meczu.

Creed zawsze się zastanawiał, czy to był jakiś dziwny akt sprawiedliwości, że kiedy



znalazł ojca, w telewizji pokazywano właśnie mecz. Ojciec siedział osunięty na kanapie, jakby przysnął, oglądając zmagania piłkarzy.

Grace szturchnęła go nosem i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ciężko oddycha, głośno łapiąc powietrze. Jak w ataku paniki. Musi zwolnić, uspokoić się. Otoczył psa ramieniem i przyciągnął do siebie, aż Grace też znalazła się pod kocem. Deszcz ustał, ale oboje byli przemoczeni.

Ekipa ratowników w końcu dotarła do łodzi. Musieli czekać na śledczych. Zapadał zmierzch, dwaj mężczyźni umieszczali specjalne lampy. Jeden z techników przystanął obok Creeda i podał mu kubek termiczny.

– Gorąca kawa – powiedział.

– Dzięki.

Potem mężczyzna postawił na ziemi miskę z nierdzewnej stali z wodą dla Grace. Suczka najpierw spojrzała na Creeda.

– Pij – powiedział, a ona go posłuchała. – Jeszcze raz dziękuję – zwrócił się do technika.

– Zastępca Mason kazał panu przekazać, że jest pan już wolny. Aha, pański transport. – Wskazał kciukiem za siebie.

– Mój transport?

– Wyglądasz jak zły sen – odezwał się ktoś z tyłu.

Gdy Creed odwrócił się, zobaczył Jasona i jego przyjaciela Colfaxa. Służyli razem w Afganistanie. Colfax stracił oko, część twarzy miał pokrytą paskudnymi bliznami, wyglądało to tak, jakby połowa twarzy się stopiła.

– Mam tu dżipa. Niepotrzebnie jechaliście taki kawał drogi.

– Hej, ja tylko wykonuję polecenia Hanny.

Jason przyklęknął obok Grace, a ona go powitała, machając ogonem i liżąc po twarzy. Wyciągnął kieszeni kurtki plastikowy worek i wyjął z niego garść suchego pokarmu. Kiedy pies zabrał się do jedzenia, Jason spojrzał na wodę.

– Myślisz, że sam to zrobił? – spytał.

– Nie znałem go dość dobrze, żeby ci odpowiedzieć.

– Taa, cóż, myślałem, że dobrze znam Tony'ego, a jednak tego się nie spodziewałem. – Wskazał na Colfaxa i powiedział do Creeda: – Jeden z nas pojedzie dżipem. Ty i Grace usiądziecie sobie wygodnie i odpoczniecie. Dla ciebie też przywieźliśmy coś do żarcia. –

Kiedy Creed nie odpowiadał, Jason dodał: – Nie każ mi dzwonić do Hanny.

Na te słowa Creed się uśmiechnął i nagle poczuł się zbyt wyczerpany, żeby oponować.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

*Dolina rzeki Platte*

*Południowo-środkowa Nebraska*

Największy kojot pierwszy zbliżył się do jeziora.

Maggie przysięgłaby, że nogi rozboleły ją od stania nieruchomo, ale teraz jak urzeczona obserwowała kojoty.

Dwa trzymały się z tyłu, jakby stały na straży, i od czasu do czasu oglądały się na Rief i O'Dell. Pozostałe podchodziły do jeziora, lecz nie dotarły na sam brzeg. Wyglądało to tak, jakby czekały, aż sytuację sprawdzi przywódca stada.

Najważniejszy z kojotów musiał ugiąć przednie łapy, by sięgnąć celu. Powoli się wyciągnął, aż złapał ptaka zębami, lecz nie było w tym drapieżnej zapalczywości. Chwytał gęś delikatnie za skrzydło i pociągnął, oddzielając od innych. Potem się cofnął, ciągnąc zdobycz na brzeg.

Pozostałe kojoty cierpliwie go obserwowały. Czekały, aż przywódca obwącha martwego ptaka. Zostawił go, wrócił na brzeg i zaczął od nowa to samo, wyciągając kolejną zdobycz. Tym razem kilka razy szturchnął ptaka pyskiem. Tego też zostawił, po czym wybrał inne miejsce na brzegu. Przyciągnął jeszcze dwa ptaki. Wtedy podeszły pozostałe kojoty i zaczęły sprawdzać odrzucone przez przywódcę gęsi. Żaden z nich nie próbował ich ugryźć.

Nagle przywódca odwrócił się i zawrócił do lasu, a pozostałe kojoty ruszyły jego śladem. Znikły, rezygnując z posiłku.

– Wyczuły, że ptaki są chore – stwierdziła Rief. Nie była tym zaskoczona.

Podczas jazdy powrotnej O'Dell myślała o psach Rydera Creeda. Patrząc na kojoty, przypomniała sobie, że kiedy ostatnio rozmawiali, Creed uczył swoje psy znajdować u ludzi rozmaite choroby. Jego zespół wyszkolił już kilka psów, zwłaszcza dla osób cierpiących na epilepsję i cukrzycę. Psy pomagały wyczuć zbliżający się atak i spadek poziomu insuliny, by nie dopuścić do stanu krytycznego. O'Dell pamiętała też, że była winna telefon Hannie.

– Jeśli potrzebuje pani noclegu na tę noc, mój pokój gościnny jest wolny – zaoferowała Rief. – Muszę jednak uprzedzić, że mam czarnego labradora i kota.

O'Dell byłaby zaskoczona zaproszeniem, gdyby nie pracowała wcześniej przy kilku

sprawach w Nebrasce i sąsiadujących z nią stanach. Często spotykała się tam z rzadką w innych stronach gościnnością i serdecznością. W zachodniej Nebrasce pewna Indianka, emerytowana koroner Lucy Coy, otworzyła przed nią swój dom na czas śledztwa. Zaprzyjaźniły się i wspomagały radą oraz uczynkiem przy wielu różnych okazjach. Zwykle jednak O'Dell nie czuła się swobodnie, zamieszkując w cudzym domu. Lubiła, a tak naprawdę organicznie potrzebowała własnej przestrzeni, żeby naładować akumulatory albo po prostu siedzieć i dumać całą noc, jeśli akurat miała na to ochotę.

– Jestem wdzięczna za zaproszenie, ale mam zarezerwowany pokój w Embassy Suites w Old Market. – Wzruszyła ramionami. – To blisko lotniska, a ja wcześniej wylatuję. Ale dziękuję.

– Jasne, nie ma sprawy.

– Jak się nazywają?

– Słucham?

– Pani labrador i kot? Mam białego labradora Harveya i czarnego owczarka niemieckiego Jake'a.

– Duży pieszczoł nazywa się Tommy, a kot Harry.

– Z przyjemnością zaproszę panią na kolację, jeśli ma pani czas.

– To miło z pani strony. – Wskazując na telefon O'Dell, Rief dodała: – Niedługo znajdziemy się w strefie bez zasięgu. Mnie to cieszy. Nawet nie jestem w stanie powiedzieć, ile tysięcy gajówek tracimy każdego roku, kiedy stawiają kolejne wieże czy turbiny wiatrowe.

– Ptaki na nie wpadają?

– Większość ptaków bardzo źle widzi w nocy. Ma pani jeszcze kilka kilometrów, zanim zostanie jedna kreska.

O'Dell skorzystała z rady i zaczęła sprawdzać wiadomości. Miała nieodebrane połączenie od agenta Alonzo i jedno od Platta. Wyglądało na to, że Ben wysłał jej mejla z załącznikami. Zapomniała, że prosiła o raport z autopsji i zdjęcia Tony'ego Briggsa.

Chciała przejść do wiadomości tekstowych, kiedy przestraszyło ją uderzenie w przednią szybę. Podniosła wzrok i zobaczyła, że coś ześlizguje się po masce SUV-a.

– Co to było?

– Nie jestem pewna – odparła Rief, dodając gazu.

Kolejne uderzenie i czarno-czerwona rozmazana plama.

Tym razem Rief zahamowała w momencie, gdy przednia szyba, maska i dach zostały czymś dosłownie zbombardowane. Wszędzie dokoła – na dwupasmową autostradę, do rowów i na otaczające je pola – z nieba spadały ptaki.

Deszcz ptaków.

Rief zjechała na pobocze, wyjęła komórkę i natychmiast zaczęła rozmawiać z kimś o barykadach na autostradzie, podczas gdy O'Dell w swoim telefonie włączyła wideo.

Niebo pociemniało, ale nie z powodu nieuchronnie zbliżającego się zachodu słońca. Nad ich głowami leciały chmury czarnych ptaków o czerwonych końcówkach skrzydeł, zasłaniając słońce. Setki z tych ptaków spadały na ziemię.

Przednia szyba umazana była krwią i piórami. O'Dell starała się pewnie trzymać telefon, nagrywając obraz autostrady, rowu i pola. Wszędzie były martwe ptaki. Zrobiła powiększenie, by nagrać te, które leżały na ziemi. Nie było widać żadnego ruchu – i żadnych ran. Po prostu martwe ptaki. Zapewne umierały, gdy tylko zderzyły się z powierzchnią ziemi, jeśli nie wcześniej.

– Patrol stanowy jest w drodze – oznajmiła Rief.

Na autostradzie pojawił się pikap. Pierwszy samochód, jaki zobaczyły od wyjazdu nad jeziora. O'Dell zauważyła, że Rief się skrzywiła, gdy zaczęła wybierać kolejny numer. Powiedziała do O'Dell:

– Trzeba zamknąć ten odcinek autostrady. Jeśli ptaki są zakażone, nie wolno dopuścić, żeby jakieś ich fragmenty przeniosły się na oponach w inne miejsca.

Kiedy Rief wyjaśniała sytuację przez telefon, O'Dell nadal nagrywała, ale spojrzała dalej, na długi odcinek drogi. Martwe ptaki zaśmieciły autostradę tak daleko, jak daleko sięgała wzrokiem.

Spojrzała na wskaźnik czasu: pięć minut i czterdzieści sekund. A ptaki wciąż spadały.

Dziesięć minut później ta część stada, która pozostała przy życiu, odleciała. Na ziemię spadły ostatnie martwe ptaki. O'Dell i Rief zostały w samochodzie.

Słońce zniknęło za linią drzew, pozostawiając na niebie smugi różu i fioletu. To byłby ładny wiosenny wieczór, gdyby nie setki martwych ptaków rozrzuconych na polach i autostradzie.

– Wie pani, co to za ptaki? – spytała O'Dell. Kilka z nich leżało na masce przed ich oczami.

– Epoletniki krasnoskrzydłe.

– To gatunek migrujący?

– Tak. – Rief wyglądała na rozkojarzoną. Wypatrywała patrolu stanowego i spoglądała na komórkę, od czasu do czasu odpowiadała na jakąś wiadomość. – Ptaki spadające z nieba w tej liczbie to nie jest nic nadzwyczajnego. Były wypadki, kiedy całe stada przestraszone głośnym hałasem wylatywały ze swoich żerowisk. Lecą wtedy zbyt nisko, uderzają w budynki czy, jak już wspominałam, wieże telefonii komórkowej i turbiny wiatrowe. Czasami wpadają na linie wysokiego napięcia. Wiatr, mgła, błyskawica, wszystkie te czynniki wywoływały podobne zjawiska.

O'Dell patrzyła przez okno, powstrzymując się przed powiedzeniem na głos tego, co obie myślały. Żaden z tych czynników nie wchodził w rachubę. Pogoda była piękna, choć temperatura trochę niska, ale nigdzie w pobliżu nie dało się dostrzec budynków, turbin ani wież czy nawet wieży ciśnień. Wciąż było widno, więc nawet złe widzenie ptaków w nocy nie mogło tłumaczyć tego, co się wydarzyło.

– Sprawiały wrażenie, jakby spadały, a nie zlatywały na nasz samochód – powiedziała O'Dell.

– Tak, też to zauważyłam. – Rief czytała jakąś wiadomość w telefonie. – Kolega właśnie napisał, że w zeszłym roku w Idaho był świadkiem, jak stado gęsi spadło z nieba. – Przesunęła palcem po ekranie. – Około dwóch tysięcy. Później ustalono, że to była ptasia cholera. Nie wiadomo, gdzie ptaki zaraziły się bakterią, ale tak szybko się rozprzestrzeniła, że zakażone ptaki mogą nie wykazywać objawów choroby i nagle umrzeć w locie.

O'Dell nie zdołała się powstrzymać i wypaliła:

– Ciekawe, czy w Idaho są jakieś laboratoria prowadzące badania nad ptasią cholera.

Zanim Rief odpowiedziała, zauważyły w oddali migające niebieskie i czerwone światła. O'Dell już chciała odetchnąć z ulgą, gdy dojrzała, że z przeciwnej strony nadjeżdża inny pojazd. Nawet z tej odległości na jego dachu dostrzegła antenę satelitarną.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

*Nowy Jork*

Christina z ociąganiem powlokła się z powrotem do pokoju w Grand Hyatt. Choć dbała o to, by regularnie łykać tylenol, dostarczać swojemu organizmowi proteiny, wodę i witaminę C, z trudem walczyła ze zmęczeniem i bólem mięśni. Nabawiła się kaszlu, w piersi bolało. W drodze powrotnej zatrzymała się w małym sklepiku i kupiła lekarstwo na kaszel oraz sok pomarańczowy. Była jednak zbyt wyczerpana, żeby myśleć. Kiedy zobaczyła, co znajdowało się na tajemniczym pendrivie, zaczęła się bać.

Wychodząc, zapomniała powiesić na drzwiach pokoju znak „Nie przeszkadzać”, jak kazali robić obserwatorzy, a teraz cieszyła się, że wyleciało jej to z pamięci. Obsługa zmieniła przepoconą pościel, a nawet zostawiła czysty i schowany w woreczku szlafrok.

Duszką wypijała gratisową butelkę wody i odłożyła zakupy. Ostrożnie zdjęła ubrania i położyła na nocnym stoliku, nie wyciągając ukrytych w nich banknotów. Rano znowu to wszystko włoży i spróbuje wymyślić jakiś plan.

Włączyła telewizor, żeby przegonić ciszę. Cały dzień spędziła w ulicznym hałasie samochodów i głosów, gwizdów i klaksonów, muzyki i krzyków. W ciszy słyszała swoje walące serce, a tego wieczoru także nowy świszczący dźwięk w piersi. Pragnęła zagłuszyć odgłosy swojego chorego ciała.

Wciąż usiłowała pojąć to, co znalazła na pendrivie. Weszła do luksusowego hotelu niedaleko Broadwayu. Jednego z hoteli, do których już wcześniej zaglądała, kiedy chciała, żeby portier zatrzymał dla niej taksówkę. Więc kiedy tym razem weszła, pewnym krokiem pomaszerowała prosto do wind, jakby była jednym z gości.

Nikt z nią nie jechał. Nikt nie widział, na którym piętrze wysiadła, ale na wszelki wypadek wysiadła z windy dwa piętra powyżej centrum biznesowego i zesłała schodami. Nikogo prócz niej nie było w tym pomieszczeniu.

Przeglądając zawartość pendrive'a, zdała sobie sprawę, że znajdowało się na nim zbyt wiele dokumentów, by ze wszystkimi zdążyła się zapoznać. Nie mogła przecież siedzieć tam całe popołudnie. Przypuszczała, że w końcu pojawią się jacyś ludzie, zaczną się ruch. Jeden z nich może być obserwatorem, a ona przecież ich nie знаła. Jeżeli obserwator widział, że weszła do tego hotelu, to na pewno czekał, aż z niego wyjdzie. Ile czasu minie, zanim zacznie jej szukać?

Drżącą ręką zapisała to wszystko, co zwróciło jej uwagę. Tylenol pomógł obniżyć gorączkę, wciąż jednak po lekach czuła się otumaniona. Usiłowała się skupić, a nawet coś zapamiętać.

Pamięć podręczna zawierała listy pasażerów, dane statystyczne i streszczenia eksperymentów. Dalej widniał plik zatytułowany:

*Ochotnicy biorący udział w eksperymencie*

Zaciekawiona Christina kliknęła i otworzyła go, a kiedy na jednej z list ujrzała swoje nazwisko, wstrząsnęły nią zimne dreszcze, jakby ktoś otworzył drzwi za jej plecami i wpuścił zimny powiew.

Po powrocie do pokoju w Grand Hyatt zajęła się znów swoim zdrowiem. Łyknęła wieczorną porcję leków, wzięła gorącą kąpiel na obolałe mięśnie. Starła się nie skupiać na słowach przeczytanych w pliku przy swoim nazwisku. Takich jak „zgon bez wspomagania” czy „w razie konieczności wspomagane samobójstwo”.

Kiedy z szuflady biurka wyjęła plan miasta, jej uwagę przyciągnął ekran telewizora. W życiu czegoś podobnego nie widziała. Sięgnęła po pilota i zrobiła głośniej. Wypowiadała się jakaś kobieta, a tymczasem kamera pokazywała autostradę i pole pokryte setkami padłych ptaków. Christina wzięła z biurka notes i szybko zanotowała nazwisko tej kobiety oraz wszystkie informacje, które zdołała usłyszeć.

Potem usiadła, ręce wciąż jej się trzęsły. Jeden z dokumentów, który widziała na pendrivie, opisywał przyszłe eksperymenty, w tym zakażenie stad ptaków. Do głowy jej nie przyszło, że to już się dzieje.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

### *Florida Panhandle*

Jason już kiedyś to widział. Widział, jak człowiekowi, którego podziwiał i darzył szacunkiem, na widok śmierci odbierało mowę. Nie każdej śmierci, lecz tej samobójczej. Człowiek czuł się przez nią bezbronny i bezradny, jakby mógł jej zapobiec, gdyby pojawił się wcześniej. Gdyby tylko był w stanie ją przewidzieć. Jason przypuszczał, że tak właśnie czuł się teraz Ryder, człowiek, którego podziwiał i darzył szacunkiem.

On postrzegał to nieco inaczej. Dla niego samobójstwo było ulgą, ucieczką, a także obietnicą, że już nie trzeba będzie się mierzyć z własną bezradnością i bezbronnością, z poczuciem, że nie jest się istotą w pełni wartościową.

Jason przywiózł Creeda do domu, po czym odwiózł Colfaxesa do Segway House. Teraz był już z powrotem w swojej dużej przyczepie i patrzył na pudełko od Tony'ego. Wcześniej razem z Colfaxem odebrał je od mamy przyjaciela. Widniało na nim imię Jasona. Tony zostawił je mamie z poleceniem, że gdyby coś mu się stało, pudełko ma trafić do rąk Jasona. Podobno się przy tym upierał, choć żartował, że oczywiście nic złego mu się nie przydarzy. Pani Briggs we łzach powiedziała Jasonowi i Colfaxowi, że powinna była zobaczyć w tym jakiś znak.

Wszyscy uważali, że powinni byli zauważyć jakieś znaki.

Jason oderwał taśmę i zajrzał do środka. Rozpoznał rzeczy Tony'ego. Zamknął pudełko i postawił je w rogu.

Czy Tony wiedział, że już nie wróci?

Colfax wydawał się przekonany, że pudełko to dowód na samobójstwo Tony'ego. Tylko po co miałyby w tym celu jechać aż do Chicago? Czy nie jest równie prawdopodobne, że bał się, iż przez ludzi, z którymi się zadał, już nie wróci do domu?

Jason podzielił się swoimi podejrzeniami z Colfaxem. Powiedział mu o esemesie, w którym Tony napisał, że wpakował się w „niezłe gównno”.

– A jeśli ktoś go wypchnął? – spytał Jason.

– Po co mieliby robić sobie tyle fatygi? – Colfax pokręcił głową. – Gość, który chciałby się pozbyć Tony'ego, nie zwracałby sobie głowy upozorowaniem samobójstwa.

Może Colfax miał rację. Może Jason nie chciał uwierzyć, że stary przyjaciel – najlepszy przyjaciel – nie zwierzył mu się. Zwierzali się sobie, ale zabrakło tego ostatniego

zwierzenia. Nie dał Jasonowi szansy, żeby wybił mu to z głowy.

Jason rozejrzył się po przyczepie. Po powrocie z Afganistanu dopiero w tym miejscu poczuł się jak w domu. Hanna i Creed ofiarowali mu tę przyczepę razem z pracą i psem, a co najważniejsze, dali mu cel w życiu. Jednak tego wieczoru nie mógł przestać myśleć o Tonym. Wszyscy tak chętnie uwierzyli w jego samobójstwo.

Może po prostu rzeczywiście tak było. W końcu Jason doskonale wiedział, co musiał czuć Tony. Wiedział, jakie kuszące, jak wiele obiecujące wydawało się samobójstwo.

Zwykle czarne myśli nachodziły go po zapadnięciu zmierzchu, najczęściej późnym wieczorem. Czasami przychodziły cichutko na palcach. Czasami z przytupem i krzykiem. W tym momencie czuł rosnące ciśnienie i miał świadomość, jaki może osiągnąć poziom. Taki, że zagrozi wybuchem w jego głowie.

Zaciśnięcie powiek nie pomagało. Napływały obrazy fragmentów ciała i rozbryzganej krwi. Kałuż krwi zbierających się na skorupie ziemi tak suchej i pylistej, że krew przypominała ślizgającą się płynną rtęć.

Jason nie pamiętał tej chwili, kiedy wybuch bomby domowej roboty oderwał mu przedramię. Nic nie czuł. Leżąc z policzkiem przyciśniętym do pokrytej pyłem skały, nie miał pojęcia, że brak mu ręki. Patrzył na swojego sierżanta, który tuż obok gwałtownie wymachiwał rękami i nogami. Rzucił się i wił. Stracił połowę twarzy. Usta miał otwarte do krzyku, choć Jason go nie słyszał. Wybuch zagłuszył wszystkie dźwięki hukiem tak potężnym jak w tunelu aerodynamicznym.

W Afganistanie Jason i jego koledzy żołnierze – także Tony – obsesyjnie rozmawiali o domu. Jak bardzo za nim tęsknią. Tęsknili za najprostszymi rzeczami, za zimnym piwem, zapachem świeżo skoszonej trawy... czy po prostu trawy. Koniec, kropka.

Wiele z ich rozmów zaczynało się od słów:

– Jak wrócę do domu...

Tylko o tym mówili. Sny o domu pozwalały im spać mimo huku wybuchających w oddali, gdzieś za zasiekami, bomb. Myśl o powrocie do domu pomagała im przetrwać. To był sekretny skarb, który skrywali w głębi duszy i którego nie pozwolili talibom sobie odebrać. To było hasło, okrzyk bojowy, obietnica i jedyna prawdziwa motywacja do codziennego porannego wstawania.

Jedyny problem w tym, że żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, iż po powrocie do domu będą już innymi ludźmi. Że zabiorą ze sobą koszmary, którymi nie będą mogli się

podzielić ze swoją rodziną. Że niektórzy z nich wrócą z gorączką mózgową, inni z paranoją, drgawkami czy awersją do głośnych dźwięków. Nie spodziewali się też, że mogą wrócić bez rąk, palców, oka czy połowy duszy.

Nie byli przygotowani do walki, która czekała ich w Stanach. Wielu z nich nie zdążyło nauczyć się zawodu. Prowadzenie czołgu, atak z bronią, wykrywanie min pułapek – tych umiejętności już nie potrzebowali. Ale zostały w nich głęboko zakorzenione, w samej ich naturze.

Jak przestać myśleć o ciągłym zagrożeniu życia? Jak się nie wzdrygnąć i nie szukać schronienia na dźwięk metalicznego szczęku za plecami? Kiedy taki właśnie dźwięk wydają nawet wsuwane jeden w drugi wózki na zakupy na parkingu w supermarkecie. I jak świętować 4 Lipca? Pierwsze święto 4 Lipca po powrocie Jason spędził zwinięty w kącie szafy w Segway House, czekając i modląc się, żeby wreszcie skończyły się fajerwerki.

Może po prostu, gdy żyło się w piekle, powrót do domu był niemożliwy.

Od jakiegoś czasu Jasona nie nękały czarne myśli, porzucił też swój rytuał. Trwało to na tyle długo, że nie pamiętał ostatniego razu. Można by uznać, że to świadectwo poprawy, jakieś kryterium pozwalające ocenić, że nie był na straconej pozycji.

Jednak tej nocy Jason myślał o Tonym i nie mógł uwierzyć, że najlepszy przyjaciel go zostawił.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Jason trzymał pudełeczko z tabletkami razem z zestawem do golenia. Przyzwyczał się je ukrywać, choć teraz, gdy miał własny dom, nie było to już konieczne.

Wszystkie tabletki i kapsułki zmieściłyby się w dwóch czy trzech pudełeczkach, ale on trzymał je osobno. Każdy rodzaj w oryginalnym opakowaniu. Częścią rytuału było wysypywanie ich po kolei, pojemnik po pojemniku na osobne stosiki. To była prywatna kolekcja Jasona zebrana w ciągu miesięcy hospitalizacji i rehabilitacji.

Lekarze wciąż przepisywali mu leki. Prawdę mówiąc, nadal to robili. Najpierw środki przeciwbólowe, potem inne. Kiedy Jason napomknął o problemach ze snem, zaproponowali mu różnorodność leków nasennych.

Jeden z lekarzy spytał go o depresję. Jason tylko wzruszył ramionami, zamiast powiedzieć:

– Tak myślisz? Sukinsynu, straciłem połowę ręki. Czy jestem w depresji? Tak, do diabła!

Depresja... To słowo czy też nazwa „jednostki chorobowej” w najmniejszym stopniu nie odpowiadało temu, co przeżywał Jason. A zatem dostał kolejną receptę.

Następnie zdiagnozowano u niego zespół stresu pourazowego, który wymagał nowego lekarstwa.

Jason i jego kumple śmiali się z tej swoistej kolekcji. Bo w przeciwieństwie do kumpli, Jason odmawiał przyjmowania jakichkolwiek leków. Zwykle czuł po nich zawroty głowy i mdłości. Nie pojmował, jakim cudem wszystkie te pigułki mogłyby stanowić remedium na jego problemy. Widział w nich za to pomocną alternatywę, jeśli – czy kiedy – uzna, że jest zbyt zmęczony życiem.

Więc Jason zbierał pigułki.

Z początku w samym ich posiadaniu znajdował pocieszenie. Kiedy to mu nie wystarczyło, zainicjował rytuał wyjmowania ich i wysypywania na osobne stosy, jakby przeglądał swój arsenał.

Wymyślił, które ze sobą połączy i w jakiej kolejności je połknie, żeby zagwarantować sobie sukces. Policzył, ile nasennych pigułek weźmie na początek, zanim połknie te najsilniejsze. Chciał mieć pewność, że będzie wystarczająco nieprzytomny, zamulony, żeby nie zmienić zdania i nie wywołać wymiotów. Pewnego razu, gdy mieszkał jeszcze w Segway House, przerwało mu pukanie do drzwi. Właśnie wziął pigułki nasenne i miał

połknąć resztę. Kiedy osoba, która stuknęła, odeszła, był zbyt śpiący, żeby kontynuować. Skończyło się na tym, że spał osiemnaście godzin bez przerwy.

Więcej nie popełni tego błędu.

Jason zerknął na pudło z rzeczami Tony'ego. Scout, jego ośmiomiesięczny labrador, leżał rozciągnięty obok pudła na podłodze. Tony nauczył szczeniaka aportować. Scout miał zostać świetnym psem ratowniczym i tropiącym. Teraz traktował kartonowe pudło jak coś, czego należy strzec i pilnować.

Jason miał wrażenie, jakby ktoś przycisnął mu pięść do piersi. Ucisk wydawał się tak rzeczywisty, że z trudem oddychał. Szczeniak wyczuł swojego partnera od zabawy. Jason przyłapał psa na tym, jak obracał łeb w stronę dźwięków dochodzących zza drzwi przyczepy, jakby się spodziewał, że lada moment Tony zastuka do drzwi.

To wszystko tylko bardziej usprawiedliwiało rytuał Jasona.

– Nie mogę uwierzyć, że mnie zostawiłeś, bracie – powiedział Jason, a Scout przekrzywił łeb. Czasami mówił do psa „bracie”, więc wprowadził go w konfuzję.

Jason zaczął otwierać pojemniki i wysypywać pigułki na mały stolik. Jedna pigułka, potem dwie. Ustawił pojemniki w rzędzie, jeden za drugim, według wymyślonej przez siebie recepty na koktajl. Tym razem się uda.

Rytuał Jasona miał swój rytm. Niebieskie pigułki, potem żółte. Skupiał się na ich strukturze, kształcie i kolorze. Reszta świata zniknęła, jedynym dźwiękiem w jego głowie było ciągłe odliczanie. Żadnych wybuchów. Koniec budzenia się w środku nocy i odkrywania, że oderwane ramię to nie koszmarny sen, lecz jego nowa rzeczywistość.

Był tak skupiony na tym, co robił, że nie zauważył, kiedy Scout się podniósł. Pies podszedł i przyglądał mu się, zafascynowany nową grą.

Jason wysypał na blat kolejny pojemnik. Tym razem okrągłe tabletki potoczyły się na brzeg, a Scout próbował je złapać.

– Nie, zostaw!

Jason odepchnął psa, zaskoczony jego aktywnością. Potem zdał sobie sprawę, że Scout mógł połknąć jakieś tabletki, i poczuł ścisk w żołądku.

– Jasny szlag! Złapałeś coś? – Chwycił psa i zajrzał mu do pyska. – Wypluj to, do diabła.

Wpadł w szal. Spanikowany wpychał palce do pyska Scouta, połową ręki rozpaczliwie starając się przytrzymać go w miejscu.

Zabrakło mu tchu, serce waliło jak młot. Potem usłyszał cichy jęk i skowyt przestraszonego zwierzęcia.

Powstrzymał się. Zobaczył wybałuszone psie oczy. Wyjął palce z psiego pyska i delikatnie przytulił przestraszonego Scouta do piersi.

– Przepraszam. Dobry Boże, przepraszam. Co ja, do diabła, wyprawiam?

Trzymał go mocno, głaskał i bez końca przepraszał, wracając spojrzeniem na blat. Czy pies coś połknął?

Policzył wysypane tabletki. Wiedział na pamięć, ile było sztuk każdego rodzaju. Dwie upadły na podłogę, dodał je do całości. Potem znów policzył, cały czas zastanawiając się, ile tabletek mogłoby zabić takiego szczeniaka.

Co on, do diabła, robi? Co on, do diabła, myślał?

Podrapał Scouta za uchem i wciąż go tulił, powtarzał mu, że jest dobrym psem.

Po raz trzeci przeliczył tabletki. Musiał mieć pewność. Nie mógł sobie pozwolić na ryzyko.

Żadnej nie brakowało. Scoutowi nic złego się nie stanie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

*Omaha, Nebraska*

O'Dell dość późno zajęła się do hotelu. Obie z Rief były wyczerpane, ale umówiły się, że będą w kontakcie. Rief spakowała i zabrała ze sobą kilka martwych ptaków. Oczywiście nie zbliżała się do nich bez rękawiczek i maski chirurgicznej. Obiecała, że jak najszybciej zostaną zbadane.

– W razie czego osobiście tego dopilnuję – zapewniła.

Maggie była pod jej wrażeniem. Nawet gdy pojawiły się samochody stacji telewizyjnych, Rief zachowała spokój. Kiedy reporter spytał o O'Dell, Rief zachowała się tak, jakby pytał o jej koleżankę z pracy, a potem wzięła sprawy w swoje ręce. Miejscowi przywykli do tego, że Rief udziela im rzetelnych informacji i żaden z nich nie drążył tematu. Choć O'Dell znalazła się w obiektywach paru kamer, jej nazwisko nie zostało ujawnione. Powiedziała Rief, że jest jej dłużniczką. Tym bardziej że zamiast pojechać na kolację, kupiły coś w fast foodzie i zjadły w samochodzie w drodze powrotnej do Omaha.

Maggie, jak zwykle zresztą, nie rozpakowała się. Włączyła telewizor i otworzyła puszkę dietetycznej pepsi. Było już za późno na telefon do agenta Alonzo, natomiast wiadomość głosowa nagrana przez Hannę zawierała dobre i złe wieści. Rudziki nie były zakażone ptasią gripą, nie wykazywały żadnych symptomów choroby. Co innego ciało młodej kobiety. Koroner stwierdził krwotok w płucach i liczne wybroczyny. Podejrzewał, że dziewczyna została uduszona i porzucona w rzece. Niestety nie można było tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością, gdyż agent Tabor skonfiskował ciało.

Kim, do diabła, jest agent Tabor?

O'Dell bardzo się to nie podobało. Wyglądało na to, że ktoś zaciera swoje ślady. Jeśli dziewczyna była zakażona, to po co zadawać sobie trud i ją zabijać? I czy Tabor brał udział w zacieraniu śladów, czy też pomagał ograniczyć zasięg działania wirusa?

Zapisała sobie, żeby z samego rana zadzwonić do agenta Alonzo. Napisał jej, że ma do przekazania ciekawe informacje. Miała nadzieję, że dowie się, kim jest Tabor i dla kogo pracuje.

Kiedy Hanna po raz pierwszy powiedziała jej o rudzikach i znalezionej w rzece młodej kobiecie, O'Dell zastanawiała się, czy ma to jakiś związek z tym, co działo się na Środkowych Zachodzie. Taka hipoteza wydawała się trochę naciągana, poza jednym, a

mianowicie że Tony Briggs pochodził z Pensacoli. Poprosi agenta Alonzo, żeby sprawdził, czy Tony Briggs i Izzy Donner znali się albo czy ich ścieżki kiedykolwiek się skrzyżowały. A jeżeli Alonzo wyśledził Tabora, O'Dell sama go o to zapyta.

Otworzyła załączniki do mejla przysłane przez Benjaminą Platta i choć padała z nóg, zmusiła się, by na niej spojrzeć. Raport z autopsji Briggsa nie zawierał nic specjalnie zaskakującego. Wyświetliła zdjęcia, powiększyła je i przeglądała po kolei. Nic nadzwyczajnego. Tors z przodu, z tyłu, zbliżenia rąk, stóp, twarzy... Zaraz, zaraz.

Kliknęła na tył torsu. Nisko na plecach tuż nad pośladkiem widniał siniak – prosta pionowa linia.

O'Dell ponownie przejrzała raport z autopsji, ale nie znalazła w nim ani słowa o tym, że ciało po drodze o coś uderzyło. A Briggs leżał na ziemi twarzą na dół.

Zrobiła powiększenie śladu stłuczenia. To był szeroki na jakieś pięć centymetrów sinoczerwony pas, który ciągnął się wzdłuż całej szerokości pleców. Może Briggs robił coś wcześniej tego dnia albo przed wycieczką do Chicago.

Jednak kolor siniaka wskazywał na to, że był świeży. Koroner zanotował, że siniak powstał przed śmiercią, ale nie podjął próby dokładniejszego wyjaśnienia.

Potem O'Dell przypomniała sobie balustradę balkonu z kutego żelaza. Sięgała jej mniej więcej do pasa. Sprawdziła, jakiego wzrostu był Briggs, i na tej podstawie zgadywała, że balustrada sięgała mu do krzyża. To miało sens, siniak mógł być odciskiem balustrady. Ale skakanie z balkonu tyłem, przechylając plecy przez balustradę, zdawało się co najmniej dziwaczne.

Otworzyła mejla od Platta. Skończył pracę w hotelowym pokoju i przekazał sprawę detektyw Jacks. Jeśli zgodnie ustalili, że Briggs popełnił samobójstwo, nie będzie żadnego śledztwa.

Wróciła myślą do pokoju, gdzie panował zdumiewający porządek. Czemu człowiek, który szykował się do samobójczego skoku, miałby zawracać sobie głowę sprzątaniami? A jeśli to było dla niego tak ważne, czemu zostawił plamy krwi na ekranie telewizora i na ścianie?

Znów spojrzała na zdjęcie krzyża Briggsa i postanowiła zadzwonić do detektyw Jacks. Muszą sprowadzić ekipę śledczych z CSU, specjalistów od miejsc zbrodni, żeby dokładnie obejrzeni pokój. Jeśli jej podejrzenia były słuszne, niewykluczone, że Tony Briggs został wypchnięty z balkonu.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

O'Dell wciąż siedziała nad raportem z autopsji, kiedy dostała wiadomość od Benjamina Platta: *Zadzwoń, jak będziesz mogła.*

Odpowiedział po drugim sygnale.

– Maggie, gdzie, do diabła, jesteś?

– Nie takiego powitania się spodziewałam.

– Wybacz, to był długi dzień.

Opowiedziała mu o padłych gęsiach śnieżnych na jeziorze, a potem o spadających z nieba epoletnikach krasnoskrzydłych.

– Jeśli doktor Shaw jest za to odpowiedzialna, to jak i gdzie mogła je zarazić? Nic nie wiem o żadnym ośrodku badawczym DARPA w tamtej okolicy – odparł.

– To nieważne. Biolog, z którą spędziłam ten dzień, mówi, że Nebraska to dla ptaków tylko przystanek, skąd wyruszają na żerowiska do Kanady, na Alaskę i do arktycznej tundry. Gęsi śnieżne zimują w wielu południowych stanach od Teksasu i Luizjany do Georgii i Karoliny Północnej.

– Więc możliwe, że je zaraziła, zanim ruszyły na wiosenną wędrówkę.

– Jest coś więcej, Ben. Dużo więcej.

Opowiedziała mu o telefonicznej rozmowie z Hanną. O rudzikach, które według agenta Tabora były zakażone wirusem ptasiej grypy. Wyjaśniła, co koroner napisał o Izzy Donner. Że mogła być czymś zakażona. Nie zdążył tego potwierdzić, ponieważ agent Tabor i jego ludzie zabrali ciało dziewczyny.

– Myślisz, że Donner była jedną z ochotniczek Shaw?

– Niewykluczone, ale nie mam pewności. Próbuję znaleźć związek między nią a Tonym Briggsem. Ciało Donner znaleziono w Parku Narodowym Conecuh, czyli niedaleko Pensacoli. Koroner uważa, że mogła zostać uduszona.

– Ale po co by ją zabijali? To nie ma sensu – stwierdził Platt. – Jeśli Shaw chce zarazić wirusem możliwie najwięcej ludzi, a wygląda na to, że to właśnie miał robić Briggs, po co dziewczynę zabijać, zanim wykona swoje zadanie?

– Nie wiem. Zaczynam myśleć, że Briggs nie popełnił samobójstwa. – Opowiedziała o siniaku i swoich przypuszczeniach dotyczących balustrady. – Myśleliśmy, że młody mężczyzna, za którym pojechałeś na lotnisko O'Hare mógł być z Briggsem. A jeśli tam był

po to, by się upewnić, że Briggs już nie wyjdzie z hotelu? Jeśli Shaw ma ludzi, którzy obserwują nosicieli wirusa i robią wszystko, żeby nie przeżyli?

– Albo robią wszystko, żeby nie wylądowali w szpitalu i nie opowiedzieli swojej historii.

– Więc może to nie jest takie naciągane? Muszą być inni nosiciele – powiedziała O'Dell. – Czy Roger i CDC wymyślili, jak ich znaleźć?

– Roger przekonał Departament Bezpieczeństwa Krajowego, że istnieje zagrożenie na dużą skalę. Charlie Wurth zbiera siły, tworzy zespół składający się z członków różnych wydziałów, którym będzie kierował.

O'Dell pracowała kiedyś z Charliem. Był zastępcą dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Lubiła go i szanowała. Kilka lat wstecz oboje zostali skierowani do prowadzenia śledztwa po pewnym Czarnym Piątku, kiedy dwaj terroryści samobójcy wysadzili się w Mall of America, niszcząc część budynku. Od tamtej pory Charlie próbował ją skusić do porzucenia FBI i podjęcia pracy w jego departamencie.

– Obawiam się, że mamy do czynienia z większym problemem niż dopadnięcie doktor Shaw – stwierdził Platt. – Musimy znaleźć i zatrzymać nosicieli wirusa, zanim zarażą więcej osób.

– Jak mamy to zrobić, skoro nawet nie wiemy, do jakich miast ich wysłano? Ani ilu ich może być? Ben, niemożliwe, żeby ona działała sama. Potrzebuje kogoś do pomocy, kogoś, kto zwerbuj nosicieli. I tych, którzy ich obserwują. Do takiej operacji potrzeba kogoś, kto ma wpływy i zdolność wywierania nacisku.

Zapadła cisza. O'Dell wyczuła irytację Platta. Doskonale wiedział, co sugerowała.

Gdy razem pracowali w Karolinie Północnej, poszukując tego, co pozostało po ośrodku badawczym DARPA pogrzebanym przez lawinę błotną, Platt nie dzielił się z O'Dell tajnymi informacjami. Zresztą nie tylko przed nią coś ukrywano. Pułkownik Abraham Hess, szef DARPA, a także przyjaciel i mentor Platta, ukrywał przed nim informacje najtajniejsze z tajnych.

Pułkownik Hess poszedł jeszcze krok dalej. Wysłał ekipę, która miała zabezpieczyć pozostałości ośrodka. Jak utrzymywał Hess, jeden z członków tej ekipy przestał trzymać się instrukcji i zaczął działać na własny rachunek. Zanim to wszystko się skończyło, usiłował zabić O'Dell i Rydera Creeda.

Poszukując doktor Clare Shaw przez ostatnie pięć miesięcy, Maggie nie mogła pojąć, jak

to możliwe, żeby ścigana osoba tak dokładnie zapadła się pod ziemię. Chyba że ktoś jej w tym pomógł.

– Znasz agenta Lawrence’a Tabora?

– Nie, Maggie, naprawdę nic nie wiem. A gdybym wiedział cokolwiek, co by ci pomogło, z całą pewnością bym ci to powiedział. Posłuchaj, Wurth uważa, że powinniśmy się skoncentrować na lotniskach. Zgadzam się z nim.

– Lotniskach?

– Tony Briggs nie zaraził się w Chicago.

O’Dell zrozumiała. Pozostali nosiciele wirusa też się tam nie zarazili. Chwyciła notes i zaczęła notować, a po chwili powiedziała: – Podobnie jak gęsi śnieżne czy te drugie ptaki. Wszystkie zostały zarażone gdzie indziej, zanim dotarły do Nebraski.

– No właśnie. Więc gdzie, do diabła, jest Shaw?

– W Pensacoli są dwie bazy wojskowe...

– Nie – wpadł jej w słowo. – Nie uwierzę, żeby Shaw po kryjomu pracowała w bazie wojskowej. To niemożliwe.

O’Dell nie powiedziała mu, że bazy wojskowe są tak samo prawdopodobne jak finansowane przez rząd ośrodki badawcze czy uniwersytety stanowe.

– Wurth sądzi, że możemy zawęzić poszukiwania do kilku lotnisk – podjął Platt.

– To i tak ogromne przedsięwzięcie.

– Prosił Rogera Bixa i mnie, żebyśmy pomogli agentom ochrony lotnisk. Powinni zacząć kontrole, szukając zakażonych pasażerów, ale większość objawów jest identyczna jak przy zwyczajnej grypie, więc trzeba sobie jakoś z tym poradzić, nie kierować się samymi objawami. Bix powiedział, że CDC może przygotować test z pobieraniem wymazu.

– Wymazu? Masz na myśli wymaz z jamy ustnej?

– Tak. Potem zanurzasz końcówkę w roztworze. Coś w rodzaju testu ciążowego. Jeśli wynik jest pozytywny, pokazuje się konkretny kolor.

– Naprawdę mają coś takiego?

– Pracowali nad tym, ale muszą jeszcze przygotować test dla tego konkretnego szczepu wirusa.

– Ile im to zajmie? – spytała.

– Dziesięć do czternastu dni. Albo i dłużej, bo trzeba uzyskać pozwolenie na wykorzystanie takiego testu – przyznał z bólem. – To byłby pierwszy raz.

- Więc może się również okazać, że jest do niczego.
- To wszystko, czym dysponujemy.
- Może nie – powiedziała. – Może mam lepszy pomysł.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

### *Florida Panhandle*

Leżał w łóżku, ale sen nie nadchodził. Creed nie mógł zapomnieć widoku wiszącego na drzewie szeryfa Wyliego. Na domiar złego ten wciąż świeży obraz połączył się w jego głowie z obrazem z przeszłości, więc kiedy zamykał oczy, widział nie tylko twarz Wyliego, ale również twarz ojca.

Zostawił otwarte okno z nadzieją, że świeże powietrze oczyści mu umysł. Wiatr zrobił się tak chłodny, że Grace skuliła się u jego boku. Słyszał ciche pochrapywanie Rufusa, który leżał na podłodze przy łóżku. Kiedy zadzwonił telefon, Creed sięgnął po niego na nocny stolik. Zamiast się zaniepokoić telefonem o tak późnej porze, ucieszył się.

Potem zobaczył, kto dzwoni.

– Maggie? Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko okej. Wybacz, że dzwonię o tej porze.

– Nie ma sprawy, i tak nie mogę spać.

Chroniczna bezsenność była czymś, co ich łączyło. Od czasu, gdy ostatnio współpracowali w Karolinie Północnej, rozmawiali tylko parę razy. Creed celowo unikał kontaktu. Była między nimi chemia, a on miał nadzieję, że z czasem to minie, choć reakcja na sam głos Maggie tę nadzieję kwestionowała. Przypomniawszy sobie także, że łączy ich coś głębszego. Nawzajem uratowali sobie życie. Dzielili się różnymi rzeczami. Ufali sobie, świadomi, że zaufanie dla każdego z nich to bardzo cenny i rzadki towar.

– Rozmawiałam wczoraj z Hanną – oznajmiła O'Dell.

– O wizycie Tabora?

– Tak.

– Wiesz, kto to jest?

– Jeszcze nie. Prosiłam agenta Alonzo, żeby poszperał. Hanna zostawiła mi dzisiaj wiadomość, że ptaki nie były nawet zakażone.

– Zgadza się, a pieprzony Tabor bez powodu chciał wymordować całą moją psiarnię. – Creed starał się o tym nie myśleć. Gdyby Hanna nie powstrzymała Tabora i jego ludzi, musieliby go zabić, żeby dostać się do jego psów.

– Sądzę, że Izzy Donner do swej śmierci brała udział, a agent Tabor nadal uczestniczy w jakimś większym planie – podjęła O'Dell. – W który jest zaangażowana doktor Clare

Shaw.

– Szefowa ośrodka badawczego DARPA w Karolinie Północnej? – Creed zadumał się na moment. Dotąd taki pomysł nie przeszedł mu do głowy. – Niech zgadnę. Wirus ptasiej grypy to jedna z próbek, które ze sobą zabrała.

– O to właśnie chodzi. Okazuje się, że pracowała nad stworzeniem szczepu, który łatwo będzie przenosił się na ludzi. Musi być na tyle silny, żeby przenosił się z człowieka na człowieka drogą kontaktową.

– Myślisz, że Izzy Donner została zakażona przez Shaw?

– Nie jestem pewna, jak to wszystko działa. Poluję na Shaw od minionej jesieni i wciąż nie mam pojęcia, gdzie ona się podziewa. Dosłownie rozplynęła się tamtej nocy, kiedy ośrodek zniszczyła lawina błotna. Od tamtej pory jej komórka zamilkła, nie odnotowano żadnych obciążeń na karcie kredytowej, żadnych wypłat z konta bankowego. Rozesłaliśmy nakazy poszukiwania i zatrzymania, kontaktowaliśmy się z innymi ośrodkami badawczymi. Wygląda to tak, jakby tamtej nocy doktor Clare Shaw przestała istnieć, ale wciąż podejrzewamy, że zabiła swoich kolegów i ukradła trzy próbki śmiertelnego wirusa.

– Może miała asystenta? Kogoś z zewnątrz, kto jej pomagał?

– Tak przypuszczam. Wirus, z którym teraz mamy do czynienia, to szczep, nad którym pracowała. Nie wierzę, żeby mogła to robić bez jakiegokolwiek pomocy.

– Zaraz, niech to ogarnę... – Milczał przez chwilę. – Pojawiła się już jakaś chora osoba?

– W Chicago. CDC próbuje to ukryć, ale nie wyobrażam sobie, żeby dało się to dłużej bagatelizować i skutecznie utajniać. Teraz, kiedy skontaktowali się już z jego rodzicami, mogę ci powiedzieć, że jedną z ofiar jest przyjaciel Jasona, Tony Briggs.

– Co ty mówisz? Słyszeliśmy, że Tony wyskoczył z osiemnastego piętra hotelu, a ty twierdzisz, że był zakażony wirusem? – Creed już wstał i stanął przy oknie. Czuł na piersi zimny powiew.

– Wielu rzeczy jeszcze nie jesteśmy pewni. Lecę do Pensacoli, chcę odtworzyć ślady Tony’ego z ostatnich paru tygodni. Ale nie tylko dlatego dzwonię. Pamiętam, jak Hanna wspominała, że macie umowę z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego na szkolenie psów dla służby ochrony lotniska.

– Zgadza się. Mamy też umowę na patrole po kilka godzin każdego miesiąca. Popyt na pracę psów wzrasta w takim tempie, że nie nadążamy ze szkoleniem. Rząd coraz częściej

korzysta z prywatnych firm.

– Wiem, że twoje psy potrafią wyczuć cukrzyków i że pracujecie nad chorymi na raka. Myślisz, że byłyby w stanie wykryć ten wirus?

– Wirus Tony’ego... – Creed wciąż myślał o nieszczęsnym weteranie wojennym. – Jeśli zdobędziesz dla nas wystarczającą liczbę próbek, z którymi moglibyśmy pracować, jestem pewien, że zdołają go wyczuć.

– Mógłbyś porozmawiać z Benem i zastępcą dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego?

– Ben jest w to zaangażowany? – Zapadła cisza, a Creed już żałował, że nie ugryzł się w język. Naprawdę mówił jak zazdrosny nastolatek? Próbował się wycofać i skupić na czymś innym. – Ze słów Tabora wynikało, że psy mogą zarazić się tym wirusem. Wiesz, czy to prawda?

– Ben wie na ten temat o wiele więcej niż ja. Rozmawialiśmy o tym dość krótko. Jego zdaniem istnieje za mało dowodów, by stwierdzić, że psom coś grozi.

Creed potrząsnął głową. Brzmiało to jak biurokratyczna gadanina, pewnie dokładnie te same słowa O’Dell usłyszała od Platta.

– Posłuchaj, Maggie. Wiem, że on coś dla ciebie znaczy, więc wierzysz w to, co mówi, ale ja nie mam żadnego powodu, żeby mu ufać. Prosisz mnie, żebym naraził życie moich psów, opierając się na jakiejś teorii, według której prawdopodobnie się nie zarażą.

– Mógłbyś chociaż z nimi porozmawiać? Bez zobowiązań, tylko porozmawiać. Jeśli zatrzymamy ten wirus na lotniskach, zanim się rozprzestrzeni po całym kraju, możemy uratować setki, a nawet tysiące istnień.

– Porozmawiam z nimi, ale niczego nie obiecuję.

– Oczywiście. Tylko o to proszę. Aha, Creed, jeśli się zgodzisz, może nie wykorzystuj do tego Grace.

# ŚRODA



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

*Nowy Jork*

Zamówiła posiłek do pokoju, a potem zmusiła się do zjedzenia takiej ilości, jaką zaakceptował żołądek. Dzięki tylenolowi gorączka nie rosła, więc Christinie udało się choć trochę pospać. Mimo to wciąż się budziła w przepeconej pościeli, a mięśnie tak ją bolały, że z trudem podnosiła się z łóżka. Choć zażywała lekarstwo, kaszel się pogorszył. Kiedy próbowała wziąć głębszy oddech, bolało ją w piersi. Przerazało ją to, ale starała się wykorzystać ten strach, żeby przetrwać.

Tym bardziej powinna się śpieszyć.

Nie wiadomo, czy jutro w ogóle da radę wstać z łóżka, dlatego dzisiaj musi zrobić wszystko, co konieczne, bo inaczej może być dla niej za późno. Tego jednego była pewna.

Szykowała się do rozpoczęcia nowego dnia. Wczoraj kupiła zamykaną na suwak torbę, w której mogła nosić wszystkie pieniądze, leki, butelkę wody i inne niezbędne rzeczy. Kiedy przełożyła pasek torby przez głowę, omal nie zawyła z bólu, bo samo uniesienie ręki tak bardzo bolało. Na Boga, jak w takim stanie zdoła krążyć ulicami Nowego Jorku?

Minionego dnia złapała taksówkę i cała ta wolna jazda, przerywana nieustannymi postojami, w połączeniu z wonią spalin, wywołała u niej takie mdłości, że omal nie wymiotowała. Wiedziała, że tego dnia będzie gorzej, a ona wolałaby nie dodawać wymiotów do listy swoich objawów. Już i tak trudno jej było zatrzymać płyny w organizmie, a nie chciała się odwodnić.

Z jakiegoś powodu Christina spodziewała się, że obserwatorzy będą wyglądać zwyczajnie, tak jak ona. Teraz zaczęła myśleć, że wyglądają jak żołnierze, tacy silni i muskularni. Że chodzą prosto, jakby kij połknęli. Że kręcą głowami na wszystkie strony, rzucają wzrokiem dokoła i nic nie umyka ich uwadze.

Minęła dworzec Grand Central i dopiero po przejściu kilku przecznic zdała sobie sprawę, że ten sam żołnierz, który stał przy wejściu hotelu przed dwoma dniami, znów ją obserwował. Tyle że tym razem nie miał na sobie munduru polowego. W pierwszej chwili pomyślała, że coś jej się pomyliło, aż ich spojrzenia się skrzyżowały. Wszędzie rozpoznałaby te czarne głębokie oczy.

Christina starała się udawać, że wcale się nim nie interesuje. Że nie zauważyła, iż prawdopodobnie ją śledził. Przystanęła przed niewielkim sklepem, podziwiając

udekorowane ciastka na wystawie. Widziała odbicie żołnierza w szybie. Bez wątpienia ją śledził.

Walące serce wzmogło ból w piersi. Czy obserwatorzy z czasem nabierali pewności siebie, przez co stawali się mniej uważni? A może spodziewali się, że jest już tak chora, że niczego nie zauważy? Tak czy owak, ją to zaniepokoiło. Nigdy nie uda jej się zrealizować swojego planu.

Usiłowała przestać myśleć o tym mężczyźnie. Zapomnij o nim, możesz to zrobić, powiedziała sobie. Ileż to razy oszukiwała sprzedawców, którzy stali w tej samej alejce, gdy podwędzała artykuły ze sklepowych półek, żeby przeżyć. Kluczem do sukcesu było to, by wzbudzać zaufanie. Niestety w tym momencie złapał ją pierwszy atak kaszlu.

Oparła się o ceglana ścianę i wyjęła z torby butelkę wody. Jakimś cudem zdołała pohamować kaszel. Kątem oka dostrzegła, że żołnierz stał po drugiej stronie ulicy i kupował kawę. Nie patrzył na nią. Widocznie kaszel go przekonał, że nie musi jej bez przerwy obserwować.

Christina poczuła niewielką ulgę, jej ramiona nieco się rozluźniły. Potem zaczęła składać chusteczkę, którą podczas kaszlu zasłoniła usta, i panika wróciła. Na chusteczce ujrzała krew.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

*Pensacola, Floryda*

Creed nie chciał widzieć kolejnych ludzi z rządu na swojej posesji, więc zgodził się z nimi spotkać w Pensacoli. Patrzył na czarnego SUV-a, który wjechał na parking Coffee Cup. Śniadaniowy bar na granicy centrum miasta miał różnorodną klientelę. Ludzie w biznesowych garniturach zajmowali stoliki obok robotników z budowy w roboczych butach i pracowników szpitala w fartuchach. Creed uznał, że to jedyne miejsce, gdzie dwaj przyjezdni z Waszyngtonu nie zwrócą niczyjej uwagi.

Jednak gdy zobaczył wysiadających z samochodu mężczyzn, nie był już tego taki pewny. Jeden był w skórzanej kurtce bomberce i džinsach, drugi w koszuli z podwiniętymi rękawami, spodniach i tak błyszczących skórzanych butach, że Creed widział ich błysk nawet z narożnego boksu. Choć musiał przyznać, że żaden z nich nie przypominał stereotypowego rządowego oficjela. Nie wyglądali nawet podobnie. Creed rozpoznałby, że Benjamin Platt jest wojskowym, nawet gdyby go nie znał. Choć pułkownik był w sportowym ubraniu, poruszał się jak oficer, trzymał się prosto i z uniesioną głową, którą kręcił w lewo i prawo, lustrując otoczenie zza okularów o przyciemnionych szklach.

Obok niego wysoki szczupły czarnoskóry mężczyzna także bacznie wszystkim się przyglądał zza modnych drogich okularów przeciwsłonecznych. Ten jednak szedł swobodnym krokiem, poruszając ramionami i machając rękami, w ogóle całe jego ciało było w ruchu, jakby poruszał się w rytm muzyki, którą tylko on słyszał.

Creed czekał, popijając kawę. Trzymał ręce na stole i patrzył na mężczyzn, ale nie zrobił żadnego gestu, nie pomachał do nich, tylko czekał, aż go znajdą. W końcu to oni mieli do niego interes. Nagle uśmiechnął się pod nosem, uświadamiając sobie tę zamianę ról. Poprzednim razem spotkał Platta w Karolinie Północnej. Pułkownik miał coś, czego on potrzebował, a teraz role się odwróciły.

Creed nie znał drugiego z mężczyzn. Gdy tylko Charlie Wurth wszedł do baru, stało się jasne, że to nie pierwsza wizyta zastępcy dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego w Coffee Cup. Zdjął okulary i posłał starszej kelnerce szeroki uśmiech. Potem o coś ją spytał, a ona odpowiedziała mu uśmiechem, odwróciła się i wskazała Creeda.

Przy stoliku Platt zaczął dokonywać prezentacji, ale najwyraźniej dla Wurtha było to zbyt oficjalne albo zbyt powolne.

– Proszę mi mówić Charlie – zwrócił się do Creeda, wyciągając rękę nad stolikiem, by uścisnąć jego dłoń. Zajął miejsce w boksie, dając znak kelnerce, która po chwili przyniosła dwa kubki kawy.

Nie wziął od niej menu, tylko powiedział tak, jakby jadał tu każdego ranka:

– Poproszę te wasze fantastyczne płatki.

– Jajka? – spytała.

– Jajecznicę.

– Bekon czy kielbasa?

– Kielbasa.

– Grzanka?

– Pszena. – Wurth spojrział na Creeda. – Je pan śniadanie?

– Jadłem jakieś dwie godziny temu.

Wurth gwizdnął.

– Ranny ptaszek, co? – Potem zwrócił się do Platta: – Lepszego śniadania nie dostaniesz.

Pułkownik wyglądał na rozkojarzonego. Może jest trochę skrępowany? Nie, uznał Creed w duchu, raczej zirytowany. Pewnie nie ma czasu na takie głupstwa jak śniadanie.

Mimo to, zapewne by zrobić przyjemność Wurthowi, powiedział kelnerce, że weźmie to samo co on.

– Ryder, jeszcze kawy? – spytała przed odejściem.

– Nie trzeba, dzięki, Rita.

Zapadła krępująca cisza, a Creed nie śpieszył się, by ją wypełnić. To ci goście czegoś od niego chcieli.

– Kiedy ostatnio tu byłem, po Zatoce zasuwał huragan – zagał Wurth. – Trzymał Pensacolę w kleszczach.

– Który huragan? – spytał Creed, choć był tylko trochę ciekaw.

– Isaac. Była tu ze mną agentka O'Dell.

– Pamiętam – włączył się Platt. – Ja też tu wtedy byłem, w bazie morskiej.

Creed również to pamiętał. Razem z psami całymi dniami poszukiwali ludzi w gruzach. Potem nagle zdał sobie sprawę, że Maggie – i tylko Maggie – łączy ich wszystkich. Nic więcej.

Zerknął na dłonie Platta, w których trzymał kubek z kawą. Wyglądały na zadbane. Dłonie

oficera, dłonie chirurga. Dłonie Creeda były zgrubiałe. Na grzbiecie jednej z nich widniała blizna. I choć paznokcie miał przycięte i czyste, paznokieć lewego kciuka był oderwany, zaczepił nim podczas rozładunku o ostry kawałek betonu przeznaczonego na tor przeszkód dla psów. Wurth także miał zadbane dłonie bez widocznych skórek wokół paznokcia.

– Maggie mówiła mi o lawinie błotnej w Karolinie Północnej – oznajmił Wurth.

Creed zauważył, że zastępca dyrektora przeszedł z „agentki O’Dell” na „Maggie” w celowo zauważalny sposób, jakby chciał przekazać Creedowi, że się przyjaźnią.

– Stwierdziła, że pańskie psy są fantastycznie zdolne – ciągnął Wurth. – Wie pan już, że to jej pomysł, żeby nam pan pomógł.

Creed pomyślał, że Wurth próbuje odwołać się do łączącej ich znajomości z Maggie, by coś na tym zyskać, dlatego poczuł się bardzo zaskoczony, gdy usłyszał:

– Więc proszę mi powiedzieć, na jakiej podstawie uważa pan, że pańskie psy są wystarczająco dobre do tego zadania?

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Creed uznał, że rzucanie komuś wyzwania to dziwny sposób zwracania się o pomoc. Widział, że Platt, który wymownie pokręcił głową, również nie akceptował zachowania Wurtha, więcej, uważał, że to błąd.

– Co? – spytał Wurth, który też zauważył reakcję pułkownika. – Nie wolno mi być sceptycznym? Nie wolno mi tego okazywać?

– Skoro jest pan sceptycznie nastawiony, to po co to spotkanie? Czemu marnuje pan mój czas? – skwitował Creed.

– Proszę posłuchać, pracuję w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego od dobrych kilku lat – odparł Wurth. – Wiem, że mamy psy, które potrafią znaleźć bombę, narkotyki i zwłoki. Widziałem to na własne oczy.

– W takim razie wie pan, że Departament korzystał już z moich usług i moich psów.

– Jasne, ale w celu wykrycia materiałów wybuchowych i narkotyków. To rozumiem. Natomiast moje pytanie brzmi: jakie jest prawdopodobieństwo, że psy węchem wyczują osobę zakażoną konkretnym wirusem? – Przerwał na moment, rozglądając się po sąsiednich stolikach. – Musimy znaleźć nosicieli tego wirusa, bo jeśli nam się nie uda, to wybuchnie naprawdę duża epidemia. Więc tak, chcę wierzyć, że pańskie psy mogą nam w tym pomóc, inaczej by mnie tu nie było.

– Szkoliliśmy już psy do wykrywania bakterii *Clostridium difficile*, cukrzycy i dwóch różnych typów raka – oznajmił Creed.

– Z udowodnionym sukcesem?

– Testy na raka odbywały się tylko w naszym ośrodku, ale uzyskane przez nas wyniki zostały potwierdzenie w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach przypadków. Właśnie zaczęliśmy wykrywanie *Clostridium difficile*. Tu jesteśmy skuteczni na około dziewięćdziesiąt dziewięć procent, ale pole testowe było ograniczone do kilku ośrodków opiekuńczych w okolicy.

– No, no. – Wurth usiadł prosto i cicho gwizdnął. – Robi wrażenie, chociaż nie mam zielone pojęcia, jak psy mogą to rozróżnić. To znaczy rozumiem, że czują zapach chorego i identyfikują chorą osobę, ale jak są w stanie rozróżnić, jaka to choroba czy infekcja?

Creed zerknął na Platta, który był specjalistą od chorób zakaźnych, więc z pewnością lepiej mógł to wyjaśnić. Jednak pułkownik milczał, dlatego sam odpowiedział:

– Nie jestem biologiem, ale mówiąc jak najprościej, nasz system odpornościowy uwalnia różne antyciała, żeby zwalczać różne choroby. W organizmie zachodzą zmiany hormonalne i chemiczne. Każda choroba, każda infekcja ma swoją własną naturę, można powiedzieć.

– I psy, wachając człowieka, są w stanie wykryć różnice?

– Jeśli chodzi o *Clostridium difficile*, to wystarczy, że pies znajdzie się w pobliżu tej osoby, w promieniu trzech do sześciu metrów. W zeszłym roku szkoliłem psa dla małego chłopca chorego na cukrzycę. Teraz, kiedy chłopiec gra w piłkę, pies, czekając na linii boiska, jest w stanie wykryć, kiedy poziom insuliny za bardzo mu spada. – Widział, jak Wurth unosi brwi, jakby ktoś tu z niego żartował, jednak Creed tym się nie przejął, tylko mówił dalej: – Z rakiem jest trochę trudniej, bo różne typy raka czasami wywołują w organizmie różne reakcje. W przypadku niektórych rodzajów raka używamy próbek oddechu.

– Próbek oddechu? A co pańskim zdaniem zadziała w przypadku tego wirusa? Nie mogę pozwolić na to, żeby pańskie psy zbliżały pysk do twarzy ludzi stojących w kolejce na lotnisku.

Zapadła cisza, gdyż Rita przyniosła im śniadanie. Podziękowali jej. Creed zauważył, że Wurth włożył do ust łyżkę płatków, zanim Rita odeszła od stolika, mimo to nie spuszczał wzroku z Creeda, który poczuł się jak ktoś, kto jest mierzony wzrokiem.

– Podczas szkolenia wykorzystujemy oddech, ale to nie znaczy, że psy muszą znaleźć się przy twarzy człowieka, żeby wykryć chorobę. – Creed tracił cierpliwość. Czy Wurth nie zrozumiał, co mówił o małym cukrzyku i jego psie? A może nie chciał mu wierzyć?

– Czego by pan potrzebował do szkolenia psów?

– Próbek wirusa w dużej ilości i od jak największej liczby osób. Co najmniej tuzin czy dwa.

– Jeśli wirus ma jeden zapach, czemu próbki powinny pochodzić od różnych osób? – Tym razem Platt chciał to wiedzieć.

– Chcemy mieć pewność, że psy wykryją wirusa. Nie interesuje nas, co dana osoba zjadła na kolację ani jakiej pasty do zębów używa, ani na co jeszcze choruje. Chcemy, żeby ten wirus był jedynym wspólnym mianownikiem, który ma wykryć pies.

Usatysfakcjonowany Platt kiwnął głową.

– Mam pytanie do obu panów – podjął Creed. – Jak możecie mnie zapewnić, że moje

psy nie zakażą się tym wirusem?

– Nie znamy przypadków zakażenia psów ptasią grypą – odparł zbyt szybko Platt.

– Ale to jest inny szczep. Tabor mówił, że psy mogły się zarazić. Przyjechał uśpić całą moją psiarnię.

– To był jakiś godny pożałowania incydent. – Wurth niecierpliwie machnął ręką. – Ten człowiek nie ma z nami nic wspólnego.

– Przedstawił się jako agent federalny. – Creed patrzył, jak Platt i Wurth wymienili spojrzenia, a potem Wurth wzruszył ramionami, smarując grzankę masłem. – Jak rozumiem, nie macie pojęcia, kto to jest – dodał i znów nie doczekał się odpowiedzi. – Zabrał ciało młodej kobiety, która została uduszona, być może zabił szeryfa hrabstwa. A was nie obchodzi, kto to jest?

– To nie nasza jurysdykcja – odparł Wurth. – Moim zadaniem jest chronić i bronić Amerykanów. Inni prowadzą śledztwo i szukają tych dupków. A więc, czego jeszcze by pan potrzebował?

– Zapewnienia, że moje psy się nie zarażą.

Wurth potrząsnął głową, po czym powiedział:

– Raczej nie mogę panu tego zagwarantować. Ale proszę posłuchać, potrafi pan wyszkolić każdego psa, prawda? To znaczy tak słyszałem. Czyli nie musi pan wykorzystać do tego specjalnej rasy jak inni treserzy, którzy upierają się, że to mają być psy pasterskie albo labradory. Zgadza się?

– Co to ma z tym wspólnego? Moje psy są równie cenne, nawet jeśli nie mają rodowodów.

– Jestem o tym przekonany i rozumiem, że jest pan do nich przywiązany. A gdybyśmy dali panu jakieś jednorazowe psy?

– Słucham?

– No wie pan, na przykład ze schroniska?

– Psy do jednorazowego użytku? – Creed przeniósł wzrok na Platta i zobaczył na jego twarzy cień niesmaku. Wurth nie odrobił lekcji, bo inaczej wiedziałby, że Creed i Hanna ratują bezdomne psy, w tym również ze schronisk.

– Charlie nie lubi psów – powiedział Platt, wyraźnie próbując naprawić sytuację i odzyskać wspólny grunt.

– Nie chodzi o to, że ich nie lubię. Po prostu sprawa jest poważna. Chcę uratować



ludzkie życie, nie życie psów. – Wurth nadział na widelec kawałek kiełbasy, lecz nie od razu włożył go do ust. – Zresztą taka jest prawda, nie przepadam za psami, ale to nie ma nic do rzeczy. – Machnął widelcem w stronę Creeda. – Czym się różni od tego, co robi wojsko czy policja? Szkolą psy i wysyłają je na linię frontu. Rozumiem, że był pan w jednostce K9. Proszę mi nie mówić, że pański pies nie szedł pierwszy, ilekroć weszliście na teren nadziany minami.

Być może jednak Wurth odrobił lekcję, a bardziej prawdopodobne, że Maggie przekazała mu niezbędne informacje.

– To co innego – odparł Creed. – Psy w wojsku wykrywają materiały wybuchowe, ale podczas szkolenia nie korzystamy z prawdziwych materiałów wybuchowych. W tym wypadku moje psy już podczas szkolenia byłyby poddane działaniu wirusa. Czy jest jakaś szczepionka, która mogłaby je uodpornić?

– Po pierwsze, naszym zdaniem psom nic nie grozi – stwierdził Platt.

– CDC twierdzi, że pracują nad szczepionką – dodał Wurth. – Dla ludzi, ale to kwestia tygodni, może miesięcy. Jeśli ją dostaniemy, zrobimy wszystko, żeby pańscy ludzie byli pierwsi na liście.

Creed nawet nie pomyślał o swoich trenerach i ich zagrożeniu. Ale oni mogą nosić rękawiczki i maski, psy nie mają podobnych zabezpieczeń.

– Ile psów by pan potrzebował? – spytał Creed.

– Na krótki okres tyle, żeby zabezpieczyć jedno większe lotnisko dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Jak prędko mogę dostać próbki?

– Do jutrzejszego popołudnia możemy mieć co najmniej tuzin – powiedział Platt.

– Szkolenie potrwa dziesięć do czternastu dni.

– Za dziesięć, czternaście dni umrą setki ludzi, a tysiące będą zakażone. Mogę panu dać trzy doby – oznajmił Wurth.

Creed nie był pewien, czy to wykonalne, ale zamiast zasygnalizować ten problem, spytał:

– W jaki sposób ja i moje psy na tym skorzystamy?

– Uratuje pan świat i zostanie bohaterem – z podkpiwającym uśmiechem stwierdził Wurth, a kiedy zdał sobie sprawę, że ani Creed, ani Platt nie uznali tego za zabawne, dodał:

– Proszę powiedzieć, jakie są pańskie oczekiwania, żeby to się panu opłacało. Rozumiem,

że to poważne przedsięwzięcie.

Creed postawił pusty kubek na blacie i wstał.

– Przemyślę to i dam wam znać.

Po tych słowach wyszedł.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

*Nowy Jork*

Christina zatrzymała się w tym samym sklepie, gdzie poprzedniego dnia robiła zakupy. Pomyślała, że obserwatorzy po prostu uznają, że taki ma zwyczaj. W notatce z tego ranka napisali jej, że dobrze się spisuje, oraz zasugerowali dwie turystyczne atrakcje, które być może miałyby ochotę odwiedzić. Nic więcej.

Teraz, gdy pomyślała o wszystkich tych liścikach, uprzytomniła sobie, jak sprytnie były napisane. Gdyby trafiły w ręce postronnej osoby, nie zwróciłyby na nie uwagi. Domyślała się, że obserwatorzy mogą wejść do jej pokoju i posprzątać, zanim pojawi się obsługa hotelowa. Jeśli tego wieczoru nie wróci do hotelu, pewnie tak właśnie zrobią.

Mimo to nie powiesiła na kłamce tabliczki „Nie przeszkadzać”. Jej walizka leżała na łóżku. Zostawiła na biurku połowę batonu proteinowego i filiżankę kawy. Telewizor był włączony, podobnie jak nocna lampka. Jeśli wejdą, być może pomyślą, że ją zgubili, ale z pewnością jest gdzieś w hotelu. W końcu nigdy nie wychodziła bez swoich rzeczy osobistych.

Kiedy Christina szła wąskimi alejkami małego sklepu, wciąż zerknęła nad półkami przez okno wystawowe. Żołnierz stał po drugiej stronie ulicy, pił kawę i patrzył na coś, co wyglądało na złożony plan czy mapę. Nie mógł widzieć, co kupuje Christina, bo kasa w przedniej części sklepu była wciśnięta w ciemny kąt.

Nieвозмоżliwe też, by zobaczył, co brała z półek. Wzięła syrop na kaszel, chusteczki, tabletki do ssania na gardło. Do tego duże opakowanie plastrów z opatrunkiem, jodynę, małą buteleczkę alkoholu do masażu i oryginalny zestaw narzędzi dla artysty z klejem, linijką, nożyczkami i nożem X-Acto.

Przy kasie za szkłem pod ladą wskazała ostatni potrzebny jej artykuł. Pozostałe zakupy zostały już podliczone, nie chciała, by ta rzecz leżała na ladzie dłużej niż to absolutnie konieczne. Chciała ten zakup natychmiast schować do torebki, gdy tylko przejdzie przez kasę.

Miała do wyboru wyłącznie dwa modele. Dawniej kupiłaby telefon z największą liczbą przedpłaconych minut, bo to bardziej się opłacało, nawet jeżeli nie potrzebowała aż tylu minut. Jednak tego dnia wskazała na aparat z mniejszą liczbą minut i powiedziała do sprzedawcy:

– Dwa poproszę.

Nim znów wyszła na ulicę, starała się zapanować nad oddechem. Musi się zachowywać, jakby po prostu robiła zwykłe zakupy, kilka rzeczy przydatnych podczas kolejnego dnia zwiedzania. Jakby w jej torbie nie znajdowało się nic niedozwolonego. Zapamiętała numer, na który zamierzała zadzwonić, i powtarzała sobie w myśli, co powie. Musi znaleźć odludne miejsce, gdzie stanie się niewidziana i niesłyszana. Wtedy to zrobi.

Wcześniej jednak czekało ją inne zadanie.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

*Pensacola, Floryda*

Creed opuścił Coffee Cup i pojechał przez Bay Bridge. W dole pelikany muskały powierzchnię wody, a jeden leciał tuż obok jego dziopa. Niebo było niewiarygodnie niebieskie, a woda tak spokojna, że wyglądała jak szklana tafla. Przez pięć kilometrów Creed starał się uspokoić, wdychał słone powietrze, które wpadało przez otwarty dach.

Jechał przez Gulf Breeze, nie śpieszył się, starał się w myśli ułożyć jakiś plan. Kiedy dotarł do Pensacola Beach, wiedział, co musi zrobić. Zaparkował niedaleko wieży ciśnień i piechotą ruszył na plażę, zabierając ze sobą tylko komórkę.

Najpierw zadzwonił do Hanny i przegadał z nią swój pomysł, idąc plażą w podwiniętych dżinsach i bez butów. Stopy grzęzły w ciepłym piasku, szum fal działał kojąco. Szedł jeszcze kawałek, aż do tej części plaży, gdzie mieścił się bar Walter's Canteen. Znalazł stolik na zewnątrz, gwarantujący trochę prywatności, i zamówił lunch.

Potem zadzwonił do Penelope Clemence.

Do tej pory niezliczoną ilość razy polegał na jej pomocy przy wyborze psów do szkolenia. Miała dobre oko i potrafiła wskazać te, które nadają się do tresury, a on z upływem czasu zufała jej instynktowi. Co ważniejsze, oszczędzała mu bolesnych wypraw do schronisk, które w innym wypadku musiałby zaliczyć, a wiedział, że gdyby tam trafił, przywiózłby do domu kolejne dziesiątki psów.

Choć od wielu lat pracowali razem, Creed niewiele wiedział o Penelope. Hanna twierdziła, że jest filantropką, która poświęca swój cenny czas i pieniądze na znalezienie domów dla psów przebywających w schroniskach, gdzie były skazane na śmierć. Ilekroć Creed spotykał się z Penelope, nigdy nie wyglądała na bogatą matronę. Jeździła starym dżipem wranglerem na grubych oponach i z pękniętą przednią kratownicą, której nie wymieniała. Zwykle nosiła dżinsy, ale nie jakieś markowe, tylko wytarte, często porwane na kolanach lub z uciętymi nogawkami, a sportowe buty pamiętały lepsze czasy. Za to paznokcie miała niezmiennie zadbane, a włosy krótko ostrzyżone i szykownie] uczesane. Tak w każdym razie mówiła Hanna. Creed się na tym nie znał.

Creed lubił Penelope, a co ważniejsze, darzył ją zaufaniem. Miała świetny instynkt, jeśli chodzi o psi charakter i osobowość, czasami przekonywała go do wzięcia psa, który budził w nim pewne zastrzeżenia. Wiedział, że zawsze zależało jej na tym, by uratować kolejne

zwierzę i nie mógł z tym dyskutować. Ale Penelope doskonale zdawała sobie sprawę, że psy poszukujące powinny być towarzyskie, a także wytrzymałe fizycznie.

– Potrzebuję do jutra tuzin zdolnych do szkolenia psów – oznajmił.

– Och, kochany, właśnie mnie uszczęśliwiłeś – odparła Penelope z południowym akcentem, który podkreślał jej radość. – Jakieś preferencje? Mam szukać szczególnych cech?

– Najważniejsze, by znajdowały się na liście do uśpienia.

– Jesteś taki sam jak ja.

– Penelope, ile kasy potrzeba, żeby schronisko Alpaloose przestało być umieralnią? Ile?

– Na jego utrzymanie trzeba milionów. Wierz mi, Ryder, gdybym miała tyle pieniędzy...

– Nie mówię o tobie. Po prostu mi odpowiedz.

– Żeby wprowadzić programy edukacyjne dla ludzi...

– Mówię o adoptowaniu psów do innych części kraju. Są organizacje, które już się tym zajmują, prawda?

– Oczywiście, ale to kosztowne. Trzeba znaleźć transport, w ogóle to poważne przedsięwzięcie, które wymaga wielu ochotników i sponsorów.

– Mogłabyś to dla mnie jakoś wyliczyć? Chociaż mniej więcej, ile by kosztowała zamiana Alpaloose w jedno z takich miejsc.

– Och, Ryder, kochanie, naprawdę sądzisz, że nie próbowałam do tego doprowadzić? Nie ma w tej okolicy wystarczająco hojnych sponsorów.

– Przygotuj mi analizę kosztów, no wiesz, orientacyjną.

– Mam coś takiego, wyliczyłam ze dwa lata temu. Zerknę na te papiery i prześlę ci.

– Mógłbym to dostać jeszcze dzisiaj?

– Och, Ryder, mogę ci to przesłać, gdy tylko wyciągnę stare teczki z dokumentami. – Urwała. – Co zamierzasz?

– Powiem ci, jeśli się uda.

Jakieś dwadzieścia minut później Creed dostał mejla z większą liczbą szczegółów niż to konieczne i orientacyjnymi kosztami. Zadzwoił do Wurtha i był zaskoczony, kiedy zastępca dyrektora odezwał się po trzecim sygnale.

– Ryzyko w porównaniu do zysku jest zbyt duże, żeby przygotować psy do jednego tylko zadania – bez zbędnych wstępów oznajmił Creed. – Do wykrywania wyłącznie tego jednego wirusa. Jeśli te psy przeżyją, chcemy, by zostały psami wielozadaniowymi.

– Tak? Więc zamieniam się w słuch.

– Wiem, że Departament Bezpieczeństwa Krajowego ma w tym roku w budżecie sto pięćdziesiąt milionów dolarów na szkolenie tysiąca psów, a panu już brakuje, na moje oko licząc, około dwustu pięćdziesięciu.

– Co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– Hanna i ja mamy podpisaną umowę z waszym departamentem. Chciałbym ją rozszerzyć, to po pierwsze, a po drugie, żeby to była umowa długoterminowa.

– Okej, to ma sens.

– Poza tym, co już robimy, dam wam pięć psów z trenerami do tego pierwszego testu. W ciągu roku dodamy jeszcze dziesięć psów. Później każdego roku wybiorę i wyszkolę dwadzieścia psów. Na początek chcę kontrakt na dziesięć lat, z płatną z góry zaliczką.

– Ile mnie to będzie kosztowało?

Gdy Creed podał sumę, Wurth gwizdnął w odpowiedzi.

– Proszę nie zapominać – mówił dalej Creed – że wiem, ile pan płaci za psy, a niektóre z nich sprowadza pan z Europy.

– Ale to mnóstwo kasy za watahę kundli.

– Płaci pan dodatkowo za moje szkolenie. Przygotujemy też program szkolenia dla wyznaczonych przez pana przewodników psów. Wiem, że rząd wyrzuca więcej pieniędzy na szczepionki, które nie działają. Może pan wydać trzy razy tyle na zwiększenie personelu ochrony na lotniskach i nadal nie będzie pan w stanie zidentyfikować i zatrzymać zakażonych ludzi.

Wurth milczał, a Creed wiedział, że to mocny argument. Podjął po chwili:

– Niech pan o tym pomyśli, Wurth. Pański departament już płaci więcej za psy wykrywające bomby. Teraz miałby pan zespół, który byłby w stanie wykryć niebezpieczne wirusy. Proszę nie zapominać, że możemy popracować nad innymi wirusami oprócz ptasiej grypy. Mówi się już o zaangażowaniu psów do wykrywania zagrożeń nie tylko na lotniskach, ale również na stadionach, w centrach handlowych, podczas kampanijnych zgromadzeń czy na koncertach na powietrzu. A co najlepsze, one nigdy nie będą pana ścigać o podwyżkę czy dodatkowe korzyści.

– A jeśli psu zdarzy się falstart, to mnie wytoczoną sprawę.

– Poważnie? Tym się pan martwi? Ilu pańskich agentów ochrony na lotniskach pomyliło się i wzięło na stronę niewłaściwą osobę? Ile razy przepuścili kogoś, kto wchodził na

pokład samolotu ze śmiertelnym wirusem? Wiemy już, że dwa razy puścili Tony'ego Briggsa.

Te słowa uciszyły Wurtha. Trwało trochę, nim się odezwał:

– Wie pan, słyszałem, że jest aplikacja, która wykrywa raka. Do diabła, może powinienem zainwestować w tę technologię?

– Proszę bardzo. Gwarantuję, że nie będzie tak skuteczna jak pies.

– Skąd ta pewność?

– Baterie moich psów wystarczają na dłużej i nie są uzależnione od sygnału satelity ani wież. Jedno jest pewne: żadna aplikacja nie pomoże panu w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.

– Czemu odnoszę wrażenie, że chce pan po prostu uratować schronisko pełne kundli, które czekają na uśpienie?

– Ma pan cholerną rację, ale co w tym złego? Jest jeszcze coś, co chcę dostać jako bonus, i to natychmiast, jeśli tylko dotrzemy pierwszego terminu.

Powiedział Wurthowi, o co chodzi i dlaczego mu na tym zależy. I ku jego zdziwieniu, zastępca dyrektora nie dyskutował.

– Takie są moje warunki, Wurth. Proszę dać mi znać, co pan zdecyduje. – Creed zakończył rozmowę.

Niespełna pięć minut później Charlie Wurth oddzwonił z informacją, że do końca dnia wyśle mu mejlem umowę.

Creed powinien czuć się zwycięzcą, ale zamiast tego nie mógł się pozbyć myśli, że być może skazał te psy na straszną śmierć, jeżeli okaże się, że zarażą się wirusem.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

*Nowy Jork*

Gdziekolwiek się udała, widziała swojego żołnierza. Dwa razy zniknął jej z oczu, więc pomyślała, że może sobie poszedł albo ktoś go zastąpił, a ona musi się zorientować, kim jest ta nowa osoba. Jednak żołnierz nie zniknął na dłużej niż na parę minut.

Zazwyczaj nie wchodził za nią do budynków, tylko czekał na chodniku po drugiej stronie ulicy. Gdy już nabrała przekonania, że w środku jest bezpieczna, bo nikt jej tam nie obserwuje, żołnierz udowodnił jej, że się myliła. Kiedy zbyt długo przebywała w kawiarni, gdzie siedziała przy filiżance herbaty ze zjedzoną do połowy kanapką, żołnierz wszedł do środka. Idąc w stronę toalet, wyglądał na zniecierpliwionego. Poruszał się niemal jak robot, kręcąc głową z boku na bok. Po wyjściu z toalety wybrał inną drogę, idąc dość blisko jej stolika, by ją sprawdzić.

Czuła na sobie jego spojrzenie, choć nosił ciemne okulary. Omiótł wzrokiem Christinę i cały boks. Nie popatrzyła na niego, ale ręka jej drżała, kiedy uniosła filiżankę.

W kawiarni było tłoczno i gwarno, mimo to w ciasnym boksie Christina czuła się jak w swoim małym świecie. Przynajmniej do chwili, gdy mężczyzna nie wróci. Spodziewała się, że nie pojawi się wcześniej niż za kilka minut.

Wyjęła jeden z telefonów na kartę. Musi to zrobić teraz, nim straci odwagę i dopóki jej umysł funkcjonuje. Tego dnia gorączka bardziej dawała się we znaki. Wzięła podwójną dawkę tylenolu i witaminy C, jednak wciąż czuła się trochę oziębiała.

Wybrała nauczony na pamięć numer i przycisnęła telefon do ucha, mając nadzieję, że coś usłyszy, i modląc się w duchu, by nie musiała mówić zbyt głośno. Spodziewała się, że włączy się poczta głosowa, a wtedy nagra wiadomość. Przygotowała sobie, co ma powiedzieć. Powtarzała te słowa w kółko, nawet teraz. Po kilku sygnałach usłyszała: – Mówi Ameer Rief.

Christina czekała na instrukcje, żeby zostawić wiadomość, ale zapadło milczenie, a po chwili ta sama kobieta rzuciła niecierpliwie: – Halo? Słucham?

– Przepraszam, rozmawiam z Ameer Rief?

– Tak, zgadza się.

– Biologiem ze Służby Połowu i Dzikiej Przyrody?

– Tak. W czym mogę pomóc?

Christina zbyt długo milczała. Bała się, że Rief się rozłączy i drugi raz nie odbierze.

– Przepraszam, proszę pani, czy mogę coś dla pani zrobić?

Najpierw musiała odzyskać głos. Musiała sobie przypomnieć, co chciała przekazać Rief. Połączyła się z nią, rozmawiały. Nie mogło być lepiej. Gdyby tylko była w stanie mówić.

– Proszę posłuchać, jeśli nie powie mi pani, o co chodzi, wyłączę się.

– Nie, proszę tego nie robić. – Panika wzięła nad nią górę.

O Boże. Nie chciała, by jej głos brzmiał tak rozpaczliwie, jednak nie potrafiła ukryć desperacji.

– Potrzebuję pani pomocy. Tylko pani. Nikogo innego. Proszę posłuchać. Jestem chora. Zarazili mnie. – Z trudem przełknęła i poczuła zbliżający się atak kaszlu.

Nie, proszę, nie teraz.

Wyjęła z listka tabletkę i włożyła ją do ust.

– Jak się pani nazywa?

– Jak się nazywam? To... to nieważne.

– To ważne. Jeśli oczekuje pani, żebym panią wysłuchała, żebym pani zaufała, muszę znać pani nazwisko.

Zawahała się. To pułapka? Nie, sama postanowiła zaufać tej kobiecie. Nie mogła teraz się wycofać.

– Christina. Christina Lomax.

– Czemu uważa pani, że ktoś panią zaraził, Christino?

– Bo mi tak powiedzieli. – Nagle zdała sobie sprawę, że nie sprawdziła, co dzieje się na zewnątrz. Czy minęły sekundy czy minuta? Spojrzała ponad ścianką boksu. Nie widziała żołnierza. Szepnęła: – Płacą mi, żebym chodziła po Nowym Jorku i zarażała innych.

– Kto panią zaraził? – spytała Rief, a Christina pomyślała, że w jej głosie słyszy niedowierzanie.

– Ten, kto zaraził ptaki w Nebrasce.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

Christina przeniosła wzrok z ulicy na drzwi i znów na ulicę.

– Proszę tylko mnie słuchać. Nie zwariowałam. Nie mam wiele czasu.

Potem próbowała wyjaśnić kwestię z pendrive'em. Mówiła o mężczyźnie, który go jej dał i powiedział, że musi pamiętać, by znaleźli go przy jej ciele. Przerwał jej kolejny atak kaszlu, a później kelner. Nikt inny nie wydawał się zainteresowany jej rozmową, mimo to

kontynuowała na przemian cicho albo szeptem.

W końcu powiedziała Rief, że przekaże jej pendrive'a, ale tylko jej.

Dodała, że to musi być tego dnia. Tego wieczoru, bo nazajutrz o tej porze może już nie żyć.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

### *Florida Panhandle*

Creed przesłał Charliemu Wurthowi i Benjaminowi Plattowi listę niezbędnych rzeczy oraz instrukcję dotyczącą pobrania próbek wirusa. Mieli to zrobić w taki sam sposób, jak robił to on, kiedy pobierał próbki, żeby nauczyć psy wykrywać raka oraz *Clostridium difficile*.

Teraz krążył po kuchni Hanny. Wszyscy troje, Creed, Hanna i doktor Avelyn, zastanawiali się, co będzie, jeśli obietnica, którą złożył zastępcy dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, okaże się nie do spełnienia.

– Powiedziałem im, jakich plastikowych fiolek mają użyć – powiedział Creed.

– Wypełnionych włóknami polipropylenowymi – przypomniała Hanna.

– Tak.

Patrząc na doktor Avelyn, Creed spytał:

– Czy ptasia grypa na pewno pachnie inaczej niż zwyczajna grypa?

– Tak sędzę. Trochę sobie o tym poczytałam. Niezależnie od szczepu, ptasia grypa powoduje intensywną reakcję układu odpornościowego, a psy będą w stanie wykryć te zmiany. Następuje uwolnienie białek, które mają zwalczyć wirusa, ale równocześnie te same białka powodują stan zapalny. Czytałam też, że wirus zwykle trzyma się nosa i gardła, inaczej niż w wypadku zwykłej grypy, która atakuje układ pokarmowy. Jeśli dostaniemy wystarczającą ilość próbek, nie powinniśmy mieć problemu z wyszkoleniem psów. Ale czy tak będzie? Czy dostaniemy odpowiednią ilość? Czy będą w stanie dostarczyć tyle, ile potrzebujemy?

– Tak twierdzą. Pobierają je od ofiar wirusa w Chicago, od osób, które są już poważnie chore, więc próbki będą silne.

– Ale od ilu różnych osób? – spytała Hanna. – Mieliśmy próbki pobrane od dwudziestu pięciu osób, kiedy uczyliśmy psy wykrywać *Clostridium difficile*.

– Powiedziałem im to. Zapewniali, że to nie problem. W samym Chicago zidentyfikowano już ponad dwustu chorych.

– Boże miłosierny! – Hanna pokręciła głową.

Większą trudność stanowiło wyszkolenie psów w tak krótkim czasie. Każdy trening polegał na serii powtórzeń, ale nadmierna stymulacja i zmęczenie psów mogły wszystko

zepsuć. Poza tym dla Creeda wykrywanie chorób to było wciąż nowe terytorium. Uczył się tego tak samo jak psy.

Do nauki wykrywania materiałów wybuchowych i narkotyków łatwo było wyizolować dla psów pojedynczy zapach, to samo dotyczyło poszukiwania zwłok. Ciało podczas rozkładu wydziela określone gazy, te zapachy są takie same niezależnie od wieku ofiary czy dolegliwości, na które cierpiała za życia.

Jeśli jednak chodzi o wykrywanie chorób, jest dokładnie odwrotnie. Jedna próbka wydychanego powietrza zawiera tysiące organicznych składników, gazów i zapachów. Psy mogły je wszystkie wyczuć, także te, które należały wyłącznie do danej osoby. Właśnie to Creed tłumaczył Plattowi i Wurthowi. Pies mógł wyczuć, jakiej pasty do zębów używa dana osoba, składniki jej ostatniego posiłku i tym podobne.

Na zapach oddechu wpływają też inne czynniki, na przykład wiek, a nawet pochodzenie etniczne. Tak więc zapach, jaki daje rak, cukrzyca czy zakażenie *Clostridium difficile*, a nawet grypa, jest tylko jednym z elementów koktajlu tworzącego indywidualny zapach człowieka.

Najlepiej byłoby mieć dużą liczbę próbek tego szczególnego wirusa. Trzeba zapoznać psy z wieloma różnymi zakażonymi osobami, aż jedynym wspólnym mianownikiem stanie się zapach wirusa.

– Będziemy też potrzebowali do testów możliwie jak najwięcej próbek oddechu zdrowych ludzi – powiedział Creed do doktor Avelyn.

– Zacznę od naszych pracowników.

– Mogę zdobyć ochotników z Segway House – zaproponowała Hanna.

– Penelope przywiezie dziś po południu kilka psów. Może też znajdzie jakichś ochotników.

Creed poczuł psią łapę obok swoich stóp. Spuścił wzrok i zobaczył młodego czarnego labradora Jasona. Wziął go na ręce i podrapał za uszami.

– Co Scout tu robi?

– Jason prosił, żebym go popilnowała – odparła Hanna.

– Jak długo?

– Nie wiem, dopóki nie wróci.

– Gdzie się wybrał?

– Nie mówił.

– Powiedział ci, jak długo go nie będzie?

– Nie. Co z tobą, Rye?

Creed poczuł ściskającą żołądek panikę. Odkąd dowiedział się o Tonym, martwił się o Jasona, a po Wyliem... Coś było nie tak. Wiedział, że chłopak nigdy nie zrobiłby sobie nic złego, gdyby wiedział, że Scout zostanie sam, ale zostawił psa z Hanną, zamiast zaprowadzić go do psiarni, do innych psów...

– Mamy klucz do jego przyczepy?

– Tak.

– Poszukaj mi go.

– O co chodzi? Rey, nie możemy wchodzić do jego przyczepy. To jego dom.

– Hanno, proszę. Daj mi ten klucz.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

*Nowy Jork*

Christina była wyczerpana. Najbardziej na świecie pragnęła wrócić do hotelowego pokoju i skulić się w łóżku. Wypiła pół butelki syropu na kaszel i połknęła więcej tabletek tylenolu, niż pozwalała ulotka. Ból w piersi stał się jak zaciśnięta pięść naciskająca na płuca. Nie patrzyła, kiedy wypluła flegmę do chusteczki. Nie musiała patrzeć. Wiedziała, że jest tam krew.

Dała Ameer Rief numer swojej drugiej komórki na kartę. Po wyjściu z kawiarni wyrzuciła tę, z której z nią rozmawiała, do kosza na śmieci, zawiniętą w zużyte chusteczki. Jeśli Rief nie dotrzyma słowa i będzie usiłowała ją znaleźć, korzystając z numeru tego telefonu, czeka ją przykra niespodzianka.

Ale zanim Christina miała nadzieję połączyć się znów z Rief, musiała zrobić coś innego. Musiała pozbyć się swojego żołnierza.

Znów zniknął prawie na godzinę. Christina liczyła na to, że obserwatorzy uznali, że śledzenie jej na okrągło to strata czasu. Chodziła od sklepu do sklepu, starając się znaleźć jakieś miejsce, gdzie byłaby bezpieczna. Przewidywała, że będzie potrzebowała dwudziestu do trzydziestu minut samotności i spokoju. Ale wszystkie toalety, do których zaglądała, były za małe i wciąż zajęte.

Wpadło jej nawet do głowy, żeby złapać taksówkę i pojechać do Metropolitan Museum of Art, gdzie miałyby mnóstwo wolnego miejsca. Wątpiła, by żołnierz tam za nią wszedł. Ale wiedziała, że tam będzie ochrona... i kamery. A zatem odrzuciła ten pomysł.

Szła Trzecią Aleją, przekonując samą siebie, by nie zawracać do hotelu. W pewnym momencie wypatrzyła znajomy pomarańczowo-biały znak. Nowojorski Home Depot nie przypominał tego, który znała ze swojego rodzinnego miasta. Nie było ogromnego parkingu, sklep był wciśnięty między bank a inny sklep. Może przynajmniej damska toaleta będzie wolna.

W środku było niewielu klientów. Christina udawała, że jest zainteresowana produktami wystawionymi obok okna. Żołnierz szedł ulicą. Pewnie się zastanawiał, czemu nie wybrała Bloomingdale'a.

Odczekała kilka minut, po czym ruszyła na tył sklepu. Toalety znajdowały się w odległym rogu, damska z jednej, męska z drugiej strony. Na końcu korytarza dojrzała

kolejne drzwi z napisem: „Dla matki z dzieckiem”.

Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Pokój był duży, przewijak przy ścianie odpowiedniej wysokości, by można zmienić dziecku pieluchę, siedząc na wózku inwalidzkim. A drzwi miały zamek.

Szybko zaczęła wyjmować z torby wszystkie niezbędne przedmioty. Klej i nóż X-Acto z przybornika dla artystów, upewniając się, że nóż jest ostry. Otworzyła buteleczkę z jodyną i drugą z alkoholem do masażu. Wyjęła paczkę chusteczek i kilka dużych plastrów z opatrunkiem.

Poprzedniego dnia kupiła między innymi tani zegarek, a teraz zanotowała dokładny czas. Nie mogło jej to zająć więcej niż dwadzieścia minut, bo żołnierz zacząłby jej szukać. Ostatnio gorączka zaćmiła jej umysł do tego stopnia, że wszystko w jej odczuciu zdawało się trwać długie minuty, choć w rzeczywistości mogły to być tylko sekundy.

Kiedy ułożyła potrzebne przedmioty w szeregu na umywalce, zdjęła bluzę i T-shirt.

Przez chwilę przeglądała się w lustrze. Policzki miała zapadnięte, pod oczami cienie, spod czapki bejsbolówki wychodziły wilgotne od potu kosmyki. Mimo wszystko z ulgą zobaczyła, że nie wygląda tak, jak się czuła, czyli jak zombi.

Mikroczip mieścił się tuż pod skórą na ramieniu. Pomimo luk w pamięci, Christina pamiętała, gdzie go wszczepili na początku minionej jesieni. Nie miała za to pojęcia, jak wygląda. Posłużyli się instrumentem podobnym do strzykawki z igłą, którą wbili pod skórę. Powiedzieli jej, że czip jest wielkości ziarna ryżu. Spełniał funkcję osobistej bazy danych, gromadząc cenne informacje. Nie tylko pozwalał zidentyfikować Christinę, znajdowała się tam również historia jej chorób, przyjmowane leki, alergenów wywołujące u niej reakcję uczuleniową i informacje kontaktowe.

Pamiętała, że naukowiec, który jej to wstrzykiwał, stwierdził, że w tym jest przyszłość. Nigdy wcześniej nie pomyślała, że mikroczip pomoże im ją śledzić, a potem nawet upewnić się, że nie przeżyła jednego z ich eksperymentów.

Drżącą ręką podniosła nóż X-Acto.

– Dasz radę. – Spojrzała w swoje oczy w lustrze. – Musisz to zrobić.

Posmarowała jodyną miejsce, gdzie znajdował się czip, i poliała alkoholem nóż. Potem nacięła skórę.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

### *Florida Panhandle*

Creed starał się zwolnić nie tylko dlatego, że ruszyły za nim Hanna i doktor Avelyn. Wiedział, że musi kontrolować emocje.

– Co ty wyprawiasz, Rye?

– Słucham swojego instynktu – odparł.

Zapukał do drzwi przyczepy, ale nie czekał długo na odpowiedź, tylko wsunął klucz do zamka. Zdał sobie sprawę, że otwierając drzwi, wstrzymał oddech, szykował się na to, co mógłby tam zobaczyć.

Jason kilka razy wspomniał, że nie spodziewał się samobójstwa Tony’ego. Jak Creed mógł nie zauważyć, że chłopak pogrąża się w depresji? Cóż, w drodze do domu minionej nocy myślał o Wyliem, usiłował od siebie odsunąć wspomnienie samobójstwa własnego ojca.

– Jason! – wrzasnął.

Główna mieszkalna część była pusta, Creed nie wyczuł metalicznego zapachu krwi. Ale co takiego powiedział Jason na temat samobójstwa? Że nie zrobiłby nic takiego, co naraziłoby jego matkę na oglądanie krwawych koszmarów.

– Rye, proszę cię, przestań i powiedz mi, co się dzieje – odezwała się Hanna, stojąc w drzwiach.

Creed ruszył do sypialni, odetchnął głęboko, potem otworzył drzwi. Zobaczył porządnie pościelone łóżko, ale na podłodze leżały śpiwór i poduszka. Poszedł do łazienki. W środku było czysto. Nic podejrzanego nie zauważył, dopóki nie otworzył szafki pod umywalką, gdzie stał kosz na śmieci.

Wyjął go i wysypał zawartość do umywalki. Obok dwóch zużytych jednorazowych golarek, była tam sterta opakowań po lekach, a każde z nich z receptą. Zaczął je otwierać, zanim do niego dotarło, że wszystkie są puste.

– Myślisz, że je połknął? – spytała doktor Avelyn.

– Jestem pewna, że on bierze leki, Rye – stwierdziła Hanna, stając u jego boku.

– Wszystkie? – Podawał opakowania doktor Avelyn.

– Boisz się, że się uzależnił? – Lekarka wciąż była skonfundowana. Nie miała powodu podejrzewać, że Jason coś sobie zrobił.

– Hej, co się tu dzieje?

To był Jason.

Hanna i doktor Avelyn wycofały się z małej łazienki.

– Dacie nam chwilę? – poprosił je Creed, a kobiety skwapliwie opuściły przyczepę.

Creed odczekał chwilę.

– Co ty, do diabła, robisz? – spytał Jason, kiedy zobaczył opakowania po lekach w zlewie.

– Po co ci te wszystkie leki i co się z nimi stało?

– Nie twój cholerny interes.

– Przechowujesz je gdzieś? Łyknąłeś garść pieprzonych pigułek?

– Więc tak to wygląda? Nie mam żadnej prywatności? Możesz się tu władować, kiedy chcesz?

– Nie, oczywiście, że nie. – Creed zebrał opakowania i nożyki, po czym wrzucił je z powrotem do kosza. – Zaniepokoiłem się, kiedy zobaczyłem, że zostawiłeś Scouta z Hanną.

– Co?

– Miałem złe przeczucia – próbowałem wyjaśnić Creed. – To instynkt. Po Tonym i Wyliem. Myślałem też o moim ojcu. – Podniósł wzrok na Jasona. – Przepraszam. Pomyliłem się.

Poszedł za Jasonem do pokoju. Przez okno zobaczył, że Hanna i doktor Avelyn wracają do domu. Jason też to zauważył.

Creed chciał za nimi ruszyć, kiedy Jason powiedział:

– Twój instynkt się nie mylił. – Spojrzał mu w oczy. – Zbierałem te leki od pobytu w szpitalu. Lekarze wciąż coś mi przepisywali, ale nic z tego nie pomagało. Pomyślałem, że jak się je połączy, mogę mieć całkiem skuteczną mieszankę. No wiesz, gdybym zdecydował się coś zrobić. Świadomość, że je mam, była jakimś cholernym pocieszeniem.

– Ale ich nie wzięłeś?

– Nie. – Jason potrząsnął głową. – Ale chciałem to zrobić wczoraj w nocy. – Przerwał na moment. – Scout o mały włos nie połknął dwóch tabletek i śmiertelnie mnie przeraził. Spuściłem je z wodą w toalecie, co do jednej.

Creed przetarł oczy, potem potarł brodę. Poczł wielką ulgę.

– Jason, obiecaj – popatrzył mu w oczy – że jeśli kiedykolwiek znów o tym pomyślisz, najpierw przyjdiesz ze mną pogadać.

Jason wyglądał na zdziwionego, otworzył usta, żeby zaprotestować, ale ostatecznie

zmienił zdanie.

– Pod warunkiem, że ty zrobisz to samo.

Creeda zaskoczyło, że chłopak jest naprawdę bystry i głęboko postrzega świat wokół siebie. Jason wyczuł intuicyjnie, że jemu też chodziło to po głowie. Ale to dawne czasy, przed Hanną i psami. Zamiast wyjaśnić to Jasonowi, Creed tylko skinął głową.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

*Międzynarodowe lotnisko Hartsfield-Jackson*

*Atlanta, Georgia*

Pierwsze połączenie z Omaha do Pensacoli, na które O'Dell udało się załapać, miało dwugodzinną przerwę w Atlancie. Maggie znalazła spokojne miejsce – co wcale nie było łatwe – i postanowiła mądrze wykorzystać ten czas.

Dotąd nie mogła się połączyć telefonicznie z agentem Alonzo, ale teraz wreszcie jej się udało.

– W FBI nie pracuje żaden Lawrence Tabor – oznajmił Alonzo.

– Może jest na emeryturze?

– Nie, znalazłbym go. Jest jeden Lawrence Tabor, który pracuje dla agencji federalnej, ale innej.

– Jakiej?

– Dla DARPA.

O'Dell poczuła ucisk w żołądku. Powiedziała sobie, że to może być ktoś inny, a jednak jej się wypsnęło: – O kurwa.

– Słucham?

– Przepraszam.

– To nie jest twój ulubiony skrót?

– Ostatnio nie – przyznała. – Ale może to nie ten sam gość.

– Wybacz, ale nie zgodzę się z twoją opinią – odparł Alonzo. – Nie mogę ci dokładnie powiedzieć, jakimi metodami się posłużyłem, żeby znaleźć tę informację, ale Lawrence Tabor zatrudniony przez DARPA spędził pięć dni w Pensacoli.

– Skąd masz pewność?

– Wiem, w którym hotelu się zatrzymał.

O'Dell uśmiechnęła się. Alonzo naprawdę był dobry. Z doświadczenia wiedziała, że żaden człowiek ani żadna agencja nie ukryje przed nim kosztów podróży.

– Pracował w Biurze Biotechnologii DARPA – mówił dalej – aż do ostatniego lata, kiedy został przeniesiony do Biura Nauk Obronnych. Nadal pracuje w DARPA, ale teraz jest tam pracownikiem do zadań specjalnych. I tu moje czary się kończą. Nikt nie był upoważniony do tego, by mi wyjaśnić, co to za zadanie specjalne ani gdzie Tabor przebywa

w tym momencie.

– Nie ma go już w Pensacoli?

– Wczoraj wymeldował się z hotelu i nie zameldował się w żadnym innym. Jeśli i kiedy to zrobi, będę w stanie ci powiedzieć.

– Udało ci się znaleźć coś na temat Izzy Donner?

– To, co jest łatwo dostępne, pewnie już wiesz. Miała dziewiętnaście lat, studiowała na University of West Florida.

– To w Pensacoli, tak?

– Zgadza się, ale jej ostatni domowy adres to Crestview na Florydzie. Tam mieszkają jej rodzice. Rachunek bieżący Izzy Donner pokazuje, że kupiła ostatnio bilet do Atlanty. Nie znalazłem żadnych kart kredytowych, tylko rachunek bieżący. Poza tym nic nadzwyczajnego, żadnych większych wydatków, żadnych większych depozytów. A jednak, jeśli cofniemy się do minionego lata, dwudziestego piątego sierpnia otrzymała drogą elektroniczną przelew na trzy tysiące dolarów. Nadal pracuję nad tym, skąd pochodził.

– Wakacyjna praca?

– Mało prawdopodobne, żeby zapłacili jednorazowo pełną kwotę.

– A co z Tonym Briggsem?

– Czwartego września odnotowano wpłatę w wysokości trzech tysięcy dolarów. Drogą elektroniczną.

– Wrócił z Afganistanu. Czy te pieniądze mogą mieć jakiś związek z wojskiem?

– Nie. Widziałem takie depozyty, są inne.

Ponieważ jej telefon zaczął wibrować, powiedziała: – Mam drugie połączenie. Jak się czegoś dowiesz, daj mi znać.

– Jasne.

Zakończyła rozmowę i kliknęła na przychodzące połączenia.

– Agentka O'Dell, słucham.

– Maggie, mówi Ameer Rief. Zostawiłam pani kilka wiadomości. Rozumiem, że wciąż jest pani w samolocie.

– Właśnie wylądowałam w Atlancie. Co się dzieje?

– Właśnie rozmawiałam z kobietą, która powiedziała, że chyba ma ptasią grypę.

– Co? Chwileczkę, czemu do pani dzwoniła?

– Widziała mnie wczoraj wieczorem w telewizji. Stamtąd dostała mój numer i nazwisko.

Powiedziała, że wie, że tamto stado gęsi śnieżnych było zarażone wirusem ptasiej grypy.

– Przecież jeszcze nie mamy pewności...

– Już ją mamy. Właśnie dostałam wyniki badań.

– Czy to możliwe, że po prostu przypadkiem zgadła? – spytała O'Dell.

– Podała mi konkretny szczep. Uważa, że ją też tym zarażono.

O'Dell wsunęła palce we włosy, starała się zachować spokój. Więc to prawda, było więcej zarażonych ochotników. Ben miał rację.

Przez interkom podano informację. Przy jednej z pobliskich bramek zbierali się pasażerowie. Maggie wstała i pociągnęła torbę na kółkach w poszukiwaniu spokojniejszego miejsca.

– Tak dokładnie się wyraziła? Że ktoś ją zaraził?

– Twierdzi, że brała udział w jakimś eksperymencie.

– Powiedziała, kto go prowadził?

– Nie, nie chciała tego zrobić przez telefon, ale twierdzi, że ma dowód. Chce mi go przekazać, tylko mnie.

– Zgodzi się pani? – O'Dell wiedziała, że choć ona zawodowo wciąż ma do czynienia z podobnymi sprawami, Rief przywykła raczej do spadających z nieba ptaków niż szalonych naukowców wypuszczających w świat śmiertelne wirusy.

– Chyba tak. Nie bardzo wiem, co zrobić.

– Nie musi pani tego robić.

– Ale ona wie, jak wyglądam. Oczekuje mnie. Powiedziała, że jacyś ludzie ją obserwują. Cały czas nazywała ich żołnierzami.

O'Dell natychmiast pomyślała o Taborze i jego niebezpiecznej taktyce zastraszania, którą próbował zastosować wobec Hanny i Creeda. Jego ludzie wparowali do biura koronera i zabrali ciało Izzy Donner, a koszty jego podróży opłacała DARPA. Niemożliwe, żeby działał na własną rękę. Maggie poczuła znajomą panikę... i złość. I nagle znów poczuła, że dała się nabrać.

Rief była pracownikiem federalnym, mimo to O'Dell nie miała ochoty jej narażać.

– A mee, nie mogę pani o to prosić – stwierdziła.

– Nie musi mnie pani prosić. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby tej kobiecie coś się stało po tym, jak właśnie ze mną się skontaktowała.

– Możemy się spotkać. Będziemy razem. Jeśli ona oglądała wiadomości, nie zdziwi się

na mój widok. Pomyśli, że jesteśmy koleżankami z pracy. Detektyw Jacks już pracuje nad tą sprawą w Chicago i może nam zapewnić wsparcie.

– Ta kobieta nie jest w Chicago – oznajmiła Rief.

– Nie?

– Mówiła, że jest w Nowym Jorku, ale to jeszcze nie wszystko. Powiedziała, że muszę się z nią spotkać dzisiaj. Boi się, że do jutra nie dożyje.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

### *Florida Panhandle*

Creedowi nie podobało się, że pułkownik Benjamin Platt uparł się sam przywieźć pierwsze próbki. Potem zobaczył ulgę na twarzy doktor Avelyn. Nie zdawał sobie sprawy, że obecność szefa ośrodka zajmującego się chorobami zakaźnymi – jednego z najważniejszych w kraju, a może i na świecie – może okazać się dla nich nadzwyczaj korzystna.

Oczywiście do czasu, aż pułkownik nie uzna, że może wszystkimi komenderować, dodał kąśliwie w duchu.

To prawda, być może Creed był przewrażliwiony na punkcie oficerów, zresztą podobnie jak Jason. Wojskowej wierchuszce zawsze się wydawało, że ma prawo decydować o cudzym życiu i śmierci, choć większość z tych wyższych oficerów i generałów nigdy nie była na polu walki. Creed nie pozwoli Plattowi traktować w ten sposób swoich psów ani swojego personelu.

Ale to nie był jedyny powód rozdzwiewu między nim a pułkownikiem. Łatwo się domyślić, co nie dawało mu spokoju. Ten gość zdobył kawałek serca Maggie O'Dell, i to na tyle duży, by wciąż nie czuła się wolna. Nie wiedział dokładnie, jak wyglądają ich wzajemne relacje, ale za to wiedział, że musi się wycofać. Tak właśnie postępował od pobytu w Karolinie Północnej. Jakaś jego część była wściekła, że Platt wciąż ma nad Maggie taką władzę, dlatego w swoim ośrodku na pewno nie odda mu dowództwa.

– Roger Bix z CDC stara się o kolejne próbki – powiedział Platt do Creeda i doktor Avelyn.

– Czy do każdej próbki dołączone są informacje o pacjencie, o które prosiliśmy? – spytał Creed.

Platt wyjął plik papierów w kratkę przypominających arkusz kalkulacyjny, na których, jak miał nadzieję Creed, znajdowały się niezbędne dane.

– Posiadamy podstawowe informacje dotyczące wszystkich osób, takie jak wiek, płeć, pochodzenie. Niektórzy byli zbyt chorzy, żeby zagłębiać się w ich dawniejsze choroby. Jeśli ktoś przyznał się do palenia papierosów czy picia alkoholu, to też jest odnotowane, a także wszystkie bieżące problemy zdrowotne. O ile dobrze pamiętam, jedna osoba choruje na cukrzycę, inna chorowała na raka piersi, ale jest już zdrowa.



– Ile czasu? – chciał wiedzieć Creed.

Platt patrzył na niego przez sekundę czy dwie. Creed pomyślał, że pułkownik zastanawia się, czy chciał go zirytować, czy ta dodatkowa wiedza jest mu rzeczywiście potrzebna. Potem Platt zaczął kartkować dokumenty, aż coś znalazł.

– Według tego, co nam powiedziała – odparł – jest zdrowa od pięciu lat. – Potem podniósł wzrok na Creeda, żeby przekonać się, czy to dobra, czy zła wiadomość.

– Zanotujemy to przy próbcie. Jeśli wykorzystamy moje psy, które są wyszkolone do wykrywania raka, musimy mieć pewność, że będą szukały tylko tego wirusa.

– Ale ona wyleczyła się pięć lat temu – powtórzył Platt.

– Wolałbym, żeby to było siedem.

– Twierdzi pan, że pańskie psy są w stanie wyczuć u niej nawrót choroby, kiedy według onkologa jest zdrowa?

Creed wychwycił wyzwanie w głosie Platta. Zerknąwszy na doktor Avelyn, zobaczył, że nagle poczuła się niekomfortowo, zrozumiał więc, że sobie tego nie wyobraził.

– Tak. Psy wykrywają pewne rodzaje raka, na przykład piersi, prostaty, płuc, jajników, we wcześniejszym stadium niż jakiegokolwiek badania laboratoryjne.

– To jakieś specjalne rasy?

Creed nie miał czasu ani ochoty na takie pogaduszki. Nie zależało mu, żeby Platt mu wierzył.

– Nie. Psy, które wykrywają choroby, zwykle nie mają odporności i wytrzymałości wymaganych od psów pracujących na miejscu katastrofy. Wiele udanych testów przeprowadzono zarówno z mieszancami, jak i z przedstawicielami czystych ras, od beagle'a i cocker spaniela do yorkshire teriera. Najważniejsze cechy to dobry węch, energia i chęć zadowolenia trenera.

Platt patrzył na niego, jakby chciał jeszcze o coś zapytać, natomiast Creed zamierzał mu już podziękować i pożegnać się. Wtedy włączyła się doktor Avelyn:

– Może pana oprowadzę, pułkowniku? Przydałaby się nam pańska pomoc. Mógłby pan nam powiedzieć, jak uchronić nasz personel i psy przed zakażeniem podczas pracy.

W jednym z budynków K9 CrimeScents urządzili sterylne pomieszczenie służące do przechowywania i przygotowywania próbek. Próbki oddechu, które przywiózł Platt, zostały przekazane na włókninę, którą następnie umieszczono w szczelnie zamkniętych plastikowych fiolkach.

Doktor Avelyn wyjaśniła Plattowi:

– Nie używamy szklanych fiolek. Za dużo okazji, żeby się stłukły.

Fiolki zrobione z PVC miały korki na obu końcach. Kiedy byli gotowi do pokazania próbki psom, zastępowali jeden z korków rzadkim płótnem, które pozwalało im poczuć zapach. Potem fiolki z PVC umieszczano w stacji roboczej z nierdzewnej stali.

Doktor Avelyn pokazała Plattowi metalowe pudełko i wytłumaczyła, że większość pudełek ma dziewięć okrągłych zagłębień, w których mieszczą się fiolki. Zagłębienia są wystarczająco głębokie, by psy nie przewróciły fiolek. Tylko jedna z dziewięciu fiolek zawiera docelowy zapach, w pozostałych ośmiu znajdują się próbki kontrolne.

– To jeden z powodów, dla których prosiliśmy o tyle różnych informacji o pacjentach, zanim wykorzystamy ich próbki – rzekła doktor Avelyn. – Kiedy to tylko możliwe, staramy się dobrać próbki przynajmniej według płci i wieku. Z sukcesem wyszkoliliśmy psy do wykrywania *Clostridium difficile* i wcześniej zdaliśmy sobie sprawę, że nasze próbki kontrolne muszą odpowiadać próbce docelowej przynajmniej jeśli chodzi o grupę wiekową. A oto moje wyzwanie, panie pułkowniku. Wprawdzie bez trudu mogę zaopatrzyć trenerów w stroje ochronne, żeby zredukować ryzyko zakażenia wirusem, ale jak mam chronić psy?

– Nie mamy dowodów na to, że psy mogą się zarazić ptasią grypą.

– Wciąż pan to powtarza – wtrącił Creed. – Ale mówienie tego w kółko nie znaczy, że to prawda. Czy istnieje jakiś dowód, że nie mogą się tym zarazić?

– Proszę mnie wysłuchać. Oczywiście rozumiem państwa niepokój – odparł zniecierpliwiony Platt, zwracając się do nich takim tonem, jakby już wiele razy przedyskutowali ten temat i jakby musiał po raz kolejny przytaczać swoje argumenty. – Powinniśmy te psy traktować tak samo, jak traktujemy psy w wojsku.

Creed nie mógł uwierzyć, że Platt posługuje się kiepskim argumentem Wurtha, ale na razie milczał.

– Wysyłamy te psy na pierwszą linię frontu – mówił dalej pułkownik – i na pola minowe, znając ryzyko i wiedząc, że to one dostaną za nas kulkę. Mamy do czynienia z analogiczną sytuacją.

Creed musiał skrzyżować ramiona na piersi i zacisnąć zęby, żeby zachować milczenie. Już wyjaśniał Wurthowi i Plattowi, że sytuacje są nieporównywalne.

– Nie zgadzam się z tym stwierdzeniem, pułkowniku – powiedziała doktor Avelyn. –

Istnieje ogromna różnica. Wojskowe psy nie są szkolone przy użyciu prawdziwej amunicji czy materiałów wybuchowych, a jednak prosi nas pan o to, żeby nasze psy podczas szkolenia wachały próbki wirusa, który może dostać się do ich układu oddechowego. Bo skoro mamy je wyszkolić, musimy tak postępować, a efekt jest taki, że już podczas ćwiczeń zagrożenie dla psów jest bardzo duże.

Platt spojrział na Creeda, który już wcześniej wytaczał ten argument. Pułkownik był nie tylko zniecierpliwiony, ale i bliski złości. Creed Creodem, ale jeszcze przed chwilą łudził się, że zdoła przekonać lekarza weterynarii.

Dusząc się ze złości, Creed nadal nie włączał się do dyskusji.

– Właśnie między innymi z tego powodu zastępca dyrektora Wurth sugerował, żeby wziąć psy ze schroniska, które i tak czekają na uśpienie – odparł Platt. – Płaci za nie cenę wyższą od normalnej.

– To nie ma znaczenia – stwierdziła spokojnym tonem Avelyn. Creed był dumny, że ma ją u swojego boku. – Naprawdę nieważne, czy te psy tak czy owak zostałyby uśpione. Jeśli którykolwiek z psów podczas szkolenia zaraziłby się wirusem, byłby dla nas bezużyteczny. Pomyślał pan o tym? – Czekąca, aż do Platta dotrze, co właśnie powiedziała, a potem podjęła: – Jeśli psy się zarażą, nie będą w stanie wyjść i pracować na lotniskach. Nigdzie nie będą w stanie wyjść. Będą zbyt chore. I same będą zarażać.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

*Międzynarodowe lotnisko Hartsfield-Jackson*

*Atlanta, Georgia*

O'Dell czekała, aż Platt albo Wurth do niej oddzwonią, a jednocześnie z pomocą laptopa szukała wolnych miejsc w samolocie nie tylko dla siebie, ale także dla Rief. Zaczynała się irytować. Przedstawicielka agencji sprzedaży biletów poinformowała ją, że najwcześniejszy samolot z Atlanty do Nowego Jorku, na który może zapewnić jej bilet, wylatuje tego wieczoru o dwudziestej czterdzieści pięć, chyba że O'Dell chce trafić na listę oczekujących. Maggie zapisała się na listę, a następnie rozpoczęła poszukiwania na własną rękę.

Równie trudno było znaleźć połączenie z Omaha do Nowego Jorku. Jeden samolot wylatywał pięć po siedemnastej, ale z przesiadką w Chicago, przez co Rief byłaby w Nowym Jorku później niż O'Dell, gdyby poleciała bezpośrednio z Atlanty o dwudziestej czterdzieści pięć. Maggie zaczęła się obawiać, że żadna z nich nie zdąży spotkać się z tą kobietą przed północą.

Jej panika jeszcze wzrosła, kiedy zadzwonił Charlie Wurth.

Szukała spokojniejszego, mniej zatłoczonego miejsca, aż zdała sobie sprawę, że nikt nie zwraca na nią uwagi. Wszyscy rozmawiali przez telefony, skupieni na własnych sprawach. Powiedziała Wurthowi to, co usłyszała od Rief, ale na tym nie poprzestała.

– Charlie, jeśli podejrzewasz, że DARPA jest w to zamieszana, musisz mi to powiedzieć już, teraz, albo przysięgam, że zadzwonię do szefa i poproszę, żeby odsunął mnie od tej sprawy. I Kunze, jak go znam, tak właśnie robi.

– Uwierz mi, Maggie, gdybym wiedział, że istnieje taka ewentualność, byłbym już w Waszyngtonie i maglowałbym pułkownika Hessa tak skutecznie, jak nikt go nigdy nie wymaglował. Ale chodzi o to, że Hess nam pomaga.

– W jaki sposób?

– Wysłał dwóch naukowców z DARPA do CDC, żeby pomagali przy stworzeniu szczepionki.

– A co z Lawrence'em Taborem?

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

– Pracuje dla DARPA – powiedziała O'Dell.

– I co z tego?

To ją uciszyło.

– Poważnie – mówił dalej Wurth. – Posłuchaj, Maggie, rozumiem, że od wydarzeń w Karolinie Północnej Hess jest twoim wrogiem, ale doktor Shaw uciekła z czymś, co należało do jego ośrodka badawczego. Trudno się dziwić, że jest przewrażliwiony na punkcie tej sprawy. Shaw ukradła próbkę wirusa, który stworzyła, kiedy była jego podwładną. – Przerwał na moment, a O'Dell nadal uparcie milczała. – Daj spokój, Maggie, ten człowiek jest bohaterem wojennym, żywą legendą. Pod jego kierownictwem DARPA prowadziła badania i wprowadziła technologie, które uratowały setki, jeśli nie tysiące żołnierzy. Nawet gdyby wysyłał ludzi, których zadaniem było podjąć próbę ograniczenia epidemii, co w tym złego?

– To, że nas o tym nie informuje. Zapomniałeś o takim drobiazgu? I uważasz, że to jest w porządku, Charlie?

– Nie, wcale tak nie uważam, bo to nie jest w porządku. Po prostu mam w tej chwili ważniejsze sprawy, którymi muszę się natychmiast zająć.

– Hess nie pierwszy raz tak działa – stwierdziła O'Dell. Postawiła torbę i opadła na siedzenie przy pustej bramce.

– Wydaje się, że Ben mu ufa.

– Ben jest w niego ślepo zapatrzony – odparła cierpko. – To jego mentor. Ostatnim razem, kiedy Hess wziął sprawy w swoje ręce, omal nie straciłam przez niego życia, więc wybacz, jeśli mu nie ufam.

– Teraz ty o czymś zapominasz, Maggie. Hess jest po naszej stronie. On też chce, żebyśmy złapali doktor Shaw i powstrzymali jej działania.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, Charlie, bo ci obserwatorzy, którzy, jak twierdzi Christina Lomax, chodzą za nią po Nowym Jorku, bardzo mi przypominają Lawrence'a Tabora i innych sługusów Hessa, których pułkownik ma zwyczaj wysyłać na różne misje.

Wurth westchnął głęboko, co Maggie usłyszała, dopiero potem powiedział:

– Pozwól, że znajdę jakieś połączenie dla ciebie i pani Rief. Spotkam się z wami w Nowym Jorku. Zobaczę, czy uda mi się załatwić kogoś z CDC, kto zaopiekuje się Lomax.

– Ben z tobą nie przyleci?

– Pewnie wolałby być ze mną, ale pracuje z tym twoim przyjacielem od psów.

Przy takim natłoku różnorodnych emocji O'Dell nie była pewna, co czuje w związku z tym,

że Benjamin Platt i Ryder Creed – dwaj mężczyźni, którzy w równym stopniu namieszali w jej głowie i w sercu – spędzają razem czas.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

### *Florida Panhandle*

Creed zostawił Platta i doktor Avelyn, żeby dopracowali szczegóły.

Zobaczył, że Penelope Clemence przyjechała wcześniej, niż zapowiadała. Właśnie zaparkowała przed psiarnią i rozmawiała z Jasonem.

Creed i Jason przez jakąś godzinę szykowali specjalne miejsce dla nowych psów. Platt nie mógł zagwarantować, że wirus nie będzie stanowić ryzyka dla zwierząt, co wyszło na jaw podczas rozmowy, dlatego Creed musiał znaleźć sposób, by przez cały okres szkolenia trzymać te psy z dala od pozostałych.

W pomieszczeniu na tyłach razem z Jasonem dla każdego nowego psa przyszykowali osobne klatki, które miały je chronić, a także przypominać schronisko, do którego przywykły. Miał nadzieję, że dzięki temu zredukuje u zwierząt stres związany z przenosinami.

Penelope uśmiechała się do Creeda, kiedy podszedł do jej samochodu, a on od razu spojrzał na klatki umieszczone z tyłu dzipa wranglera.

– Przyjaciółka przywiezie pozostałe – oznajmiła. – Zmieściłam tylko trzy. Ona przywiezie jeszcze cztery swoim vanem.

Creed skinął głową. Rozmowa z Platem go zdenerwowała. Powtarzał sobie, że w ciągu siedmiu lat życia z psami dzień i noc nigdy nie słyszał, by jakikolwiek pies zachorował na ptasią grypę. Ale wirus dotarł do Stanów dopiero w dwa tysiące trzynastym roku. Jeśli pojawiły się przypadki chorych psów, to stało się to w Chinach lub innych częściach Azji. Zastanawiał się, czy Chińczycy przejęliby się tym wystarczająco mocno, by podać do ogólnej wiadomości.

– Robisz dobry uczynek – powiedziała Penelope, zauważając jego powściągliwość.

– Mam nadzieję. – Wolałby, żeby w jego głosie nie było powątpiewania.

– Właśnie uratowałeś życie siedmiu psom. W zasadzie więcej niż siedmiu. – Znów się uśmiechnęła. Mówiła z południowym śpiewnym akcentem. – Tak się cieszyłam, mówiąc ludziom z Alpaloose, że będą mogli zmienić status schroniska, które przestanie być umieralnią. Strasznie jestem ciekawa, Ryder, jak ci się to udało.

– Muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę, Penelope.

– Mów, kochanie. – Puściła oko do Jasona.

– Przydałby mi się dodatkowy trener. Mamy tylko trzy dni, żeby wyszkolić te psy i przygotować je do pracy. To będą trzy ciężkie dni, zaczynamy jutro wczesnym rankiem.

– Cóż, oczywiście, mogę popytać, czy są jacyś wolni treserzy.

– Prawdę mówiąc, myślałem o tobie.

– Ryder... – Jej uśmiech zgasł, zastąpiło go zdziwienie. – Przecież nie mam żadnego doświadczenia.

– Nie szkodzi, każdego z was poprowadzę krok po kroku. Bardzo by nam pomogło, gdyby każdy pies miał swojego opiekuna, nie tylko jako trenera, ale jako wsparcie moralne, żeby dodać mu pewności siebie. – Kiedy zobaczył, że Penelope wciąż się waha, dodał: – Nie znam nikogo innego, kto bardziej troszczy się o psy i potrafi nawiązać kontakt nawet z najtrudniejszymi i najbardziej upartymi. Jeśli masz inne plany, oczywiście zrozumieć.

– Czyli musiałabym pracować również z tym kolesiem? – Znow się uśmiechnęła, wskazując kciukiem na Jasona.

– Niestety jest ten drobny minus – odparł Creed. Zauważył, że chłopak wyglądał, jakby cieszyła go ta uwaga i żarty. – Jason ma już pewne doświadczenie w tej dziedzinie.

– Naprawdę? – spytał Jason, obchodząc samochód ze smyczami w ręce.

– Szkolenie psów do wykrywania *Clostridium difficile* wygląda podobnie jak to, co teraz nas czeka.

– Okej, zgadzam się – powiedziała Penelope. – Zrobię, co w mojej mocy. – Ruszyła na tył dżipa. – Pozwólcie, że wam przedstawię nowych rekrutów.

Pierwszy był kremowy labrador, jasnooki i podekscytowany, ale również ostrożny.

– To jest Winifred – mówiła Penelope. – Podobno jest uzależniona od chleba.

– Zwyczajnego chleba? – spytał Jason.

– Tak. Dla kromki chleba robi prawie wszystko.

– Zwykle nie nagradzam psów jedzeniem, ale myślę, że moglibyśmy tak postępować w przypadku psów wykrywających choroby. W innych okolicznościach, zwłaszcza podczas poszukiwania zwłok, nie możemy pozwolić, żeby pies zjadł coś, co może stanowić dowód w sprawie.

– No cóż, dzięki za miły obrazek. To obrzydliwe.

– Wybacz, ale taka jest rzeczywistość. Kochamy psy, a one kochają to, co śmierdzi.

Creed przykucnął, żeby pogłaskać Winifred, pozwolił jej najpierw powąchać swoją



rękę, zanim jej dotknął. Z zadowoleniem stwierdził, że pies go obwąchał, to dobry znak.

Jason pomógł wynieść z samochodu drugiego psa, czarno-białego cocker spaniela.

– To Tillie – powiedziała Penelope, wzięła od Jasona smycz i przypięła ją psu, który ani drgnął, nie zareagował na to, że ktoś zakłada mu coś na szyję.

– Jest bardzo ładna – stwierdził Creed, wyciągając do niej rękę, ale Tillie wolała obwąchiwać Jasona.

– Ostatni, którego przywiozłam, nazywa się Dooley.

– Jak Tom Dooley? – Zajrzał do ostatniej klatki, by spojrzeć na psa, który nazywał się tak samo jak dziewiętnastowieczny morderca i bohater słynnej ballady.

– Jest trochę nieśmiały, musi się oswoić – uprzedziła Penelope.

To nie była dobra cecha. Creed otworzył klatkę i pozwolił psu do siebie podejść. Dooley miał niebiesko-białe umaszczenie charakterystyczne dla australijskiego psa pasterskiego, brązowe lewe oko i lewe ucho. Jedno ucho stało, drugie było klapnięte. Z powodu tej asymetryczności Creed pomyślał, że pies wygląda, jakby przekrzywił łeb na jedną stronę. Ale potem Dooley zaczął machać ogonem. Uderzał nim o tył klatki.

Psy pasterskie czasem trudniej jest szkolić, ponieważ instynktownie pilnują stada, nie tylko bydła, także innych psów. Creed uratował kiedyś sukę rasy border collie, potrąconą i porzuconą na poboczu autostrady 98. Kiedy doktor Avelyn naprawiła złamaną miednicę, Hanna pielęgnowała sukę i nazwała ją Lady. Suka była bystra, ale najbardziej interesowało ją pilnowanie innych psów, a nawet ludzi. Lady nie nadawała się na psa poszukującego, za to została wspianą towarzyszką Hanny i jej dwóch synów.

Creed miał nadzieję, że Dooley go nie zawiedzie.

Podniósł wzrok na Penelope.

– To już coś na początek. Świetnie się spisałaś. – Potem zwrócił się do Jasona: – Zabierz je i nakarm.

Jason wziął trzy smycze i ruszył pewnym krokiem. Kiedy dotarł do tylnego wejścia psiarni, wszystkie trzy psy już uznały go za przewodnika.

– Przebył długą drogę – zauważyła Penelope, kiedy Jason znalazł się poza zasięgiem jej głosu.

– To prawda.

– Mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Czemu do tego zadania nie wykorzystujesz żadnego ze swoich psów? Przy tak krótkim terminie chyba łatwiej pracować z psami, które mają już doświadczenie, niż zaczynać od zera.

– Podpisałem umowę z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego, że każdego roku wyszkolę dla nich pewną liczbę psów. Te trzy i cztery, które przywiezie twoja koleżanka, rozpoczną ten program.

– W ten sposób zapłacisz za to, że Alpaloose zostanie przekształcone w schronisko, gdzie psy mogą mieszkać do końca życia? Rząd za to płaci?

Spojrzał jej w oczy, starając się ocenić, czy to pochwałała, czy też poczuła się urażona. W końcu skinęła głową z uśmiechem.

– Jest jeszcze inny powód – przyznał Creed. Uznał, że powinna to wiedzieć. – Nie są w stanie zapewnić, że psy nie zarażą się wirusem.

Uśmiech Penelope zgasł. Przeniósł spojrzenie na psiarnię, a Creed dojrzał w jej oczach błysk emocji. Skrzyżowała ramiona na piersi, a potem po prostu znów kiwnęła głową.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DRUGI

*Na obrzeżach Atlanty, Georgia*

Stephen Bishop został w biurze, gdy ekipa sprzątająca wyłączyła już większość światel w budynku, oczywiście poza miejscami, gdzie nie wolno im było wchodzić. Wtedy Bishop czuł się tam najswobodniej. Sam, bez nikogo, kto mógłby podważyć jego decyzje. Nikogo, kto mógłby zadawać głupie pytania.

Choć miał w lesie mały dom, gdzie łatwo mógł znaleźć samotność, wolał ten gabinet, dość duży, by służył mu za tymczasowe mieszkanie. Sofa okazała się całkiem wygodnym miejscem do spania. Ktoś wspomniał, że gabinet należał kiedyś do naukowca, który przez większość czasu urzędowania poruszał się na wózku inwalidzkim, więc obok znajdowała się prywatna łazienka z prysznicem dla niepełnosprawnych. Bishop dodał tam kuchenkę mikrofalową i małą lodówkę. Na szczęście wielu naukowców było introwertykami albo wręcz domagało się prywatności, więc nawet gdyby ktoś zaczął podejrzewać, że Bishop spędza tam wiele nocy, nie uznaliby tego za jakąś nadzwyczajną okoliczność.

Tego wieczoru zmęczenie dało mu się we znaki. Plan, nad którym tak długo pracowano, ostatecznie został wprowadzony w życie. To był milowy krok, historyczne wydarzenie, które powinno się uczcić. Tymczasem Bishop czuł niepokój i stres.

Poza tym, że nie mógł ufać swoim pracownikom, a jego życie zostało wywrócone do góry nogami, był jeszcze pułkownik Hess, prawdziwa kula u nogi. Hess zgodził się uczestniczyć w tym programie tylko z dwóch powodów: po pierwsze, odezwał się jego instynkt samozachowawczy, po drugie, zawsze obsesyjnie dążył do wyeliminowania wroga. Bishop doskonale rozumiał i jedno, i drugie, a nawet doceniał. Pułkownik Hess miał za sobą godną szacunku karierę.

Pod jego kierownictwem DARPA rozwinęła rewolucyjne i przełomowe technologie. Udział dronów we współczesnych działaniach wojennych wydawał się mniej ważny w porównaniu z bronią biologiczną, nad którą pracowano w laboratoriach Hessa w całym kraju bez wiedzy społeczeństwa amerykańskiego i prawie całej klasy politycznej. Ale gdyby wirus ptasiej grypy został z powodzeniem wykorzystany jako broń biologiczna, to dokonanie przyćmiłoby wszystkie inne, a dla Bishopa byłoby wspaniałą nagrodą i ukoronowaniem wielu lat pracy.

Odezwał się telefon komórkowy.

– Co znowu?

– Co, do diabła, stało się z tymi ptakami?

Bishop się skrzywił. Nie ma to jak od razu przejść do sedna. Hess był bardzo inteligentny, za to kompletnie pozbawiony dobrych manier.

– To nie ja. Dałem doktor Robins dokładne instrukcje, ale spieprzyła sprawę. – Bishop chciał przypomnieć Hessowi, że to on wybrał doktor Robins i doktora Getza, ale teraz to nie miało znaczenia. – Zmieniłem formułę. Kolejne stado będzie gotowe za kilka dni.

– Twój dziad zrobił zdumiewające rzeczy z komarami – powiedział Hess z nagłą nostalgią.

Jednak Bishop wolał zmienić temat i spytał:

– Jakie są liczby chorych w Chicago i Nowym Jorku?

– Według moich źródeł w CDC dwieście sześćdziesiąt siedem osób w Chicago. W Nowym Jorku tylko siedemdziesiąt pięć.

– Przypadki śmiertelne?

– Zaledwie pięć. – Hess nie krył rozczarowania. – Ale może być o wiele więcej osób, które po prostu nie zgłosiły się do szpitala. Albo – urwał na moment – może to znaczyć, że nasza służba zdrowia jest dużo lepiej przygotowana, niż nam się wydawało. To akurat dobre wieści.

– Ale złe wieści, jeśli chodzi o zabicie armii ISIS.

– Tak – przyznał Hess. – Wniosek więc taki, że korzystanie tylko z ludzi jako nosicieli wirusa to nieskuteczny pomysł. Jakie są szanse na wykorzystanie ptaków?

– Wierzę, że jestem blisko.

– Nie wiem, ile testów możesz przeprowadzić, zanim ludzie zaczną coś podejrzewać – skomentował Hess. – Zbyt wiele jezior pełnych ptaków, które spadły z nieba...

– Amerykanie przywykli do takich błędów – odparł Bishop. Już o tym rozmawiali. – Pamiętają żywe zarodniki laseczki wąglika przypadkiem wysłane pocztą. Bydło z uniwersyteckich ośrodków badawczych przypadkiem zabrane do przemysłowej rzeźni. Zepsute zamrażarki z wirusem ospy wietrznej. – To tylko kilka przykładów, które Bishop mógł rzucić Hessowi. Było o wiele więcej podobnych incydentów, niektóre zaszokowały i przeraziły nawet naukowców, którzy brali w nich udział.

Dla odmiany tym razem Hess milczał.

W końcu spytał:

- Drugi etap przebieganie zgodnie z harmonogramem?
- Tak – odparł Bishop i zakończył rozmowę.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

*Nowy Jork*

Christina wyjęła z torebki drugi telefon na kartę, by znów na niego spojrzeć. Przez parę ostatnich godzin robiła to kompulsywnie niemal co dziesięć minut. Musiała go sprawdzić, upewnić się, że jest włączony, że bateria nie padła, że ma zasięg, że przypadkiem nie zignorowała jakiegoś połączenia. Ale za każdym razem wszystko było w porządku.

Przekazała Rief wszystkie informacje i niezbędne szczegóły dotyczące miejsca i czasu spotkania. Prosiła też, żeby nie próbowała się z nią kontaktować, mimo to czuła się zawiedziona, gdy się nie odezwała.

Może potrzebowała potwierdzenia, że Rief nie wzięła jej za wariatkę, być może zapewnienia, że nie skontaktowała się z urzędnikami federalnymi, którzy mogliby ją śledzić, namierzając komórkę. Już sama ta myśl powinna skłonić Christinę do wyłączenia telefonu, jednak nie potrafiła się do tego zmusić. Jakby to było jedyne koło ratunkowe, które jej pozostało.

A skoro mowa o śledzeniu, rana, którą sama sobie zadała, prawie w ogóle nie bolała, niezależnie od tego, jak bardzo musiała grzebać ostrzem w swoim ciele, żeby wydobyć mikroczip z ramienia. Fascynowała ją ta maleńka szklana kapsułka. Kiedy ją umyła, zobaczyła zwoje drucików. Na razie ją zatrzymała, schowała ją w zamykanej na zamek kieszeni w torebce. Nie chciała, by obserwatorzy wpadli w panikę, że zniknęła z radarów.

Żołnierz, który śledził Christinę, zaczął opuszczać ją na coraz dłuższe chwile. Przecież dzięki technologii GPS, z której najpewniej korzystał mikroczip, w każdej chwili łatwo mógł ją odnaleźć.

Teraz, gdy robiło się późno, Christina zdała sobie sprawę, że chyba będzie musiała wrócić do hotelu, by pomyśleli, że spędzi noc bezpiecznie. Zresztą jeżeli o dziewiątej wieczorem chciała znów wyjść na miasto, powinna odpocząć.

Najbardziej niepokoiła się tym, że nie miała pojęcia, jak długo jeszcze wytrzyma jej organizm. Gorączka ją spalała, czoło miała mokre od potu, przepocone warstwy ubrań przyklejały się do skóry. Oddychała z trudem, ból mięśni utrudniał poruszanie się. Głównie siedziała na ławkach i w kawiarniach, wstawała tylko wtedy, gdy ataki kaszlu przyciągały zbyt wiele uwagi.

Powinnasie położyć choć na parę godzin. Ale co robi, jeżeli później nie będzie w

stanie się podnieść?

Christina obawiała się, że do Rief nie w pełni to dotarło. Tylko jak przekazać obcej osobie, że się umiera, że jest się zbyt chorym, żeby sobie pomóc?

Z ociąganiem powlokła się z powrotem do hotelu. Powinna już znać drogę na pamięć, ale gorączka płatała figle umysłowi i oczom. Co gorsza, w ciągu ostatniej godziny niebo pociemniało od burzowych chmur. Przekonanie Christiny, że jest taką twardzielką, która wszystko wytrzyma, zachwiało się w chwili, gdy spadły pierwsze krople deszczu.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

### *Florida Panhandle*

Jason nie zaglądał do pudełka od tamtego wieczoru, gdy przywiózł je od mamy Tony'ego. Creed chciał, żeby wszyscy porządnie się wyspali. Mieli wstać wcześniej wypoczęci, pełni energii i gotowi pracować wiele godzin przez kolejne trzy dni. Ale Jason nie mógł spać. Z jakiegoś powodu musiał zobaczyć, co zostawił mu Tony, i to właśnie teraz, tej nocy.

Niósł pudełko ostrożnie, jakby znajdowały się w nim szklane bombki. Nie potrafił odgadnąć, co przyjaciel chciał mu przekazać.

Nie potrafił odgadnąć? A może bał się tego dowiedzieć?

Znając Tony'ego, pudełko mogło być jego ostatnim pożegnalnym żartem. Jason miał nadzieję, że to właśnie jest odpowiedź.

Scout szedł za nim. Odkąd pudełko się pojawiło, zwierzak zwracał na nie więcej uwagi niż Jason. Na szczęście nie patrzył już na drzwi z oczekiwaniem, że stanie w nich Tony i będzie się z nim bawił.

Jason postawił pudełko obok kanapy i zaprosił Scouta, by na nią wskoczył. Gdyby w pudełku znajdowało się coś dziwnego czy niedozwolonego, nie chciał, by Scout wziął to do pyska.

Gdy zdjął pokrywę, na widok przedmiotu, który leżał na samym wierzchu, wstrzymał oddech.

Skóra była zniszczona, elastyczny pasek powstrzymywał luźne kartki przed wypadnięciem z notesu. Okładkę pokrywały tłuste ślady palców i plamy od rozlanego piwa, a w rogu widniała ruda plama. Jason wiedział, że to krew. Wiedział, bo tam był, kiedy to się stało.

Musieli tam zostać po zmroku. Przez cały dzień oddział Tony'ego i Jasona ścigał talibów. Naparli na nich tak mocno, że talibowie musieli ukryć się na wzgórzach, by tam poczekać na zapadnięcie nocy. Dopiero w ciemnościach mogli próbować zejść na dół. Czasami takie pogonie, ucieczki i ukrywanie się wyglądały po prostu idiotyczne. Nieraz śmiali się z tego, bo gdyby poważnie traktowali prawdziwe ryzyko, nie przeżyliby jednego dnia.

Tony miał przy sobie ten notes, w którym wciąż coś zapisywał, notował ulotne myśli.



Właśnie coś bazgrał, kiedy rozległy się strzały. Dranie w ciemnościach odzyskali odwagę, przekonani, że znają teren lepiej niż amerykańscy żołnierze. I mieli rację.

Krew w rogu notesu była krwią ich kolegi, sierżanta Timothy'ego Garcii. Dostał kulkę w głowę. Pewnie nie była to sama krew, ale również tkanka mózgowa i kostna.

Jason wyciągnął rękę i zatrzymał ją centymetry od notesu, kiedy coś sobie uprzytomnił.

Tony nigdy nie zostawiłby tego notesu. Wszędzie go ze sobą zabierał. Niemożliwe, żeby pojechał bez niego do Chicago... chyba że wiedział, iż stamtąd nie wróci.

Z notesu wystawał jakiś świstek. Zaciekawiony Jason delikatnie pociągnął, ale zaraz cofnął rękę. A jeśli ten świstek służył za zakładkę i wskazywał jakąś szczególną stronę?

Jason zdjął elastyczną taśmę i otworzył notes. Wystający papier wyglądał jak kwit depozytowy, ale kiedy Jason spojrział na stronę, jego puls przyśpieszył, zlał się zimnym potem. Znajome bazgroły Tony'ego zaczynały się od:

*Drogi Jasonie...*

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

*Nowy Jork*

Amee Rief i Charlie Wurth czekali na O'Dell na lotnisku JFK.

– Przed terminalem mam samochód – rzekł Wurth zamiast powitania i chwycił torbę na kółkach. Na ramieniu miał przewieszony worek marynarski, w drugiej ręce trzymał uchwyt drugiej torby na kółkach, zapewne Rief. Ruszył naprzód pierwszy.

– Miło cię widzieć, Charlie – powiedziała Maggie do jego pleców, na co tylko machnęła ręką, nawet nie zwalniając. Potem spytała Rief: – Wszystko w porządku? Jak się pani czuje?

– Okej, miałam bilet w pierwszej klasie.

– Pozazdrościć. Ja siedziałam od strony przejścia w ostatnim rzędzie obok toalety.

– Mało zabawne. Cieszę, że pani tu jest.

Czarny escalade miał dwa rzędy skórzanych foteli. Wurth dopilnował, żeby Rief i O'Dell usadowiły się wygodnie z tyłu, po czym zajął miejsce z przodu, gdzie mógł dawać kierowcy wskazówki. Z ich rozmowy jasno wynikało, że kierowca już wcześniej pracował dla Wurtha.

Odwracając się do tyłu, Wurth poinformował, że Roger Bix z CDC jest w drodze ze swoimi ludźmi.

– Bix chce, żebyście włożyły maski chirurgiczne i gumowe rękawiczki.

– Poważnie? – spytała O'Dell. – W maskach na ulicach Nowego Jorku będziemy wyglądać podejrzanie.

– Chodziłaś ostatnio po Nowym Jorku? Będziecie tu świetnie pasować. Poza tym to musi się odbyć migiem. W miejscu, które wybrała, trudno będzie ją przechwycić, a to właśnie chcemy zrobić.

– Chwileczkę – wtrąciła Rief. – Przechwycić? Nie na to się pisałam. Ta kobieta była przerażona.

– Jeśli jest chora na ptasią grypę, to znaczy, że jest bardzo chora – odparł Wurth. – I bardzo łatwo się od niej zarazić. Nie powiedziała pani, że kazano jej chodzić po mieście, żeby zarazić jak najwięcej osób?

– To prawda, ale nie sądzę...

– To, że umówiła się z panią w miejscu, gdzie będą tłumy ludzi, mówi mi, że albo nie

zdaje sobie sprawy, jak wyniszczający jest ten wirus, albo dba tylko o siebie.

– Włącza się instynkt samozachowawczy – wtrąciła O'Dell. – Wiesz o tym, Charlie. Nie możesz jej winić, że chce się uratować. Ona chyba do końca nie wie, na co się zdecydowała. Gdyby wiedziała, raczej by za nią nie wysyłali obserwatorów. Uważam, że Amee ma rację. Ta kobieta jest przerażona i pewnie już czuje się fatalnie. Jeśli pojawi się ekipa Rogera z kombinezonami ochronnymi i spróbuje ją przechwycić z ulicy, ona może uciec. Postanowiła zaufać Amee. Myślę, że moja obecność jej nie przestraszy. Czemu nie możemy z Amee doprowadzić jej do samochodu CDC?

– A co z obserwatorami? Myślisz, że pozwolą wam ją „odprowadzić”? Czy nie mówiłaś, że opisała jednego z nich jako żołnierza?

– A ty nie możesz nam załatwić jakichś żołnierzy, Charlie? – spytała O'Dell. – Nie przyszło ci do głowy, że będziemy potrzebowały ochrony? Jakiejś pomocy na wypadek, gdyby ci obserwatorzy próbowali nas powstrzymać przed zabraniem tej kobiety?

– Myślałem o tym, ale jej pendrive straci dla nas wartość, jeśli będą wiedzieli, że ją zabraliśmy. Wtedy mogą przyśpieszyć swoje działania. Ona musi z nami pójść, ale w taki sposób, żeby obserwatorzy tego nie zauważyli.

– Jesteś pewien, że ci się to uda?

Posłał jej szeroki uśmiech i odparł:

– Naprawdę musisz zacząć mi ufać, Maggie.

O'Dell i Wurth już razem pracowali. Poszukiwali mózgu ataku terrorystycznego w Mall of America. Kilka lat wcześniej Straż Przybrzeżna znalazła u wybrzeży Pensacola Beach chłodziarkę z częściami ciała, a O'Dell i Wurth pojechali tam prowadzić śledztwo pomimo huraganu szalejącego nad zatoką. O'Dell chciała przypomnieć Wurthowi, że wówczas, kiedy mu zaufała, bomby zaczęły eksplodować. I że ją zostawił, gdy utknęła na drodze huraganu. Kilka razy okazała mu bezgraniczne zaufanie, ale teraz nawet zastępca dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego nie będzie w stanie ich ochronić, jeśli zarażą się wirusem.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

Christina zasnęła. Po raz pierwszy od tygodni spała i śniła, zamiast rzucać się na łożku.

Śniła, że leżała na plaży na luksusowym wygodnym leżaku. Słońce było ciepłe i kojące. Na wyciągnięcie ręki miała stolik z chłodzonymi napojami w szklankach z maleńkimi parasolkami i plasterkami owoców na brzegach. Słyszała fale, cudowny łagodny szum fal wyłumiający piski i krzyki mew.

Kiedy sięgnęła po szklankę, wysliznęła jej się z ręki i nagle wszędzie było szkło, a odłamek szkła wbił się w jej dłoń. Chwyciła go i wyciągnęła, ale teraz widziała dziesiątki maleńkich szklanych kapsułek zatopionych głęboko w swojej ręce. Jak szalona zaczęła je wygrzebywać, posługując się jednym z odłamków, żeby dostać się głębiej. Nawet nie zauważyła krwi, dopóki nie było jej dosłownie wszędzie, krew kapała z rąk i nóg na piasek.

Potem słońce zamieniło się w lampę grzewczą, która świeciła prosto na nią. Tak gorącą, że Christina płonęła. Otarła czoło grzbietem dłoni, a kiedy opuściła rękę zobaczyła, że jej pot jest krwawy.

Kiedy wreszcie się obudziła, na widok hotelowego pokoju poczuła wielką ulgę. Nie przejęła się nawet, że wszystkie mięśnie są niczym zardzewiała zbroja. Spojrzała na ręce i wzięła głęboki oddech, natychmiast przerwany atakiem kaszlu.

Jej pościel znów była mokra od potu, lecz nie nosiła śladów krwi. Nie, właściwie to nieprawda. Poduszki były poplamione krwawą flegmą, którą Christina odkasliwała. Ale żadnej innej krwi tam nie było i przynajmniej na razie uznała to za swoje małe zwycięstwo.

Zauważyła, że za oknem pociemniało i natychmiast sprawdziła, która godzina.

Zbliżała się dziewiąta wieczór!

Miała tam być, kiedy ludzie wychodzą z teatrów. Nie może się spóźnić, musi się pośpieszyć. Ale ruch każdy sprawiał jej ból. Słyszała niepokojące posapywanie, aż zdała sobie sprawę, że to ona. Kiedy oddychanie zaczęło jej sprawiać taką trudność?

Jakoś dotarła do łazienki i oceniła szkody. Miała zapadnięte policzki i podkrążone oczy. Była tak blada, jakby życie już z niej uleciało. Puściła ciepłą wodę, nabrała w dłoń i ochlapała twarz, po czym powtórzyła to kilka razy. Pomyślała, żeby wziąć prysznic, ale natychmiast z tego zrezygnowała. Miała za mało czasu, ale przede wszystkim nawet sobie nie wyobrażała, ile bólu sprawiłaby cierpiącemu ciału uderzająca w nie woda.

Zrobiła wszystko, by wyglądać możliwie najlepiej, włożyła czyste ubrania. Wszystkie niezbędne rzeczy schowała do zamykanej na zamek błyskawiczny dużej torby, a nawet po raz ostatni przejrzała swoją walizkę i zabrała z niej to, z czym nie potrafiła się rozstać. Jeśli Rief się nie pokaże, Christina chciała przynajmniej zostawić sobie jakiś wybór, mieć szansę pójść gdzie indziej.

Sprawdziła już kilka innych hoteli. Miała dość gotówki, by wynająć pokój na tydzień, może dwa. Jeśli zdoła na krótko zgubić obserwatora, może pojechać pociągiem czy autobusem albo nawet polecieć samolotem. Zrobi tak, kiedy pojawią się jakieś trudności. Tylko gdzie mogłaby się wybrać? Powrót do domu w Karolinie Północnej był wyluczony, bo tam by ją znaleźli.

Samo myślenie o tym było męczące. Choć przyznawała to niechętnie, pokój w Grand Hyatt stał się jej oazą spokoju. Może to wcale nie takie złe miejsce na śmierć.

Przestań! – zganiła się w myślach. Nie jesteś aż tak chora, by umrzeć.

Nie wolno jej nawet dopuszczać podobnej myśli.

Wypiła resztę syropu i połknęła cztery tabletki tylenolu. Zmusiła się do zjedzenia batonu proteinowego, choć nawet żucie stawało się bolesne. Wypiła butelkę wody i zakrztusiła się ostatnimi łykami.

Potem skończyła pakować torbę i upewniła się, że szklana kapsułka – mikroczip, który pomagał ją śledzić – znajduje się nadal w zamkniętej na suwak kieszeni i że ma go pod ręką.

Po wyjściu z hotelu, gdy znalazła się na ulicy, Christina przeszła kilka przecznic piechotą, rozglądając się za obserwatorami. Nie przywykli do jej wyjść o tak późnej porze, więc może trochę dłużej potrwa, nim za nią wyruszą. To byłoby idealnie.

Rozpięła kieszeń, ostrożnie wyjęła szklaną kapsułkę i położyła ją na dłoni. Zatrzymała taksówkę. Wsiadła na tylne siedzenie, ale nie zamknęła drzwi. Gawędząc z taksówkarzem, upuściła kapsułkę na podłogę między przednimi i tylnymi siedzeniami.

– Wie pan co – powiedziała do kierowcy – wygląda na to, że przestaje padać. Jednak się przejdę. – Podała mu dwudziestodolarowy banknot, żeby nie marudził.

Zastanawiała się, jak szybko obserwatorzy zorientują się, że ich oszukała. Ile czasu potrzebują, żeby ponownie ją znaleźć? Musiała wierzyć, że kupiła sobie co najmniej godzinę, może dwie.

Skreśliła za róg, przeszła dwie przecznice, a potem zatrzymała kolejną taksówkę. Tym

razem podała kierowcy adres. Usiadła z tyłu i modliła się, żeby ruch samochodu i zapach spalin nie wywołały w niej paniki, która już roiła się gdzieś z tyłu głowy i na dnie żołądka.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

Kiedy telefon zaczął dzwonić, Christina się przestraszyła. Ścisnęła klamkę drzwi taksówki, modląc się w duchu, żeby nie zwymiotować. Spojrzała na taksówkarza, ale nie zwracał na nią uwagi.

Sięgnęła do torby i wyjęła telefon. Zupełnie o nim zapomniała, do tego stopnia, że go nie wyłączyła. Teraz trzymała go jak żywy granat.

A jeśli to jej obserwator? Jeżeli już odkrył, że wyrzuciła mikrozipa? Czy mogli ją odnaleźć za pomocą telefonu?

Nie, to był znajomy numer. Ten, którego nauczyła się na pamięć. Mimo wszystko odebrała z wahaniem.

– Słucham?

– Christino, mówi Ameer Rief. Przepraszam, wiem, prosiła pani, żeby nie dzwonić, ale chciałam pani powiedzieć, że już tu jestem.

– Jestem w drodze. – Omal nie krzyknęła z ulgi.

– Przyjechała ze mną koleżanka – podjęła Rief. – Maggie O'Dell. Stała obok mnie podczas rozmowy dla telewizji. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciw. Nie znam zbyt dobrze Nowego Jorku.

– Mam to ze sobą – oznajmiła Christina.

Omala nie zapomniała powodu, dla którego się spotykały. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny myślała wyłącznie o tym, żeby zgubić obserwatorów i żeby starczyło jej siły, by się ukryć. Teraz uprzytomniła sobie, że to nie wystarczy.

– Jest coś jeszcze – powiedziała i sama się zdziwiła, że głos jej się załamał.

Nie знаła tej kobiety, a jednak pamiętała jej ciepłe oczy, które widziała na ekranie telewizora, kiedy mówiła o tych biednych padłych ptakach. Jej głos brzmiał szczerze i współczująco.

– O co chodzi? – spytała Rief, bo Christina zbyt długo milczała.

– Kiedy dam pani ten przedmiot... – Nie była pewna, jak to powiedzieć. – Jestem taka chora... – szepnęła, choć taksówkarz nadal jakby w ogóle jej nie zauważał. – Kiedy dam pani dysk USB, może mnie pani ze sobą zabrać?

Po pełnej wahania chwili ciszy, zanim Christina pożałowała swoich słów, Rief odparła:

– Oczywiście. Taki właśnie mamy zamiar, Christino. Ale proszę mnie uważnie

posłuchać. Musi pani zrobić dokładnie to, co powiem. I Christino...

– Tak?

– Musi mi pani zaufać.



## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

O'Dell już zaczęła kwestionować plan Wurtha. Ulice były zatłkane, zderzak przy zderzaku, a między nieskończonymi sznurami samochodów z teatrów wylewały się tłumy ludzi.

Wurth nie oglądał się na nią, tylko siedział sztywno na miejscu pasażera białego wana prowadzonego przez jednego z jego ludzi. Kierowca naprawdę wyglądał jak elektryk z firmy instalatorskiej, której logo zdobiło samochód.

Rief i O'Dell siedziały z tyłu, gdzie nie było okien, twarzą do przesuwanych drzwi. Czują się trochę klaustrofobicznie, zważywszy na szpule kabli i pozostały sprzęt. To Wurth zorganizował wypożyczenie samochodu, który faktycznie należał do jakiejś firmy. Zamiast być pod wrażeniem, O'Dell chciała go zapytać, jak jego zdaniem zdołają szybko uciec, skoro utknęli w korku, który posuwał się naprzód centymetr po centymetrze.

Wszyscy mieli na sobie białe ochronne kombinezony i lateksowe rękawiczki, a na szyi maski chirurgiczne, które natychmiast można było założyć. Zorganizowali tę operację w pośpiechu, lecz mając już do dyspozycji całkiem poważne środki, wiedzieli, że muszą dać radę. O'Dell bywała w trudniejszych sytuacjach.

– Ona musi nas znaleźć – rzekł Wurth przez ramię do Rief. – Proszę do niej zadzwonić. Pora powiedzieć jej, jak wygląda nasz samochód.

Rief wybrała numer Christiny.

– Proszę spytać, czy widzi swojego obserwatora – dodał Wurth.

– Christino, zorientowała się pani, czy ktoś panią śledzi?

Rief słuchała, potem pokręciła głową i spytała, jak jest ubrana. Po paru sekundach oznajmiła:

– Szara bluza z kapturem z napisem „Nowy Jork” na plecach, niebieskie džinsy i czarna czapka bejsbolówka.

– Świetnie. – Wurth przeklął pod nosem. – To zawęźa poszukiwania do jakichś trzydziestu osób.

– Chwileczkę – rzekła Rief. – Ona nas widzi. Jest przed nami, pod billboardem „Wicked”.

O'Dell się uśmiechnęła. Jakoś jej to pasowało, że kobieta, która jest nosicielem śmiertelnego wirusa, śledzona przez potencjalnego mordercę stoi pod reklamą musicalu o

złej czarownicy. Chociaż kiedy spojrzała na tłum pod billboardem, trudno było wskazać Christinę.

– Och nie – nerwowo rzuciła do słuchawki Rief. – Jest pani pewna? – Potem zwróciła się do Wurtha. – Ona widzi obserwatora.

– Gdzie? I czy on ją widzi?

– Jest po drugiej stronie ulicy.

– Jak wygląda? – spytała O'Dell i zaczęła lustrować tłum po tamtej stronie. Widok miała ograniczony, pochyliła się naprzód i patrzyła przez przednią szybę. Zobaczyła, że Wurth wciąż stara się dojrzeć Christinę.

– Ma na sobie wojskową połową kurtkę – Rief powtarzała słowa Christiny. – Krótko ostrzyżone włosy, atletycznej budowy. Ona nie sądzi, by ją widział. Mówi, że patrzy na ludzi po swojej stronie ulicy.

– Tam! – wskazała O'Dell.

Mężczyzna uniósł głowę, usiłując coś dojrzeć ponad tłumem. Stał dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie była Christina.

– Proszę jej powiedzieć, że kiedy znajdziemy się przed billboardem, musi podejść do krawężnika – instruował Wurth. – Powoli.

Rief przekazała polecenie.

– On zaczął patrzeć na drugą stronę – ostrzegła O'Dell. – Chyba się zastanawia, czy nie przejść przez jezdnię.

– Cholera – mruknął Wurth i powiedział do kierowcy: – Nie może pan przyśpieszyć?

– Zwróciłbym na nas uwagę.

– Przechodzi na drugą stronę – oznajmiła O'Dell.

– Ona musi podejść do furgonetki. Teraz! Maski na twarz!

O'Dell włożyła maskę, nie spuszczając mężczyzny z oczu. Próbował się nie przepychać. Zerknęła pod billboard i wciąż nie widziała, żeby jakaś kobieta zbliżała się do furgonetki.

– Gdzie ona jest, do diabła? – spytał Wurth, odwracając się do Rief. – Dostała pietra? Zwiła?

Rief nie podniosła głowy. Jej maska wciąż wisiała na szyi. Zatkała jedno ucho i mocniej przycisnęła komórkę do drugiego.

– Okej – powiedziała. – Proszę zachować spokój.

– On jest w połowie jezdni – poinformowała O'Dell, patrząc, jak mężczyzna przemyka

między zderzakami.

– Otwórzcie drzwi! – nakazała Rief. Kiedy nikt się nie ruszył, powtórzyła głośniej. – Drzwi, teraz!

O'Dell skoczyła i chwyciła klamkę. Furgonetka posuwała się w żółtym tempie, a potem się zatrzymała. O'Dell pociągnęła za klamkę.

Kobieta z telefonem przy uchu wyłoniła się z tyłu samochodu. O'Dell wyciągnęła rękę w rękawiczce. Kobieta chwyciła ją i wskoczyła do środka. O'Dell zamknęła drzwi i furgonetka znów powoli ruszyła. O'Dell wyjrzała przez okno. Mężczyzna przeszedł na drugą stronę przed jadącym przed nimi pojazdem. Szedł wzdłuż krawężnika, a później zaczął przeciskać się przez tłum, aż znalazł się na chodniku i zaczął oddalać się od furgonetki.

– Christino – powiedziała O'Dell do drobnej i kruchej kobiety w za dużej bluzie z kapturem. – Jest pani bezpieczna.

Nie mogła jednak zapewnić jej, że wszystko będzie dobrze. Nie miała pojęcia, jak bardzo Christina jest chora ani nawet czy przeżyje. Cienie pod jej oczami wyglądały jak siniaki, twarz miała wychudłą.

Christina Lomax skinęła głową, łzy poleciały jej po policzkach. Nie spuszczała wzroku z Rief, choć to O'Dell pomogła jej wsiąść do furgonetki. Gdy tylko usiadła, a raczej opadła na podłogę, objęła się rękami. O'Dell owinęła jej ramiona kocem. Drżąc na całym ciele, Christina wyjęła coś z kieszeni i podała Rief.

To był pendrive.

**CZWARTEK**

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

*Na obrzeżach Atlanty, Georgia*

Dochodziła trzecia nad ranem. Telefon obudził Stephena Bishopa z głębokiego snu, którym tak rzadko się cieszył.

– Nosicielka z Nowego Jorku zniknęła.

– Czy to mój problem? Myślałem, że obserwatorzy składają raport twojemu człowiekowi. – A jednak te wieści wywołały w nim panikę, i to tak wielką, że poderwał się z sofy i zaczął krążyć. – Co się stało?

– Obserwator zgubił ją wczoraj około dziewiętej wieczór. Znów wyszła i złapała taksówkę. Powiedział, że nigdy tak późno nie wychodziła.

– Czy jest możliwe, że pojechała do szpitala?

– On tak nie przypuszcza. Był przekonany, że jedzie za właściwą taksówką, ale kiedy ją dogonił, okazało się, że nosicielki nie było w środku.

– Chwileczkę. – Bishop przetarł zmęczone oczy. – Nosicielka z Nowego Jorku ma wszczepiony mikroczip.

– Musiały wystąpić jakieś zakłócenia.

– To niemożliwe. – To po prostu nie miało sensu.

– Sprawdził okolicę wokół Times Square – podjął Hess. – Myślał, że może tam pojechała, bo już kiedyś ją tam śledził. Niektórzy lubią tłum, światła, ruch. Ale niestety jej nie znalazł. Wrócił do jej pokoju w hotelu i czekał, lecz nie pojawiła się.

Umysł Bishopa pracował na szybkich obrotach. Jeśli uciekła, to gdzie mogła się udać? To jeden z problemów z nosicielami. Zawsze istnieje ewentualność, że zwycięży instynkt samozachowawczy i zaczną szukać pomocy medycznej.

– Twoi ludzie muszą sprawdzić szpitale i ośrodki pomocy ambulatoryjnej.

– Już to robimy – odparł Hess. – Jest jeszcze coś. – Zrobił tak długą pauzę, że Bishop zaczął zaciskać palce na telefonie.

– O co chodzi?

– Wiedziałeś, że doktor Getz był w Nowym Jorku dwa dni temu?

– Twierdził, że ma pilną sprawę rodzinną.

– Cała jego rodzina jest w Oregonie i północnej Kalifornii.

Bishop nie musiał pytać, skąd pułkownik to wie. To on wciągnął Howarda Getza do tego

projektu. Oczywiście, że wiedział o tym człowieku dosłownie wszystko.

Kiedy Hess zbyt długo milczał, Bishop oznajmił:

– Nigdy mu nie ufałem. Zawsze za bardzo angażował się w stworzenie szczepionki.

Wiedziałem, że nie ma na to ochoty.

– Mógł co najwyżej skontaktować się z nosicielką i powiedzieć coś, co ją przeraziło. – Hess powiedział to niemal zbyt spokojnie, jakby Bishop właśnie potwierdził to, co sam już myślał.

– Nie mów mi, proszę, że musimy opóźnić drugi etap.

– Nie, absolutnie nie.

– A jeśli Getz...

– Nie przejmuj się – oznajmił Hess. – Wyślę Tabora, żeby się nim zajął.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY

### *Florida Panhandle*

Creed czuł napięcie i przyśpieszone bicie serca, mimo że poranna sesja szkolenia poszła dobrze. Psy i trenerzy spisali się lepiej, niż się spodziewał. Jason, Penelope i Hanna przeprowadzili nowych rekrutów przez przyśpieszony kurs podstaw posłuszeństwa.

Benjamin Platt przywiózł ze sobą dwóch naukowców z CDC, którzy mieli pracować z doktor Avelyn nad stworzeniem możliwej do przyjęcia ochrony psów przed wirusem. Psy nie mogły nauczyć się wyczuwać docelowego zapachu w inny sposób, niż poznając go węchem. I choć pułkownik i jego eksperci niezbyt się przejmowali ewentualnym poświęceniem zwierząt dla większego dobra, Platt zdawał sobie sprawę z konsekwencji, jakie powstaną w przypadku, gdy psy zachorują. Jak zauważyła doktor Avelyn, chore psy staną się bezużyteczne, jeśli chodzi o wykrywanie wirusa. Prawdę mówiąc, narobiłyby tylko więcej szkody, zarażając kolejne osoby na lotnisku.

Posługując się żołnierskim językiem, Creed nazwałby to pieprzonym szambem.

Wzięła doktor Avelyn na bok. Kiedy zobaczyła jego zaciśnięte zęby, zasugerowała, by wyszli na zewnątrz, gdzie goście nie będą ich słyszeć.

– Mam wrażenie, że oni nadal nic nie rozumieją – powiedział Creed, gdy zostali sami. – Platt zachowuje się jak palant, który uważa, że zastanawianie się nad ochroną psów to zwykła strata czasu.

Doktor Avelyn położyła rękę na jego ramieniu i przystanęła. Zaczekała, aż Creed spojrzy jej w oczy, po czym powiedziała:

– Co jest między tobą a Benem?

– Och, więc teraz to już Ben? – Wiedział, że zrobił błąd, gdy tylko to powiedział, a nawet zanim Avelyn uniosła brwi. – Wybacz. Nie chciałem na ciebie naskoczyć.

– Pracowaliście razem w Karolinie Północnej podczas lawiny błotnej.

– Niezupełnie. On się tylko pokazał, kiedy było już po wszystkim.

Avelyn skrzyżowała ramiona na piersi i przekrzywiła głowę, czekając, aż Creed wyjaśni, co naprawdę jest grane.

– Okej. – Wzruszył ramionami. – Facet działa mi na nerwy.

– Z powodu Maggie?

Spojrzał na nią zaskoczony. Czyżby był przezroczysty?

– W Karolinie Północnej nie podzielili się z nami tajnymi informacjami, przez co Maggie i ja omal nie zginęliśmy. Teraz powtarza bez końca, że psy nie mogą się zarazić szczepem ptasiej grypy, a ja mu nie ufam. Jak przyjdzie co do czego, będzie bronił własnych interesów, a ja mam dziwne przeczucie, że moje psy znajdują się na samym końcu jego listy.

No i wreszcie to powiedział, a teraz czekał na reakcję doktor Avelyn.

Zamiast się sprzeczać, stwierdziła ku jego zaskoczeniu:

– Myślę, że masz rację.

Milczał, jakoś nie czuł się specjalnie pocieszony.

– Staralam się zgłębić temat – dodała doktor Avelyn. – Nie chcę się z tobą tym dzielić, dopóki nie dowiem się czegoś więcej. – Ruszyła znów przed siebie, a on poszedł za nią. – Pojawiła się nowa psia grypa. Tu jeszcze nie mieliśmy z nią do czynienia, ale wykryto ją minionej wiosny na Środkowym Zachodzie, około tysiąca potwierdzonych przypadków. Kliniczne objawy są podobne do zwykłej grypy u ludzi, to znaczy mokry kaszel, gorączka, ospałość, zmniejszony apetyt, katar.

– Jest śmiertelna?

– Jeśli nie jest leczona, może prowadzić do zapalenia płuc i śmierci. Wprawdzie większość psów wyzdrowiała, ale tak czy inaczej śmiertelność wynosi około dziesięciu procent. Grypa pojawiła się nie wiadomo skąd, a psy zwykle na nią nie chorują. Pogrzebałam trochę, i to tak na serio, ponieważ właściwie nikt nie chce powiedzieć tego wprost, ale najpewniej ten szczep wirusa został przeniesiony na psy bezpośrednio przez ptaki.

– Co za kurewstwo! – Niemal już nie panował nad sobą, czuł się tak, jakby wstrzyknęła mu lód do żyły. Odetchnął głęboko, by choć trochę się uspokoić. – Więc psy mogą się zarazić ptasią grypą. – Wskazał kciukiem ponad ramieniem na jej gabinet. – I ci dranie to wiedzą.

– Zaczekaj, to nie aż takie złe wieści. Minionego roku w listopadzie Departament Rolnictwa Stanów Zjednoczonych zatwierdził i przyznał warunkową licencję na szczepionkę. Uważa się ją za tak zwany luksusowy produkt, co znaczy, że można nią szczepić tylko psy o wysokim ryzyku zarażenia się wirusem.

– Twierdzili, że nie ma żadnej szczepionki.

– Mówiąc szczerze, CDC, a nawet Platt mogą o tym nie wiedzieć. Przywykli do



zajmowania się ludźmi, nie psami.

– Jesteś dla nich zbyt wyrozumiała.

– Nieważne, za to ważne jest to, że zamówiłam szczepionkę dla wszystkich psów.

Dostaniemy ją, zanim zaczniecie pracować z wirusem.

Creed odetchnął z ulgą, i to tak głęboko, że doktor Avelyn musiała się roześmiać.

– Jesteś wspaniała – powiedział ciepło.

– Cóż, jeśli uważasz, że jestem wspaniała, to zaczekaj, aż usłyszysz, jaki mam pomysł na maski dla psów.

– Żartujesz?

– Nie będą ich nosić. – Uśmiechnęła się, a potem znów spoważniała, wyjaśniając, że osłoni fiolki z wirusem chirurgiczną siatką. – Jest wykonana z tych samych włókien, co maska chirurgiczna, tylko trochę cięższych. Psy będą mogły poczuć zapach, ale siatka ochroni je przed wdychaniem wirusa.

– Ile czasu potrzebujesz, żeby to przygotować?

– Siatkę dostarczą ze szczepionkami, a wtedy każę naszym mądralom z CDC wymyślić, jak założyć ją na fiolki.

– Dziękuję. – Tym razem ją uściskał.

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY PIERWSZY

W końcu Creed nabrał pewności, że im się uda. Powiedział trenerom, żeby nakarmili psy, pobawili się z nimi i odprowadzili do psiarni na odpoczynek. Po lunchu odbędzie się następna sesja treningowa.

Creed nie zrobił sobie przerwy. Musiał się czymś zająć. Musiał się trzymać z dala od kliniki, żeby doktor Avelyn mogła w spokoju pracować z Plattem. Właśnie szorował psie miski, kiedy usłyszał, że ktoś wchodzi do psiarni.

– Hanna prosiła, żebym ci to przyniósł – oznajmił Jason.

Na talerzu szczelnie owiniętym folią zobaczył kanapki z indykiem i serem. Obok znajdowała się sałatka z kiszonych ogórków. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Hanna zawsze starała się poprawić mu nastrój jedzeniem i zwykle to działało.

Umył i wytarł ręce, potem pokazał Jasonowi, żeby przyciągnął krzesło do małego stolika w rogu. Sięgnął po dwie pepsi z lodówki i podał jedną Jasonowi, który otwierając puszkę, powiedział:

– To nie twoja wina. Ci kolesie nie przywykli do tego, żeby ktoś ich przepytawał. Do diabła, nie jestem pewien, czy oni w ogóle myślą o konsekwencjach. – Uniósł kikut. – Jestem doskonałym przykładem na to, że nie myślą.

Creed nic na to nie odpowiedział, tylko zdjął z talerza przezroczystą folię, wziął kanapkę i ugryzł kęs. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jaki był głodny. Dbał, żeby wszyscy, ludzie i psy, coś zjedli, ale zapomniał o sobie.

– Tony to drugi przykład – ciągnął Jason. – Myślisz, że któryś z tych drani na górze w ogóle pomyśli, w jakim stanie wracamy do naszych domów? Oczywiście ci z nas, którzy nie wracają w pudłach.

– Od dawna chciałem cię o coś spytać. Czemu nie dopasowałeś sobie protezy?

Jason wzruszył ramionami, jakby to nie było nic ważnego, po czym wyjaśnił:

– Ci z departamentu do spraw weteranów wciąż mnie odsyłali. Mówili, że dopiero co wróciłem, aż mi się znudziło wieczne wydzwanianie. Za każdym razem łączyli mnie z kimś innym i musiałem od nowa opowiadać swoją historię.

– To nie w porządku – skwitował Creed.

– Rozmawiałem z chłopakami, którzy mieli protezy. Mówili, że ich obcierają albo że wciąż muszą je oddawać do poprawki, więc może nie tracę tak wiele. W końcu ręki mi nie

oddadzą, no nie? – Wypił kilka łyków. – Zjesz ogórki?

– Tak – odparł Creed i ugryzł kanapkę.

Jason nadal miał ochotę podwędzić mu jedzenie, aż ni z tego, ni z owego spytał:

– Pamiętasz ten ośrodek badawczy w Karolinie Północnej? Ten, którego szukaliśmy pod błotem?

– Tak? O co chodzi?

– Okazuje się, że Tony tam był ostatniego sierpnia.

– Naprawdę? – Creed głośno przełknął. – Skąd wiesz?

– Mama Tony’ego dała mi pudełko z jego rzeczami. Kazał, by mi je przekazała, gdyby coś mu się stało. Na samym wierzchu leżał dziennik Tony’ego. Nigdy z nim się nie rozstawał. To, że go zostawił... – Urwał gwałtownie.

Creed dobrze wiedział, co chciał powiedzieć.

– Skąd wiesz, że był w Karolinie Północnej? – spytał.

– Píše o tym w dzienniku. Zostawił kwit, który dostał. Trzy tysiące dolarów za dwa dni. Jakiś eksperyment, coś im tam wstrzykiwano. Nie był pewien co.

Creed pomyślał o doktor Shaw. To nie mógł być przypadek. Pewnie w ten sposób Tony zaraził się ptasią grypą. Nie podzielił się jednak z Jasonem swoimi przypuszczeniami, ponieważ złożył Maggie obietnicę. Nawet rodzina Tony’ego nie wiedziała, że był zarażony. Ale Jason... zasługiwał na to, żeby wiedzieć.

– Zostawił mi list – podjął mocno poruszony Jason. – Najwięcej napisał o tym, że bym nie był takim tchórzem jak on. – Popatrzył w oczy Creedowi, który po raz pierwszy zobaczył w jego oczach łzy. – Myślę, że naprawdę wyskoczył z tego balkonu.

– Nie – zdecydowanie odparł Creed. – Nie skoczył, Jasonie.

Wyjawił mu wszystko, co wiedział, wszystko, co usłyszał od Maggie na temat Tony’ego i ptasiej grypy. Powiedział o siniaku na plecach Tony’ego, który nie wiadomo jak się tam znalazł, i o podejrzeniach Maggie, że ktoś przycisnął go do balustrady i wypchnął z balkonu.

Potem zamilkł i czekał. Zdziwił się, że do oczu Jasona wciąż napływają łzy, ale choć komuś mogłoby się to wydawać pokręconą reakcją, wiedział, że teraz są to łzy ulgi.

**PIĄTEK**

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY DRUGI

*Panama City, Floryda*

O'Dell miała się spotkać z pozostałymi osobami związanymi ze śledztwem, ale przyjechała do Pensacoli tak wcześnie, że postanowiła z tego skorzystać i pojechać okrężną drogą. Wiedziała, że strzela w ciemno, lecz coś nie dawało jej spokoju i musiała to sprawdzić.

Jedną z najboleśniejszych lekcji, jakich doświadczają profilerzy podczas przygotowywania profilu psychologicznego zbrodniarza, to przeoczenie jakiejś jego słabości. Mordercy popełniają błędy, i dzieje się tak zwykle dlatego, że kompensują sobie poczucie niższości. Ale to nie wszystko. Trzeba znać odpowiedzi na różnorakie pytania, na przykład: co może ich zbić z tropu? Czy jest coś albo ktoś, kto jest im drogi? A jeśli tak, co lub kto to jest?

Dość często piętą achillesową mordercy jest to samo, co u niemal wszystkich innych zwykłych ludzi. Arogancja, chciwość, emocje i sentymenty prowadzą do popełnienia głupiego błędu. Słynny seryjny morderca Ted Bundy został złapany dzięki temu, że zlekceważył patrol policyjny i nie zatrzymał się do rutynowej kontroli drogowej, czym wzbudził podejrzenie, że ma coś do ukrycia. Arogancja okazała się jego słabością. Jaką słabość miała doktor Shaw?

To, co szczególnie mocno utkwilo Maggie w głowie na jej temat, to przywiązanie do dziadka. Był jedyną osobą, z którą utrzymywała stałe kontakty. Dyrektor ośrodka opiekuńczego, gdzie przebywał dziadek Shaw, zgodził się odpowiedzieć na jej pytania, kiedy O'Dell oznajmiła, że prowadzi śledztwo w sprawie zniknięcia wnuczki Carla Shawa. Według dyrektora ośrodka, doktor Clare Shaw regularnie odwiedzała dziadka, robiła to co najmniej raz czy dwa razy w miesiącu, a także przysyłała paczki i kartki. Ale ostatniej jesieni kontakt się urwał. Personel sądził, że Shaw zginęła podczas lawiny błotnej, która zniszczyła ośrodek badawczy, w którym pracowała.

Panama City dzieli od Pensacoli jakieś półtorej godziny drogi. O'Dell znalazła ośrodek opiekuńczy na obrzeżach miasta. Wcześniej dzwoniła tam z pytaniem, czy może odwiedzić pana Carla Shawa. Usłyszała, że może to zrobić, jeśli pan Shaw nie wyrazi obiekcji. Dyrektorka ostrzegła O'Dell, że cierpi na demencję, więc niewykluczone, że będzie w złym nastroju albo po prostu odmówi rozmowy. Mógł też w ogóle nie zauważyć jej

obecności.

O'Dell wpisała się do książki gości, po czym ktoś z personelu skierował ją na małe podwórze ze słowami: – Proszę się do niego zwracać per Carl, bo nie zawsze reaguje na swoje nazwisko.

Carl Shaw siedział naprzeciw rzędu azalii. Niczym zahipnotyzowany pochylał się do przodu i dotykał pięknych różowych kwiatów. O'Dell podeszła powoli i usiadła obok niego, nie przedstawiając się ani nie prosząc o pozwolenie. Po prostu czekała, aż Shaw ją zauważy, co trwało dłużej, niż się spodziewała.

Shaw usiadł prosto i dłonią z wyraźnymi niebieskimi żyłami odsunął z czoła białe cienkie włosy. O'Dell zauważyła, że koszula była w tym samym kolorze co spodnie, za to w kamizelce nie zapiął dwóch guzików, na nogach zaś miał kapcie. Skrzyżował nogi w kostkach, potem splótł ręce na piersi. Cały ten czas O'Dell siedziała obok niego w milczeniu.

Wreszcie na nią zerknął, trwało to sekundę czy dwie. Potem jego uwagę przyciągnęła mieszkanka domu opieki, którą ktoś z personelu wyprowadził na podwórze i szedł obok niej, kiedy posuwała się naprzód z laską.

Shaw wskazał na starą kobietę i rzekł:

- Ona nigdy nie wypija soku do końca.
- Szkoda go marnować – powiedziała natychmiast O'Dell.
- Zresztą ja wolę mleko.
- Czekoladowe mleko? – spytała.

Tym razem odwrócił się w jej stronę, w jego oczach pojawił się błysk.

- Od wieków nie piłem czekoladowego mleka.
- Może pan o nie poprosić dzisiaj wieczorem.

Wciąż na nią patrzył, a ona wiedziała, że zastanawia się, czy powinien ją znać. Zaskoczył ją, przekrzywiając głowę i pytając: – Clare? To ty? – Zanim zareagowała, dodał: – Wolę to twoje przebranie niż brodę.

O'Dell gwałtownie myślała, jakie pytania mu zadać. Niewiele wiedziała o demencji. Czy to możliwe, że wnuczka nadal go odwiedza, tyle że w przebraniu? A może to tylko wytwór chorej starczej wyobraźni?

On tymczasem stracił zainteresowanie O'Dell i przeniósł znów wzrok na kobietę z laską. Minęła ledwie minuta, gdy Maggie powiedziała: – Carl.

Spojrzał na nią zaczerwienionymi oczami. Tym razem nikogo w niej nie rozpoznawał. O'Dell uzbroiła się w cierpliwość, mając nadzieję, że powie coś więcej o Clare. Wciąż się głowiła, o co go zapytać.

– Już pora na kolację? – spytał, a potem pokręcił głową. – Nie chcę jeszcze wracać do środka. – Przeniósł wzrok na azalie.

– Możesz tu zostać – powiedziała.

Siedziała z nim przez kolejny kwadrans, potem wstała i oddaliła się równie bezceremonialnie, jak do niego podeszła. Po drodze zajrzała do gabinetu dyrektorki, ale młoda pracownica ośrodka, z którą O'Dell wcześniej rozmawiała, poinformowała ją, że dyrektorki nie będzie do końca dnia.

– Ciekawa jestem – O'Dell starała się mówić przyjaźnie i zwyczajnie, nie jak agentka FBI – czy Carl ma wielu gości?

– Pracuję tu od trzech miesięcy i nie widziałam, żeby odwiedzał go ktoś z rodziny.

– Czyli nikt go nie odwiedza?

– To smutne, kiedy tak się dzieje. Od czasu do czasu wpada jego lekarz.

– Jego lekarz?

– Był tu parę tygodni temu. Siedzieli na podwórzu jakąś godzinę.

– Czy ten lekarz może nosi brodę?

– Tak, zgadza się. Skąd pani wie?

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY TRZECI

*Pensacola, Floryda*

Tym razem Creed spotkał się z nimi w Fish House z widokiem na Pensacola Bay. Pogoda dopisywała, więc zajął stolik na zewnątrz, z dala od wejścia, za to blisko wody. Było jeszcze wcześnie, więc mieli nadzieję, że nikt im nie przeszkodzi. Creed spodziewał się tylko Wurtha i Platta, dlatego zaskoczył go widok Maggie, która szła między nimi. Minionego wieczoru rozmawiał z nią przez telefon o odkryciu Jasona, o związku Tony'ego Briggsa z doktor Shaw, ale nie wspomniała, że wybiera się do Pensacoli. Szczerze mówiąc, sprawiała wrażenie wykończonej.

Instynktownie wstał od stolika, a potem pomyślał, że może zachował się zbyt nerwowo. Nie widzieli się od wydarzeń w Karolinie Północnej, a jednak kiedy ich oczy się spotkały, Maggie nie przerywała kontaktu wzrokowego przez całą drogę po drewnianej podłodze tarasu aż do stolika.

Napomniął się, że chodzi o sprawy zawodowe. Pozwoli jej przejąć pałeczkę. Ale kiedy go uściskała, przytrzymał ją moment dłużej. To było miłe. Miło było ją obejmować. Zastanowił się, jak mógł o tym zapomnieć. Nie obchodziło go nawet to, że Platt na niego spojrzał, marszcząc czoło. Wurth z kolei uśmiechał się szeroko.

Okazało się, że Wurth zna także i tę restaurację, i to na tyle dobrze, by bez karty zamówić dla wszystkich ulubione piwo i zakąski. Potem usiadł i spojrzał na wodę.

– Pięknie tu. – Machnął ręką. – A ja niestety nie będę mógł się tym nacieszyć. – Zerknął na O'Dell i dodał: – Byliśmy z Maggie w Nowym Jorku i pojechaliśmy na Broadway, ale nie obejrzałem żadnego cholernego przedstawienia. Za to mamy jednego z królików doświadczalnych doktor Shaw.

– Dziś rano rozmawiałem z Rogerem Bixem – poinformował Platt. – Christina Lomax dobrze reaguje na leczenie. Był pod wrażeniem, bo bardzo dbała o to, żeby się nie odwodnić. Łykała też sporo witaminy C i jadła batony proteinowe.

– O ile dobrze pamiętam, kiedyś pan wspomniał, że nie ma lekarstwa na ten szczep ptasiej grypy – zauważył Creed.

– Nie ma szczepionki, żeby jej zapobiec – odparł Platt. – Kiedy człowiek zachoruje, najgorszym wrogiem staje się dla niego jego organizm. Często więcej szkód robi nasz system odpornościowy, tak jak własny ostrzał na polu walki, niż sam wirus. Roger i jego



zespół stosują agresywną metodę leczenia przy użyciu paru środków antywirusowych. Na razie mamy niewiele danych, ale metoda wydaje się skuteczna w około siedemdziesięciu pięciu procentach przypadków.

Creed już po raz kolejny nie mógł uciec od myśli, że Platt mówi jak naukowiec głównie zainteresowany statystyką. Jednocześnie wiedział, że niesprawiedliwie go osądza. Zanim przyznał to doktor Avelyn, już zdawał sobie sprawę, że jest uprzedzony do tego człowieka, a wszystkiemu winny był wpływ, jaki Platt wciąż miał na Maggie O'Dell.

Teraz jednak musiał się skupić na ważniejszych kwestiach.

– Mówił pan, że wszystko się zmieniło – powiedział Creed. – Maggie twierdzi, że ta kobieta posiada jakieś tajne informacje.

Wurth uniósł brwi, zerkając na Platta, żeby przekonać się, czy o tym wiedział, po czym spytał:

– Rozmawialiście ostatnio?

– Jason Seaver znalazł związek między Tonym Briggsem a doktor Shaw – oświadczyła Maggie, a Creed z satysfakcją skonstatował w duchu, że nie tłumaczyła się z ich rozmowy. – Agent Alonzo odcyfrowuje zawartość dysku USB, który dała nam Christina Lomax – mówiła dalej O'Dell. – Są tam tony informacji, choć niektóre wciąż sprawiają wrażenie, jakby nie miały sensu. Ale to pewnie tylko kwestia czasu. – Przerwała na moment. – Jest lista nazwisk i adresów, a na niej Christina i Tony. I jeszcze jedno znajome nazwisko. – Spojrzała na Creeda. – Izzy Donner także była w ośrodku badawczym w Karolinie Północnej. Wydaje się, że Shaw i jej ludzie skontaktowali się z osobami, które mieli już w bazie danych. Tymi, które już kiedyś zgłaszały się na ochotnika do udziału w płatnych eksperymentach w tym ośrodku.

– Macie pojęcie, kto zabił Tony'ego i Izzy? – dopytywał się Creed.

– Jeszcze nie, ale Christina wspominała o obserwatorach. Mężczyzna, który dał jej dysk USB, powiedział, że ma umrzeć, a jej obserwatorzy tego dopilnują. Nie była pewna, czy mu wierzyć. Uczestniczyła w innych eksperymentach i zawsze wszystko dobrze się kończyło, dostawała też niezłe pieniądze.

– Macie pojęcie, kim był ten mężczyzna? – spytał Platt.

– Niestety nie. – Wurth potrząsnął głową. – Nie patrzyła na niego. Ale przejrzała zawartość dysku USB i się przeraziła. Ostrzegli, że nie wolno jej zgłaszać się na policję, szczęśliwie w telewizji zobaczyła Amee Rief, biologa ze Służby Połowu i Dzikiej

Przyrody. Dokumenty na dysku USB dotyczą między innymi martwych ptaków, więc zaryzykowała i skontaktowała się z Rief.

– Czy kimś takim jest Tabor? Obserwatorem? – Creed pomyślał o szeryfie Wyliem. Czy też był ofiarą?

Na wspomnienie Tabora Wurth zrobił kwaśną minę, wymieniając spojrzenie z Plattem i z Maggie, która odparła:

– Lawrence Tabor pracuje dla DARPA.

– Żartujesz.

– Potwierdziłem, że pracuje dla pułkownika Abrahama Hessa – dodał Wurth.

– Niech zgadnę – kąśliwie rzucił Creed. – Pułkownik Hess nie ma pojęcia, że facet działa na własną rękę.

– Pułkownik Hess oświadczył, że Tabor otrzymał jasno określone polecenie służbowe, to znaczy miał coś sprawdzić, ale „przekroczył granice powierzonego mu zadania”, koniec cytatu. Zapewnił mnie, że Tabor już się tą sprawą nie zajmuje. – Wurth znów spojrzał na Platta.

A ten powiedział szybko:

– Pułkownik działa w dobrej wierze.

Creed pomyślał, że ton głosu Platta brzmi raczej defensywnie, zaś Wurth sprawia wrażenie, jakby nie do końca zgadzał się z oceną, że Hess działa w dobrej wierze. Dostrzegł, jak Wurth ponownie zmierzył Platta wzrokiem, po czym podjął:

– Nie musimy się przejmować Taborem, ale wciąż musimy się martwić Shaw. – Wurth przerwał na moment. – Najwyraźniej ma cały zespół ludzi do dyspozycji oprócz tych, którzy są na liście królików doświadczalnych. Zamieściłem już wszystkie te nazwiska na liście osób, które nie wejdą na pokład żadnego samolotu.

– Czy to rozwiązuje pański problem? – spytał Creed. – Skoro ma pan listę nazwisk, nie potrzebuje pan moich psów. Tony nie używał fałszywego nazwiska. A ta Christina posługuje się swoim?

Creed zerknął na Maggie, ale właśnie patrzyła na wodę. Zdawało się, że myśłami także przebywa gdzie indziej, nie przy tym stoliku.

Tym razem odpowiedział Platt:

– Tak, Christina Lomax posługuje się prawdziwym nazwiskiem, podobnie jak Izzy Donner, gdy rezerwowała bilet na samolot do Atlanty. Jeszcze nie wiemy, czy są inni. Jak

dotąd CDC nie otrzymało żadnego raportu na temat pojawienia się wirusa poza Chicago i Nowym Jorkiem.

– Ale dokumenty zapisane na tym dysku USB sugerują jakąś „drugą falę”, a nawet trzecią – stwierdził Charlie Wurth. – Nie możemy zakładać, że korzystają wyłącznie z osób znajdujących się na tej liście. Jest masa informacji, przez które agent Alonzo i jego zespół dopiero muszą się przedrzeć. W każdym razie to, że przejęliśmy ten dysk USB, stało się prawdziwym przełomem. I naszym cholernym fartem. Wydaje się, że pochodzi od kogoś z wewnątrz. Może od osoby, która biorąc w tym udział, nagle poszła po rozum do głowy. – Przerwał na moment. – Są tam zaznaczone konkretne loty w określonych dniach. Wszystkie je łączy Atlanta jako miejsce wylotu, cel podróży albo miejsce przesiadki. Możliwe, że kupili już bilety na te samoloty. Przeglądamy listy pasażerów, ale nie jesteśmy w stanie określić, kto z nich może być nosicielem wirusa albo który lot wybrał.

– Nie możecie po prostu odwołać tych wszystkich lotów?

Tym razem Wurth spojrział na Creeda, aż na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech, jakby w końcu zrozumiał, że to żart. Potem powiedział:

– To co najmniej sto dwadzieścia lotów w ciągu dwu dni, a ja nie mam takiej władzy, żeby sparaliżować ruch na najbardziej ruchliwym lotnisku na świecie. W każdym razie do chwili gdy... albo jeżeli pańskie psy dadzą sygnał alarmu.

– Czemu pańskim zdaniem Shaw wybrała Atlantę? – spytał Platt.

– To miejsce, gdzie krzyżują się trasy ludzi podróżujących po całym świecie – odparł Wurth. – Każdego dnia odbywa się tam około dwa i pół tysiąca lotów. Osiemdziesiąt procent Amerykanów mieszka w odległości dwu godzin lotu z Atlanty. Jeśli chce pan zarazić jak najwięcej ludzi w całym kraju, powiedziałbym, że lotnisko Hartsfield to świetny początek. Proszę o tym pomyśleć.

– Tak, to oczywiste – mruknął Platt.

– Załóżmy, że korzystają tylko z trzech nosicieli wirusa – mówił dalej Wurth. – Załóżmy, że każdy z nich leci samolotem ze stu pięćdziesięcioma osobami. Te sto pięćdziesiąt osób ląduje na innym lotnisku. Dla niektórych to miasto jest końcem podróży, ale inni się przesiadają i lecą gdzieś dalej, do kolejnego miasta. Potem niektórzy z nich wsiądą do samochodów czy taksówek albo pojedą autobusem czy metrem i będą kolejną godzinę jechać z lotniska do domu. – Przerwał na chwilę. – Te sto pięćdziesiąt osób zarazi setki innych, ale także rozprzestrzeni wirusa na setki, a może tysiące kilometrów. Nie potrzeba

do tego armii ochotników czy płatnych nosicieli. Pierwszy wybrany przez nich termin wypada za dwa dni.

Na moment wszyscy zamilkli. Creed patrzył na Maggie, która sprawiała wrażenie, że słucha tylko jednym uchem, sącząc dietetyczną pepsi.

– A ja nadal się zastanawiam – zaczął Platt – czemu nie O’Hare w Chicago? Albo Denver? Są inne lotniska, które spełniają ich wymagania. Czemu wybrali Atlantę? Czy możliwe, że Shaw przebywa gdzieś niedaleko? – Zerknął na Maggie, która wciąż milczała.  
– Kiedy Charlie i ja spotkaliśmy się z tobą na parkingu, powiedziałaś, że masz jakieś nowe informacje.

Głęboko zadumana, dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że do niej się zwracał.

– Chyba już wiem, dlaczego dotąd nie byliśmy w stanie odnaleźć doktor Clare Shaw – oznajmiła Maggie, siadając prosto, w końcu przenosząc wzrok na zgromadzonych przy stoliku. – Myślę, że przebiera się za mężczyznę.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY CZWARTY

O'Dell czekała na wiadomość od agenta Alonzo, zanim podzieliła się z innymi swoimi podejrzeniami. Miała nadzieję, że będzie dysponowała jakimś dowodem, a nie wykorzystywała mamrotanie samotnego starca, który tracił rozum równocześnie z pamięcią.

Goście ośrodka opiekuńczego obowiązkowo musieli się wpisywać do specjalnej książki, ale wymagano od nich tylko podania nazwiska, nikt nie sprawdzał dokumentów tożsamości, a goście nie dostawali plakietek identyfikacyjnych. Prawdę mówiąc, książka gości znajdowała w holu przy drzwiach frontowych, każdy mógł ją przejrzeć i zobaczyć, kto ostatnio odwiedzał to miejsce.

O'Dell przypuszczała, że dyrektor ośrodka powiadomiła personel, czym ona się zajmuje, a mianowicie jako agentka FBI bada sprawę zniknięcia wnuczki Carla Shawa. Jedna z pracownic pamiętała lekarza, który go odwiedzał, i podała jego rysopis.

– Nie jest zbyt wysoki – powiedziała – metr siedemdziesiąt z kawałkiem i nieco zaokrąglony w talii. Zawsze dobrze ubrany, w garniturze, pod krawatem. Nosi okulary w ciężkich oprawkach. Ma ciemne włosy, trochę długawe, opadają na kołnierzyk. Brodę ma krótką, lekko szpakowatą, ale domyślałam się, że jest po czterdziestce. Aha, dłonie ma zawsze zadbane, paznokcie wymanikiurowane. Zwracam uwagę na ręce – dodała z lekkim zażenowaniem. – Moje są stale takie suche. Niezbyt o nie dbam.

Niestety nie znaleziono żadnej informacji na temat miejsca zamieszkania ani zatrudnienia doktora Stephena Bishopa. Nie był „miejscowy”, jak stwierdziła kobieta. Potem nagle coś sobie przypomniała, oczy jej pojaśniały i powiedziała:

– Samochód, którym przyjechał, miał tablicę rejestracyjną z Georgii. Kiedy przyjechał którymś razem, akurat wychodziłam.

Teraz Maggie powtórzyła tę rozmowę kolegom.

– Georgia. – Platt oparł łokcie na stoliku. – To zawęży obszar poszukiwań.

– Już prosiłam agenta Alonzo, żeby sprawdził laboratoria i ośrodki badawcze na tym terenie – odparła O'Dell.

– To jak szukanie igły w stogu siana. – Wurth sceptycznie pokręcił głową. – Szkoda, że pracownica ośrodka nie zapamiętała numerów z tablicy rejestracyjnej. Ale to zbyt wielkie oczekiwania – dodał samokrytycznie i wypił łyk piwa.

– Są tam kamery. – Maggie nagle sobie coś uprzytomniła. – Przepraszam was na moment.

Wyjęła komórkę i wstała, by znaleźć spokojniejsze miejsce. Pytała już o kamerę przy drzwiach frontowych ośrodka opiekuńczego i o tę na podwórzu, ale niestety niczego nie zarejestrowały. Obie służyły głównie personelowi do kontrolowania swoich podopiecznych. Ale obok ośrodka opiekuńczego mieściło się przedszkole, którego parking sąsiadował z parkingiem ośrodka, dzielił je tylko pas trawy. O'Dell wydawało się, że w rogu przedszkolnego parkingu widziała kamerę. Czy mogła rejestrować to, co dzieje się na obu parkingach?

Agent Alonzo odpowiedział po drugim sygnale. Wyjaśniła mu wszystko, a on spokojnie słuchał. Wiedziała, że to strzał w ciemno. Nawet jeśli istniało nagranie z ostatniego dnia, kiedy Stephen Bishop odwiedził ośrodek, mogło być tak ziarniste, że nie da się dojrzeć marki samochodu, nie wspominając o numerach rejestracyjnych.

Kiedy O'Dell wróciła do stolika, Platt wyglądał na wykończonego, Wurth patrzył z powątpiewaniem, za to Ryder Creed po prostu się do niej uśmiechał.

**PONIEDZIAŁEK**

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIĄTY

*Międzynarodowe lotnisko Hartsfield-Jackson*

*Atlanta, Georgia*

Jason nazwał jasnego labradora Winnie, bo brzmiało krócej niż Winifred. Suka była bystrym słodziakiem. Może trochę za bardzo chciała go zadowolić, ale Creed stwierdził, że nie ma w tym nic złego.

Minionej nocy Winnie spała w przyczepie Jasona. Ilekroć było to możliwe – zwłaszcza na początkowym etapie i zwłaszcza w przypadku psów ze schroniska – Creed zachęcał treserów, żeby spędzali ze swoimi psami możliwie jak najwięcej czasu także poza godzinami tresury. Winnie była tak bardzo pogodnym psem, że Jason nie mógł pojąć, dlaczego ktoś oddał ją do schroniska.

Ostatniego wieczoru nawet nie miała za złe Scoutowi, że się rządził i pokazywał, które zabawki są jego własnością. Jedynym problemem, z jakim musiał się zmierzyć Jason, było złapanie Winnie z bochenkiem chleba, który udało jej się zwędzić z kuchennego blatu. Wbiła w niego zęby i pożarła kilka kęsów, zanim Jason ją dopadł. Prawdę mówiąc, to Scout ją przyłapał i szczekał jak szalony, donosząc na swoją koleżankę.

Jason podzielił się tą zabawną historią z pozostałymi treserami podczas długiej podróży do Atlanty, na co Penelope Clemence przypomniała, że personel schroniska uprzedził o dziwnym uzależnieniu labradora od chleba. Jason zdał sobie sprawę, że nic nie wiedzą o dotychczasowym życiu Winnie, miał jednak nadzieję, że nie pożerała chleba dlatego, że tylko nim ją karmiono, zanim trafiła do schroniska.

Przyjechali na lotnisko dość wcześnie, przed startem pierwszych samolotów. Jason nie był pewien, w jaki sposób zastępca dyrektora Wurth i agent Alonzo ustalili, gdzie psy powinny się znaleźć i które loty sprawdzić. Prawdę mówiąc, cieszył się, że to nie jego problem. Widział, ile ten „problem” kosztował Rydera Creeda, który musiał uczestniczyć w naradzie. Był zadowolony, że może ograniczyć się do wykonywania poleceń.

Każdy treser ze swoim psem miał obsłużyć inny terminal, każdy dostał listę bramek i lotów. Mieli chodzić po terminalu tam i z powrotem. Kiedy nadejdzie pora znajdującego się na liście lotu, powinni stanąć z boku bramki, którą będą przechodzić pasażerowie. W przypadku odlotów psy miały przejść między pasażerami czekającymi na wejście na pokład.



Wurth ich uprzedził, że mogą się pojawić nawet dziesiątki nosiciele wirusa lub też żaden. Ale jeśli pies da sygnał, muszą aktywować specjalną aplikację w telefonie, która prześle alarm do Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, podając lokalizację. Treserom nie wolno zatrzymywać ewentualnego nosiciela, muszą czekać na agenta Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Mogą podążać za podejrzanym, ale nie wolno im wchodzić z nim w kontakt. Trochę to wszystko wydawało się monotonne w porównaniu z tym, co Jason przeżył w Afganistanie, ale nie aż tak inne. Wiele z jego misji polegało na wielogodzinnym czekaniu, obserwowaniu, szukaniu zagrożenia, dopiero potem wszystko przyśpieszało i następował wybuch emocji.

Jason wciąż powątpiewał, że psy na podstawie zapachu są w stanie wyłuskać z tłumu nosiciela wirusa, ale przypomniał sobie, że Grace i Molly tak właśnie się zachowały w ośrodku opiekuńczym, gdzie przebywał jego dziadek. I to dzięki psom na tyle wcześniej wykryto u Gusa Seavera bakterię *Clostridium difficile*, by dochodził już do zdrowia.

Ale Grace i Molly przeszły wielomiesięczne szkolenie, więc umiały naprawdę dużo. Do tego Grace była bardzo doświadczonym i wybitnie utalentowanym psem poszukującym, potrafiła znaleźć dosłownie wszystko, o co poprosił ją Creed. Natomiast Winnie miała tylko kilka dni na naukę. Po trzech godzinach pracy bez żadnego alarmu z jej strony Jason zaczął się zastanawiać, czy pies czegoś nie przeoczył.

Winnie zachowywała się identycznie jak podczas szkolenia. Cały czas wachała, nozdrza i wąsy wciąż drgały, wzrok miała skupiony, choć od czasu do czasu przenosiła go, gdy w pobliżu znalazły się dzieci.

Jason starał się pamiętać słowa, które wciąż powtarzał mu Creed:

– Słuchaj swojego psa, skup na nim uwagę. Twój pies jest dla ciebie najważniejszy, to on wykonuje zadanie. Asystuj swojemu psu, nie próbuj na niego oddziaływać.

Przypomniał sobie również, że psy wyczuwają niepokój tresera, jego lęk, pewnie nawet wahanie. Nie chciał, by Winnie poczuła, że nie ufa jej umiejętnościom.

Jason poprowadził Winnie do pustego narożnika. Wcześniej ustawił minutnik w komórce, aby mieć pewność, że pies będzie miał regularne przerwy. Winnie już do tego przywykła. Siadała i czekała, aż Jason wyjmie składaną miskę i napełni ją wodą.

Następna bramka na ich liście znajdowała się po przekątnej od miejsca, gdzie się zatrzymali. Jason zobaczył, że Winnie uniosła łeb i odwróciła go w tamtą stronę. Jej nozdrza drgały. Jason poczuł dreszcz podniecenia, ale tylko do chwili, gdy zobaczył, co

przyciągnęło jej uwagę. Mały chłopiec, pięcio- albo sześciolatek, machał i wskazywał na psa.

Czy Winnie zwróciła uwagę na kolejne dziecko, czy jednak wyczuła zapach wirusa?

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SZÓSTY

*Na obrzeżach Atlanty, Georgia*

– Czy istnieje taka możliwość, żeby to miejsce w ogóle nie pokazało się na moim GPS-ie? – spytał Creed.

Ostatni zakręt doprowadził ich na starą dwupasmową asfaltową drogę, która wciąż skręcała w prawo i lewo bez dającego się pojąć celu. Od ponad szesnastu kilometrów nie minęli żadnego domu ani nie napotkali żadnego śladu cywilizacji.

– Na satelicie też go nie znalazłam – odparła Maggie, która jechała na miejscu pasażera. – To powinno być gdzieś na uboczu, ale takie współrzędne przekazał mi agent Alonzo.

Creed spojrzał na nią i spytał:

– Możliwe, że się pomylił?

– Byłoby to pierwszy raz, odkąd go znam.

Creed nie był pewien, jak agentowi Alonzo udało się zdobyć numery rejestracyjne. Maggie mówiła coś o kamerach na parkingu usytuowanym obok ośrodka opiekuńczego, gdzie mieszkał Carl Shaw. Podczas ostatniej wizyty doktora Stephena Bishopa był tam tylko jeden samochód z numerami rejestracyjnymi stanu Georgia. Korzystając z nowoczesnych technologii, Alonzo odczytał numery.

Czarny sedan należał do NBAF, Państwowego Ośrodka Obrony Biologicznej i Rolniczej, sporej i sprytnie ukrytej w lesie instytucji mieszczącej się na obrzeżach Atlanty u stóp Smoky Mountains. Tak się jakoś składało, że ośrodek blisko współpracował z DARPA i mieścił laboratoria o najwyższym, czwartym poziomie bezpieczeństwa. Zajmował się także projektami związanymi z rolnictwem. Kilku naukowców z ośrodka współpracowało z Departamentem Rolnictwa Stanów Zjednoczonych podczas ostatniej epidemii ptasiej grypy, kiedy miliony hodowlanego drobiu zostały zainfekowane.

– Interesowałaś się wcześniej tym miejscem? – spytał Creed.

– Nie, nie było dowodów na to, że od dwa tysiące jedenastego roku mają tam patogeny poziomu czwartego, więc nie wiedzieliśmy o istnieniu laboratoriów, dopóki Ben nie podzwonił tu i tam.

Creed wiedział, że Maggie i Platt pracowali razem przez ostatnią dobę, szukając wszelkich informacji o tym ośrodku. Platt dokonał prawdziwego cudu, mianowicie zdobył przepustki do ośrodka dla Creeda, Maggie i Grace.

Platt chciał im towarzyszyć. Jego pozycja referencje z pewnością wszystko by ułatwiły. Maggie upierała się jednak, że jeśli pułkownik Abraham Hess był w to zaangażowany, nie mogą ryzykować, że dowie się o ich wizycie i da cynk Shaw, a nazwisko Platta na liście gości mogłoby odnieść taki właśnie skutek. Pojawiłoby się mnóstwo pytań, w jakim celu dyrektor USAMRIID postanowił odwiedzić akurat to laboratorium.

Skoro nie mogli tu się zjawić jako asysta pułkownika Benjamin Platta, to Grace stała się pretekstem do tej wizyty. Byli umówieni z naukowcem, który pracował nad czymś, co miało dwukrotnie zwiększyć węchowe zdolności u psów. Creed słyszał o prowadzonych w kraju programach dążących do stworzenia „żelaznego nosa”, jak to nazywano. Kilka instytucji dzwoniło do Hanny z prośbą, by psy z K9 CrimeScents wzięły udział w badaniu, ale Creed zawsze odmawiał. Był sceptyczny. Psi węch jest czymś wyjątkowym i skomplikowanym, dlatego nie wierzył, żeby nauka kiedykolwiek zdołała podwoić jego efektywność.

Creed zerknął w tylne lustro. Grace siedziała na swoim zwykłym miejscu. Patrzyła przez przednią szybę między przednimi siedzeniami, niecierpliwie czekając na rozpoczęcie pracy.

Maggie wzięła ze sobą torebkę na dowody z niepranymi rzeczami osobistymi doktor Clare Shaw zabranymi z jej mieszkania w Karolinie Północnej. Torebka została szczelnie zamknięta pięć miesięcy temu i od tamtej pory leżała na półce. Creed wiedział, że na rzeczach pozostało wystarczająco dużo zapachu Shaw wchłoniętego przez materiał ubrań. Prosił przynajmniej o jedną parę używanych butów, a jeśli to możliwe, także o brudne skarpetki.

Ludzie często zastanawiają się, czemu psy – zwłaszcza kiedy zostają same – gryzą buty i uwielbiają skarpetki. Bywa, że pies jest po prostu znudzony, ale w większości wypadków szuka zapachu właściciela, i w tych właśnie przedmiotach znajduje pociechę. Poza tym buty rzadko się pierze, więc niezależnie od tego, jakiego przebrania używała teraz Clare Shaw, raczej niewiele się zmieniło, jeśli chodzi o jej stopy. Innymi słowy, zapach pozostał ten sam.

Zamierzali znaleźć laboratoria z najwyższym, czyli czwartym poziomem bezpieczeństwa i zaskoczyć Shaw, oczywiście pod warunkiem, że faktycznie przebywa w tym ośrodku. Creed miał nadzieję, że Grace będzie w stanie ją zidentyfikować niezależnie od przebrania. Wierzył w zdolności małego psa. Mimo to uprzedził Maggie, że nowa

tożsamość Shaw to także nowe zapachy, a niektóre z nich zastąpiły, czyli wyparły stare. Jeżeli obecnie przebiera się za mężczyznę, może używać mydła, szamponu i dezodorantu przeznaczonego dla mężczyzn.

Istnieją jednak naturalne zapachy przypisane każdemu człowiekowi, nie wszystkie z nich można zamaskować, nawet gdy wykorzystuje się inne kosmetyki do pielęgnacji skóry czy włosów. Creed wiedział, że pies jest w stanie wychwycić zapach odcisków palców pozostawionych na ścianie przed tygodniem. Widział, jak Grace wyczuła na drewnianej podłodze ślady jego stóp, które inni już zdeptali. Przeciętnie człowiek zrzuca od trzydziestu do czterdziestu tysięcy komórek skóry na godzinę. Choć wysuszone i zniszczone, zachowują zapach, który Grace potrafi wyodrębnić i zidentyfikować. Taką przynajmniej miał nadzieję.

– Prosto – powiedziała Maggie, wskazując palcem.

Między drzewami Creed w końcu dojrzał fragment budynków z czerwonej cegły.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SIÓDMY

*Międzynarodowe lotnisko Hartsfield-Jackson*

*Atlanta, Georgia*

To było to, tak w każdym razie pomyślał Jason, obserwując Winnie.

Nos miała wysoko uniesiony, oddech przyśpieszony. Pociągnęła za smycz i poprowadziła go do bramki, która była ich kolejnym celem. Kłębił się tam tłum. Było jasne, że ci ludzie czekali na samolot z większą liczbą miejsc niż w przypadku dotychczasowych poszukiwań. Nie byli w stanie normalnie przejść tam i z powrotem między siedzącymi i stojącymi podróżnymi, w niektórych miejscach w ogóle nie mogli się przecisnąć.

Kilka osób dojrzało kamizelkę Winnie z napisem „Pies na służbie” i pomogło zrobić przejście, ale inni ich ignorowali, więc Jason musiał prosić, żeby się uprzejmie przesunęli. Nie była to idealna sytuacja, skoro miał nie zwracać uwagi na siebie i psa. Wkurzało go, że ludzie nie chcieli przepuścić Winnie, ale kiedy dostrzegali jego pusty rękaw, od razu schodzili im z drogi. Nie obchodziło go, czy robili to z grzeczności, czy może byli zniesmaczeni, po prostu nie chciał być traktowany inaczej.

Na domiar złego Winnie nadal zbyt wiele uwagi poświęcała małemu chłopcu. Dzieciak właśnie szarpał się z mamą, która usiłowała go powstrzymać, żeby nie pobiegł w stronę psa. W pewnym momencie młoda matka spytała Jasona, czy syn mógłby pogłaskać Winnie, ale on pokręcił głową i wskazał kamizelkę suczki. Pod słowami „Pies na służbie” był umieszczony napis wykonany mniejszymi literami: „Prosimy nie głaskać”.

Jason wciąż nie mógł zgadnąć, kto był celem Winnie. Chwilami zwalniała, a raz nawet się zatrzymała przed grupą nastolatków. Jason już aktywował aplikację w telefonie i dał sygnał, że prawdopodobnie znalazł nosiciela wirusa. Nie przejmował się tym, że alarm może okazać się fałszywy. Chciał, by pojawili się ludzie z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i niech sami zdecydują, co zrobić z tym człowiekiem, u którego stóp położy się pies, jeśli już do tego dojdzie.

Winnie wciąż wracała do małego chłopca. Co takiego wyczuła w tym dzieciaku? Czy suczkę zabrano dziecku, które było dla niej ważne? A może dotąd nie miała kontaktu z dziećmi i dlatego ją fascynowały? Albo chodziło o to, że chłopiec był bardzo hałaśliwy? Niezależnie od powodu, Jason zaczął się niecierpliwić.

Próbował odsunąć od siebie wszelkie hałasy i skupić się na Winnie. Musi się uspokoić i zwolnić oddech, żeby pies nie wyczuł jego zdenerwowania. Już dwa razy Winnie podniosła na niego wzrok, przekrzywiając głowę, jakby pytała, czy z nim wszystko w porządku. Raz jeszcze przypomniał sobie wszystko, czego uczył go Creed.

Gdy komórka zawibrowała, Jason kazał Winnie usiąść, żeby móc jednocześnie trzymać smycz i odebrać.

– Mówi Charlie – odezwał się Wurth. – Idę w pana stronę. Chciałem tylko uprzedzić. Proszę się trzymać na dystans od swojego celu. Hanna i Tillie wysłedziły jedną osobę jakieś dwadzieścia minut temu, ale dziewczyna się przestraszyła i próbowała uciekać. Przepychała się na siłę między pasażerami.

– Jasny szlak – mruknął Jason.

– Zaraz się widzimy.

Wurth rozłączył się, zanim Jason przyznał, że jeszcze nie zlokalizował nosiciela wirusa, jeśli takowy w ogóle tam był. Winnie z całej siły pociągnęła w stronę małego chłopca, jej nozdrza cały czas pracowały.

Potem Jason dojrzał tego człowieka.

Stał za małym chłopcem i jego matką. Mężczyzna udawał, że nie jest zainteresowany Winnie, a jednak obserwował każdy jej ruch spod daszka czapki bejsbolówki. Z odległości jakichś sześciu metrów Jason mógł już zobaczyć, że mężczyzna się poci... i to bardzo.

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY ÓSMY

Jason pociągnął Winnie w odległy koniec krzesełek dla pasażerów, wybierając okrężną drogę. Trudno było przedostać się tam w inny sposób, przy okazji nie deptając po nogach czekających na wezwanie do odprawy ludzi i po ich bagażach blokujących przejścia między rzędami. Chciał podejść do mężczyzny z innej strony, aby mieć pewność, że to jest właśnie cel Winnie.

Dojrzał już symbol na czapce mężczyzny i w pierwszej chwili pomyślał, że się pomylił. Na czarnej czapce widniał wyhaftowany na czerwono napis 22KILL. Ten symbol oznaczał dwudziestu dwóch weteranów, którzy każdego dnia, obliczając roczną przeciętną, ginęli śmiercią samobójczą.

Tak właśnie to określali: „zginęli śmiercią samobójczą”, a nie „popełnili samobójstwo”. Chodziło o to, że wielu z tych weteranów nie wybrałoby samobójstwa, gdyby nie cierpieli z powodu zespołu stresu pourazowego czy innych psychicznych albo fizycznych zaburzeń spowodowanych służbą. Weterani pragnęli zwrócić uwagę na tę epidemię.

Jason wiedział, o co chodzi, ponieważ Tony wspomniał, że chciałby dołączyć do tej organizacji. Zerkając na prawą rękę mężczyzny, zobaczył czarną obrączkę – pierścień honoru – którą członkowie organizacji nosili na palcu wskazującym. To był ich symboliczny niemy hołd dla wszystkich weteranów.

Może ten mężczyzna patrzył na Jasona, a nie na Winnie. Jeśli był weteranem, amputowana ręka mogła przywołać wspomnienia jego doświadczeń na polu walki.

Jason już miał go wyrzucić z pola obserwacji i obejść znajdujących się w pobliżu pasażerów, kiedy Winnie zaczęła przepychać się przez gąszcz bagaży, więc poluzował smycz, żeby zostać na miejscu. Mężczyzna w czarnej czapce mógł go widzieć przez tłum, ale nie widział Winnie ukrytej między nogami, walizkami i siedzeniami.

Przez sekundę czy dwie nawet Jason nie widział suczki, ale mocno trzymał smycz. Potem poczuł, że smycz znieruchomiała, a następnie rozwinęła się na całą długość.

Winnie gdzieś się zatrzymała.

Jasona ogarnęła panika. Usiłował dojrzeć coś w tłumie, ale w żaden sposób nie mógł przyciągnąć do siebie Winnie. Patrzył ponad głowami i między ludźmi. Minęło kolejne dziesięć sekund. Teraz Jason nie widział już także mężczyzny w czarnej czapce bejsbolówce.



## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

*Państwowy Ośrodek Obrony Biologicznej i Rolnej*

*Georgia*

O'Dell i Creed przeszli przez stanowisko ochrony. Zgodnie z obietnicą Platta, ich nazwiska znajdowały się na liście gości. Maggie próbowała nie wracać do gorącej dyskusji na temat tego, czy Ben powinien im towarzyszyć. Wiedziała, że naprawdę chciał pomóc, ale jego nazwisko na liście gości przyciągnęłoby zbyt wiele uwagi. Prawda była taka, że Platt wciąż ufał pułkownikowi Hessowi, nawet po tym, co wydarzyło się w Karolinie Północnej. Z tego właśnie powodu nie ufała jego opinii na temat Hessa.

Ochroniarz nie wydawał się zainteresowany Grace ani powodem ich wizyty. Kiedy Creed poprosił, żeby powiedział im, jak trafić do osoby, z którą byli umówieni, określił budynek na planie ośrodka i podał go Creedowi.

O'Dell, wykorzystując pobłażliwość ochroniarza, postanowiła zaryzykować i spytała:

– Chciałabym przywitać się ze starym przyjacielem, który niedawno zaczął tu pracować. Może nam pan powiedzieć, w którym budynku pracuje Stephen Bishop?

Ochroniarz najpierw popatrzył na nią, potem wziął do ręki notes i zaczął go wertować. O'Dell wstrzymywała oddech. A jeśli szukał numeru telefonu Bishopa, zamiast budynku? Jeżeli sięgnie po telefon i zadzwoni?

Zobaczyła, że Creed zerka na nią z ukosa, jakby szukał wskazówek, ponieważ nie trzymała się planu. Zauważyła, że prawą ręką ściska przekładnię, jakby szykował się w razie konieczności do wciśnięcia wstecznego biegu. Widziała nawet, że Grace niecierpliwie przebiera przednimi łapami. Wtedy Maggie powoli wsunęła rękę do kieszeni kurtki i wymacała kaburę z bronią.

Strażnik wyciągnął rękę do Creeda, zaskakując ich oboje.

– Poproszę plan – wyjaśnił swój gest. – Zaznaczę budynek doktora Bishopa. Łatwo go znaleźć, jest tuż obok ptaszarni.

Żadne z nich nie powiedziało słowa aż do chwili, gdy Creed zaparkował w zacienionym miejscu w rogu parkingu, z dala od jedynej kamery.

– Czy to nie wydaje się zbyt proste? – spytał Creed.

– Może trochę lekkomyślne – przyznała Maggie. – Ale nie sądzę, żebyśmy mieli dużo czasu. Jeżeli psy znajdą na lotnisku pierwszych nosicieli wirusa, ich obserwatorzy

zaalarmują Shaw. A jeśli ona się przestraszy, to znów zniknie. Szukałam jej przez prawie pół roku i nie chcę jej teraz stracić. – Obejrzała się przez ramię na suczkę i dodała: – Znajdźmy ją, Grace.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

*Międzynarodowe lotnisko Hartsfield-Jackson*

*Atlanta, Georgia*

– Gdzie jest cel? – ni stąd, ni zowąd szepnął ktoś tuż obok.

Jason się wzdygnął. To był Charlie Wurth.

Nadal kombinował, jak sprowadzić Winnie z powrotem bez przepychania się czy ciągnięcia smyczy. Jego serce odmierzało sekundy, a pojawienie się Wurtha wcale go nie uspokoiło. Chciał odzyskać swojego psa. Zniknięcie mężczyzny w czarnej czapce bejsbolówce przyprawiło go o skurcz żołądka.

– Był po drugiej stronie tego rzędu siedzeń. Myślałem, że Winnie się przed nim zatrzymała. Powiedział pan, żebym się nie zbliżał, że mam się trzymać w pewnej odległości.

Uniósł koniec automatycznej smyczy. Ścisnął ją w ręce, kiedy raptem poczuł, że smycz nie jest już tak napięta. Potem rozległ się dźwięk, którego tak się obawiał. Smycz ze świstem zwijała się, przesuając się między nogami pasażerów, od czasu do czasu zaczepiając o bagaż, aż znalazła się cała w plastikowej obudowie, którą trzymał Jason.

Ktoś odpiął ją od obroży Winnie.

– Sukinsyn – syknął Jason.

Wurth przyjrzał się smyczy, a potem spojrział tam, gdzie miała być Winnie. Nagle tak zawsze opanowany zastępca dyrektora zaczął przepychać się między ludźmi, robiąc sobie przejście. Kiedy dwóch mężczyzn pchnęło go w odpowiedzi, pokazał im odznakę, a oni natychmiast unieśli ręce i cofnęli się. Jason szedł za Wurthem. Ciemno mu się robiło przed oczami na myśl, że naraził swojego psa na niebezpieczeństwo. Co się, do diabła, stało?

Wurth nadal wymachiwał odznaką, a nawet pokrzykiwał na pasażerów, żeby usunęli się na boki. Ludzie zaczęli schodzić z drogi szalonemu czarnoskóremu mężczyźnie, który machał czymś w powietrzu, aż rozstąpili się na tyle szeroko, by Jason dojrzał Winnie. Leżała na podłodze między dwoma rzędami siedzeń. Mężczyzna w czarnej czapce bejsbolówce klęczał obok niej z rękami na jej karku. Jason chciał go odpędzić, ale Wurth go powstrzymał.

Mężczyzna podniósł na nich wzrok. Z bliska dostrzegli jego załzawione oczy i zapadnięte policzki. Był mokry od potu. Ale teraz Jason widział, że mężczyzna nie robił

Winnie żadnej krzywdy, tylko głaskał czule raz za razem.

– Taki dobry pies – odezwał się do nich. – Przypomina mi moją Abby. – Otarł ciekący nos i dodał: – Nie mogę tego zrobić. Nie mogę wsiąść do tego samolotu. Jestem bardzo chory. Chcę wrócić do domu, do mojego psa.

Wurth, trzymając telefon przy uchu, powiedział do mężczyzny:

– Nie martw się, kolego. Tylko się stąd nie ruszaj. Zaopiekujemy się tobą. Zabierzemy cię do domu, do twojego psa.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

*Państwowy Ośrodek Obrony Biologicznej i Rolnej*

*Georgia*

Stephen Bishop wsunął kartę do czytnika i otworzył drzwi laboratorium. Tylko troje naukowców miało tu dostęp, ale doktor Sheila Robins wyjechała na jeden dzień, a Getz nie pojawił się tego ranka. Może Hess już coś z nim... albo mu coś zrobił. Bishopa to nie obchodziło. Miał dużo ważniejszych spraw na głowie. Poza tym to pułkownik odpowiadał za Howarda Getza.

Jeden z telefonów na kartę zaczął wibrować. Co się dzieje? Chyba stary nie spodziewał się tak wcześnie nowych wiadomości na temat fazy drugiej.

– Tak?

– Właśnie dostaliśmy informację od jednego z obserwatorów z lotniska – oznajmił Hess, a w jego głosie pobrzmiwały histeryczne nuty. – Aresztowali jednego z nosicieli.

– Niemożliwe – odparł Bishop.

– Mają psy. Już kilku obserwatorów je widziało.

– Zaraz, co się dzieje? Psy patrolujące na lotnisku są wyszkolone do poszukiwania materiałów wybuchowych i narkotyków.

– Ty mi powiedz, co się dzieje. Jesteś naukowcem.

– Musimy przerwać akcję – powiedział w końcu Bishop.

– Niby jak? Niektórzy właśnie teraz, właśnie w tej chwili wchodzą na pokład samolotów.

– Ściągnijcie ich z powrotem. Niech obserwatorzy ich wycofają. Chcesz, żeby zatrzymano więcej osób? Chcesz ryzykować, że powiedzą coś władzom? Do tej pory nie znaleźliście tej dziewczyny z Nowego Jorku. Mówię ci, jeśli któryś z nich zostanie złapany, będą w stanie doprowadzić władze do tego laboratorium. – Bishop urwał, gdy zdał sobie z tego sprawę. To już nie było bezpieczne miejsce. Ile czasu minie, zanim odkryją, gdzie nosiciele zostali zarażeni?

– Musisz wszystko odwołać – oznajmił Hess. – Wyślę Tabora, żeby się zajął tobą i doktor Robins.

– Okej. – Bishop z ulgą zakończył rozmowę, a potem nagle przypomniał sobie, że Hess użył tych samych słów, mówiąc o doktorze Howardzie Getzu. Że wyśle Tabora, żeby się

nim zajął. Co to znaczy?

Hess dbał tylko o siebie, o swój interes. Wybrał naukowców i pozwolił im korzystać z laboratoriów oraz biur w tym ośrodku badawczym. Przejął kontrolę nad obserwatorami, a nawet przygotował nową listę dla nosicieli wirusa. Stopniowo, posługując się manipulacją, przejmował całkowitą kontrolę nad projektem, który zainicjował Bishop i który był dziełem jego życia. Teraz Bishop to widział, a pamiętał, jak pułkownik „odwoływał” inne projekty, w których coś poszło nie tak.

Zaczął pakować małą teczkę, włożył tam kilka woreczków i strzykawek napełnionych wirusem. Istnieją sposoby, żeby to replikować i zacząć od nowa. Te strzykawki będą jego ubezpieczeniem i w razie konieczności posłużą jako jedyna dostępna mu broń.

Zaczął otwierać drzwi laboratorium, żeby wziąć wszystko, co niezbędne z narożnego gabinetu, ale na dźwięk zbliżających się kroków przystanął. Ktoś szedł szybkim krokiem, stukając o posadzkę. Bishop zamknął drzwi i zerknął przez małą szybę w górnej części drzwi.

Korytarzem szli mężczyzna, kobieta i mały pies.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Creed nie spuszczał oczu z Maggie i Grace. Już wcześniej widział, jak Maggie podejmowała ryzyko. Może pod tym względem byli do siebie podobni. Kiedy wierzyli, że robią, co należy, bez zastanowienia ryzykowali własne zdrowie i życie. Tak, czasami to było lekkomyślne i niebezpieczne, ale istniała jedna poważna różnica. Creed nie zamierzał ryzykować zdrowia i życia swojego psa. Więc nie podobał mu się pomysł, by iść prosto do gabinetu doktora Stephena Bishopa alias doktor Clare Shaw i zapukać do drzwi.

Widział, do czego była zdolna Shaw. W Karolinie Północnej pomagał odnaleźć ciała osób, które zginęły podczas lawiny błotnej. Wszyscy dostali kulę w głowę. Ale ciała ochotników Shaw po eksperymentach, jakim ich poddawała, były pokryte czerwonymi obrzękniętymi plamami. Na ich czaszkach widniały ślady w miejscach, gdzie umieszczano elektrody. Jedyny człowiek, który przeżył, Daniel Tate, cierpiał na halucynacje.

Tak, ci ludzie zgłosili się na ochotnika i byli opłacani tak samo jak Tony Briggs, Christina Lomax czy Izzy Donner, lecz Shaw przekroczyła granice etyki zawodowej naukowca. Nie miała dla swoich ochotników żadnego szacunku.

Creed patrzył na Maggie, gdy kierowali się do narożnego gabinetu na końcu korytarza. Prawą rękę trzymała pod kurtką. Wiedział, że broń daje jej pewność siebie. Miał jednak przeczucie, że kule nie mogą konkurować z tym, czym mogłaby posłużyć się Shaw podczas próby ucieczki.

Maggie musiała dostrzec jego niepokój.

– Tylko ją zidentyfikujemy – powiedziała cicho, niemal szeptem. – Potem ty i Grace wycofacie się w bezpieczne miejsce.

– Nie zamierzam...

– Proszę, Ryder, obiecaj mi to.

Skinął głową i mocniej ścisnął smycz. Celowo nie włożył suczce żadnej kamizelki, która mogłaby zwrócić na nią uwagę. W dziupie wyjął wszystkie rzeczy Shaw z zamkniętego szczelnie worka i rzucił je do bagażnika, a potem pozwolił Grace się nimi zająć, pogrzebać w nich łapą, wsadzić nos głęboko do jednego z butów. Było tam mnóstwo zapachów, ale Grace potrafiła wyodrębnić jeden z nich, ten dominujący, ten wspólny dla wszystkich przedmiotów. Robiła to już wiele razy i doskonale знаła procedury. Kiedy była gotowa, siadała i podnosiła na niego wzrok.

Już prawie dotarli do narożnego gabinetu. Creed zobaczył, że Grace szura nosem po kaflach podłogi. Potem odchyliła łeb, uniosła i opuściła nos, jakby sprawdzała zapach powietrza. Widział, że jej oddech przyśpieszył, klatka piersiowa szybciej unosiła się i opadała. Minęli jedne drzwi, a Grace się zatrzymała. Przy drzwiach był domofon z kodem dostępu. Żadnych innych tabliczek ani napisów, że znajdują się na terenie, gdzie wstęp jest wzbroniony.

Grace się zawahała, obwąchała podłogę i framugę drzwi. Maggie szła dalej do narożnego gabinetu, spodziewając się, że Grace i Creed za nią pójdą. Odwróciła się i przystanęła. Jej wzrok padł na domofon w tej samej chwili, kiedy Grace znów ruszyła przed siebie. Pies szedł powoli, minął Maggie, zatrzymał się i jakby zastanowił nad drzwiami z zabezpieczeniem, po czym ruszył do narożnego gabinetu.

Maggie zastukała do drzwi, dając Creedowi znak, żeby stanął z Grace z boku. Kiedy nikt nie odpowiedział, wyjęła glocka i nacisnęła klamkę. Creed widział, że klamka łatwo się poddała. Pociągnął Grace pod ścianę. Maggie ramieniem pchnęła drzwi i weszła do środka z wyciągniętą przed siebie bronią.

Była wewnątrz ledwie parę minut, kiedy odezwał się alarm w korytarzu. Creed zobaczył nad drzwiami mrugające czerwone światło. Wszystkie drzwi wzdłuż ściany zaczęły się otwierać. Pracownicy naukowcy, niektórzy w codziennym stroju, inni w białych laboratoryjnych fartuchach wychodzili na korytarz. Niektórzy zadawali sobie nawzajem pytania, które w tym hałasie trudno było słyszeć.

Maggie wyszła z pokoju.

– Nie ma jej tam! – krzyknęła do Creeda. – Co się, do diabła, dzieje?!

Z sąsiedniego gabinetu wyszedł mężczyzna i powiedział:

– Alarm przeciwpożarowy. Z tych laboratoriów najlepiej szybko się wynieść, nie zastanawiając się, czy alarm jest fałszywy. – Ruszył za innymi.

Creed chciał wziąć Grace na ręce, ale mu się wyrwała. Była tak szybka, że omal nie wyrwała mu smyczy z ręki. Pobiegnął za nią, oglądając się przez ramię i bezgłośnie mówiąc do Maggie:

– Shaw!



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Clare Shaw wykorzystała krótką chwilę, którą miała do dyspozycji, by zrzucić z siebie kostium Stephena Bishopa. W rekordowym tempie zdjęła marynarkę, krawat, koszulę i spodnie. Nieco dłużej rozpiniała i ściągała elastyczne body, które spłaszczało piersi, za to gdzie indziej dodawało ciała szczupłej figurze. Zdjęła okulary w ciężkich oprawkach i oderwała brodę, drapiąc palcami po gładkiej twarzy, żeby pozbyć się resztek kleju.

Na szczęście doktor Sheila Robins miała zwyczaj zostawiać w swojej szafce ubranie na zmianę. Shaw i Robins były mniej więcej tych samych wymiarów. Jedyne, co nie całkiem pasowało, to buty. Zamiast wciskać stopy w zbyt ciasne pantofle, Shaw zostawiła na nogach mokasyny Bishopa. Jeśli miała uciekać, musi być w stanie biec. Czekala ją długa przeprawa przez las, zanim dotrze do starego drewnianego domu, gdzie zmagazynowała to wszystko, czego będzie potrzebować na wypadek, gdy nastanie taki dzień, jaki właśnie nastął.

Na koniec włożyła długi biały fartuch laboratoryjny doktor Robins, a potem przejrzała się w lustrze. Przeczesala palcami krótkie włosy. Niektóre nadal sterczały, lecz wyglądały raczej modnie niż niechlujnie. Nawet bez makijażu, w obcisłym swetrze i prostych dzinsach bez wątplenia wyglądała jak kobieta. Mokasyny były ostatnim detalem, na który ktokolwiek zwracałby uwagę.

Mimo to czuła, że musi sobie jeszcze jakoś pomóc. Właśnie wtedy wpadła na pomysł, by uruchomić alarm pożarowy.

Odczekała, aż część kolegów wyjdzie z gabinetów i laboratoriów, dopiero potem otworzyła drzwi. Szybkim krokiem ruszyła korytarzem, mijając innych, i skierowała się do pierwszego wyjścia. Zanim drzwi się za nią zamknęły, przed gabinetem Bishopa dojrzała mężczyznę z psem. Choć pies się rzucił, mężczyzna najwyraźniej jej nie zauważył.

Shaw ruszyła schodami na dół. Musiała jeszcze, zanim zniknie w lesie, zajrzeć po drodze w jedno miejsce.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

O'Dell szukała osoby, która pasowałaby do opisu Bishopa. Kiedy Grace poderwała się naprzód, pomyślała, że suczka przestraszyła się alarmu. Jej pazury stukały i ślizgały się na posadzce, ciągnęła Creeda mocniej, niż chciał jej pozwolić. Powtarzał, by zwolniła, ale Grace go nie słuchała.

Potem Creed odwrócił się, by się upewnić, że O'Dell za nimi idzie.

A jej się wydawało, że bezgłośnie powiedział:

– Shaw.

Czy to możliwe, że doktor Shaw włączyła alarm i zdołała się wymknąć?

Grace najwyraźniej tak właśnie myślała.

Korytarz był już pełen ludzi, naukowców i personelu pomocniczego, którzy opuszczali laboratoria i biura. Z powodu głośnego alarmu nie słyszeli Maggie, która krzyczała, żeby zeszli jej z drogi. Creed starał się trzymać Grace blisko ściany. Pies wciąż ciągnął, ale Creed nie mógł się precyzyjnie przemieszczać przez tłum wystarczająco szybko, by mogła przyśpieszyć. Kiedy pracownicy ośrodka dotarli do najbliższego wyjścia i zaczęli schodzić po schodach, wyminięcie ich było w ogóle niemożliwe.

Maggie widział Grace, która ciągnąc smycz, schodziła na dół stopień po stopniu. Obroza niemal ją dusiła, ponieważ Creed znajdował się jakieś trzy czy cztery stopnie wyżej.

O'Dell torowała sobie drogę, żeby ich dogonić. U szczytu schodów klepnęła w ramię kilka osób i pokazała broń. To ich przestraszyło, więc odsunęli się na bok, a kiedy znalazła się tuż za Creedem, pośpieszyła dalej, w ten sam sposób pozbywając się z drogi tych, którzy zajmowali schody. Na widok broni szeroko otwierali oczy, bledli, parę osób omal się nie potknęło, ale przynajmniej zrobili im przejście.

Grace czekała niecierpliwie przy drzwiach wyjściowych. Creed otworzył drzwi. Pies zawahał się tylko na moment, wachając powietrze. Kiedy O'Dell precyzyjnie się przez drzwi, zauważyła wylewające się innymi wyjściami gromadki ludzi. Wszyscy śpieszyli w stronę parkingów. Grace szarpnęła się, ale ruszyła w inną stronę. Creed biegiem dotrzymywał jej kroku, jednak Maggie czekała.

Coś jej się nie podobało. Jeśli Shaw wiedziała, że tu byli, i jeśli to ona uruchomiła alarm, to dlaczego nie pobiegła na parking, by jak najszybciej wsiąść do samochodu i uciec?

Creed i Grace kierowali się w stronę jakiejś dziwnej budowli otoczonej ogrodzeniem z łańcucha. Już prawie dotarli do bramy, gdy rozległ się głośny szum. Nad budynkiem wybrzuszyła się i uniosła ogromna siatka, a spod niej z głośnym świergotem wyleciały setki ptaków, trzepocząc skrzydłami. Na moment niebo zrobiło się czarne od ptaków.

Creed przystanął i patrzył, mocno trzymając smycz Grace. Mały pies wydawał się zirytowany tą przerwą i nie zwracał uwagi na stada ptaków w górze.

O'Dell dołączyła do Creeda. Ani ona, ani on nie powiedzieli ani słowa, ale kiedy minęli bramę, już nie biegli, lecz szli.

Grace prowadziła ich do otwartej ptaszarni, którą ptaki właśnie opuściły. O'Dell nie mogła uciec od myśli, że Shaw uwolniła ostatnią partię zarażonych ptaków migrujących, podjęła ostatnią próbę wprowadzenia zamętu i dokonania katastrofalnych szkód. Ptaszarnia miała wielkość boiska do piłki nożnej. Zamiast dachu była tam siatka przyczepiona do metalowych belek, a na środku, gdzie została uniesiona, jakiś mechanizm uwolnił zasuwę. Najpewniej Shaw zdalnie tym sterowała na przykład za pomocą pilota.

Ptaki już odleciały, w powietrzu fruwały tylko pojedyncze pióra, ale nozdrza Grace wciąż pracowały. Tyle że już się nie śpieszyła. Zakręciła się, drapała w drewnianą podłogę, i właśnie wtedy O'Dell zdała sobie sprawę, że stoją na ptasich odchodach. Że wdychają zapach odchodów ptaków najprawdopodobniej zarażonych wynalezionym przez Shaw szczepem ptasiej grypy.

Grace okręciła się o sto osiemdziesiąt stopni i ruszyła z powrotem do wejścia. O'Dell dojrzała błysk bieli.

– Stój! – wystrzeliła, celując w drzewa nad drzwiami, i ku jej zdumieniu postać się zatrzymała.

Włosy miała krótko ostrzyżone i ciemniejsze, ale O'Dell i tak rozpoznała Shaw. Maggie była zaskoczona, że poszukiwana doktor pozbyła się męskiego przebrania, ale oczywiście Shaw wiedziała, że szukali Stephena Bishopa, więc próbowała być sprytna i ponownie przeistoczyła się w samą siebie.

– Czy to ptaki mnie zdradziły? – spytała Shaw, ruszając do nich.

– Proszę zostać na miejscu i wyjąć ręce z kieszeni – rozkazała O'Dell, ale Shaw wciąż ku nim szła.

– To Grace – powiedział Creed, biorąc małą suczkę na ręce.

Maggie kątem oka dostrzegła, że z torby na ramieniu dyskretnie wyjął różowego słonika

i dał go Grace. To była jej nagroda. Grace wzięła słownika i zaczęła się nim bawić, aż zapiszczał. Chciała zejść na ziemię, ale Creed trzymał ją mocno przy sobie, chroniąc przed ptasimi odchodami.

– Te psy na lotnisku – powiedziała spokojnie Shaw, kiwając głową w stronę suczki, jakby w końcu zrozumiała. – Nauczyliście je wykrywać wirusa. – Zatrzymała się przed nimi, nadal jakby ignorując wymierzoną w jej pierś broń.

– Proszę wyjąć ręce z kieszeni – powtórzyła O'Dell.

Shaw zaczęła je powoli wyciągać, a Maggie zauważyła, że Shaw coś w nich trzyma. Ale nie był to nóż ani broń palna, tylko małe plastikowe woreczki, które wyglądały tak samo niewinnie jak wszystkie inne szczelnie zamykane plastikowe woreczki. Na moment tak bardzo zaskoczyły O'Dell, że się zawahała, a wtedy Shaw wykorzystała tę darowaną sekundę czy dwie i rzuciła w nich otwartymi woreczkami, które trafiły w O'Dell i Creeda. Choć zasłonili się rękami, zawartość zdążyła rozprysnąć się w powietrzu. Wyglądała jak krew.

Shaw znów zyskała kilka sekund, odwróciła się więc i zaczęła uciekać. Ale O'Dell tym razem się nie zawahała. Drugi raz nie pozwoli jej uciec. Otarłszy z twarzy krew, odetchnęła głęboko, wycelowała i dwa razy nacisnęła spust.

**WTOREK**

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

### *Florida Panhandle*

Jason właśnie skończył pracę w psiarni. Po raz pierwszy robił to wszystko sam, bez Creeda. Wyglądało na to, że będzie musiał do tego przywyknąć. Bolało go ramię, bo nabrał zwyczaju podnoszenia worków z psią karmą i trzymania ich pod pachą. Niósł je, przyciskając do boku kikutem, a drugą otwierał bramki i drzwi. Właściwie całkiem nieźle mu to szło, choć ciało jeszcze do tego nie przywykło.

Szedł właśnie do domu na kawę z Hanną i doktor Avelyn, kiedy zobaczył lśniącego czarnego SUV-a, który jechał drogą między drzewami. Przypomniawszy mu się agent Tabor i natychmiast poczuł ucisk w żołądku.

Dotarł do tylnych drzwi domu w chwili, gdy SUV pokonał ostatni zakręt na długim podjeździe.

– Mamy towarzystwo – powiedział.

Jednak Hanna nie zdziwiła się tą wieścią, tylko podeszła do kredensu i wyjęła kolejny kubek do kawy.

– Upiekłam blachę bułeczek z orzechami pekan. – Wskazała kuchenny stół, gdzie talerz z bułeczkami stał wśród papierów, nad którymi pracowała razem doktor Avelyn.

Zapach świeżego pieczywa, cukru i cynamonu sprawił, że Jasonowi ślinka napłynęła do ust. Już zapomniał o ścisisku w żołądku. Smarował bułkę masłem, kiedy Hanna otworzyła tylne drzwi i zawołała gościa.

Kiedy Jason ostatnio widział Charliego Wurtha, ten się przepychał między ludźmi i wrzeszczał, żeby zeszli mu z drogi. Teraz powitał Hannę, doktor Avelyn i Jasona szerokim uśmiechem. Miał na sobie ciemne spodnie, jasnoniebieską koszulę i krawat w paski. Rękawy koszuli podwinął, okulary przeciwsłoneczne przesunął na czubek głowy. Jason zaczął się podnosić, ale Wurth gestem poprosił, żeby siedział.

– Naprawdę nieźle tu pachnie – powiedział do Hanny. – Nie jest pani typowym zleceniobiorcą, z jakimi przywykłem pracować.

Jason zerknął na Hannę. Nigdy nie widział u niej takiej miny, jakby pochwały Wurtha ją zdenerwowały.

– Jak się ma Rye? – spytała, wskazując krzesło Wurthowi.

Nalała mu i Jasonowi kawę, a doktor Avelyn zaproponowała dolewkę.

– Wciąż przechodzą badania. – Wurth rzucił na stół szarą kopertę, ale nadal stał, czekając, aż Hanna zajmie swoje miejsce.

– Kiedy z nim rozmawiałam, był bardzo zdenerwowany, rozpoznałam to po głosie. Nie przyzna się do tego, ale myślę, że po przygodzie z lawiną błotną, pod którą się znalazł, cierpi na klaustrofobię.

– Wiedzą już, czy ta krew, którą Shaw w nich rzuciła, pochodzi od zarażonych ptaków? – spytała doktor Avelyn.

– Pułkownik Platt w to nie wierzy, ale są bardzo ostrożni.

Wurth wziął do ręki kopertę i uderzył nią w otwartą dłoń. Jason pomyślał, że zastępca dyrektora bardzo się niecierpliwi i chce jak najprędzej wyjaśnić powód swojej wizyty.

– Chciałem wam wszystkim raz jeszcze podziękować. Jak wiecie, pan Creed postawił twarde warunki, żeby wszystko mogło się tak potoczyć, jak się potoczyło, no i okazało się warte każdego centa. Nie mogę już się doczekać, kiedy znów będziemy razem pracować. Ale pozostał jeden punkt naszej umowy, który muszę zrealizować.

Wurth zaskoczył Jasona, wręczając mu kopertę.

Jason przeniósł wzrok z Wurtha na Hannę i doktor Avelyn, a potem z powrotem na Wurtha, zanim odstawił kubek z kawą. Po chwili wahania wziął do ręki kopertę.

– Co to jest? – spytał.

– Coś, co pana szef koniecznie chciał zawrzeć w umowie.

Jason znów spojrzał na Hannę, a ona powiedziała niecierpliwie:

– No otwórz wreszcie.

Jason wyjął folder i otworzył go, ale nadal nie miał pojęcia, na co patrzy. Z jednej strony było oficjalne pismo z Uniwersytetu Johna Hopkinsa z instrukcjami zawierającymi daty i godziny. Z drugiej strony włożono kilka broszur. Na jednej z nich na górze widniał wydrukowany napis DARPA. Jason wyciągnął tę broszurę. Na pierwszej stronie znajdował się rysunek przedstawiający protezę ręki. Jason szybko to przejrzał, w oczy rzuciły mu się frazy: „rewolucyjny program protetyczny”, „wrażenie dotyku”, „kontrolowane umysłem”, „sprawna ręka”.

– Nie rozumiem – odezwał się w końcu.

– To najnowocześniejsza technologia – odparł Wurth. – Powiedziano mi, że trzydziestu pięciu ochotników przeszło test śpiewająco. – Sięgnął przez stół i postukał w wizytówkę przypiętą do drugiej strony dokumentu. – Jest pan umówiony, ale jeśli chce pan zmienić

termin, proszę do mnie zadzwonić. Jakiś tydzień zajmą przymiarki i dopasowanie, no i trochę czasu minie, zanim się pan przyzwyczai. Ma pan zarezerwowany hotel razem ze swoim psem.

– Z psem?

– Podobno ma pan psa, którego zechce pan ze sobą zabrać.

Jason spojrzał na Hannę. Nie mógł w to uwierzyć. Myślał o Tonym i zbliżającym się pogrzebie, o tym wszystkim, co razem przeszli. Niemal całe swoje życie szedł w ślady Tony'ego, a przez minione kilka dni starał się sobie wyobrazić, jak dalej żyć bez przyjaciela. Może to był dobry początek.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Spojrzał na Hannę.

Ujęła jego dłoń i ścisnęła, z uśmiechem powściągając łzy.



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

*Oddział Chorób Zakaźnych*

*CDC, Centrum Kontroli i Prewencji Chorób*

*Atlanta, Georgia*

Creed miał już dość noszenia szpitalnej koszuli. Nikt mu nie chciał powiedzieć, jak długo jeszcze będzie tu tkwił. Martwił się o Grace. Przekazali mu tylko, że pies ma się dobrze, ale nie pozwolili mu jej zobaczyć.

Pozwolili mu za to minionego wieczoru porozmawiać przez telefon z Hanną. Wiedział, że się denerwowała, zwłaszcza kiedy usłyszała, że zostali z Maggie spryskani krwią. Poinformowano go, że krew nie była zakażona wirusem, jednak przedsięwzięto dodatkowe środki ostrożności. Zatrzymano ich na wszelki wypadek z powodu ptasich odchodów w ptaszarni, gdzie wdychali powietrze najpewniej skażone przez ptaki zarażone ptasią grypą.

Hanna powiedziała Creedowi, że Tillie wykryła pierwszego nosiciela wirusa, on zaś jej opowiedział, jak Grace znalazła doktor Shaw. Hanna chwaliła też pracę Jasona i Winnie. W sumie pomogli wykryć trzech nosicieli. Nie mieli pojęcia, czy jest ich więcej.

Creed nie wyłączał telewizora. Tylko to gadające, grające i migające barwami urządzenie powstrzymywało przed szaleństwem wynikłym z nudów i poczucia zamknięcia, przed wariackim wspinaniem się po białych ścianach oddziału chorób zakaźnych.

Charlie Wurth i Benjamin Platt zdołali utrzymać w tajemnicy powód zamieszania i zatrzymań na lotnisku w Atlancie, mimo to zaczęły krążyć plotki i pojawiły się podejrzenia dotyczące nowej grypy, na którą zachorowały setki mieszkańców Chicago i Nowego Jorku. Pracownicy CDC odnotowali dziewięć przypadków śmiertelnych, choć twierdzili, że szczep nie jest tak silny jak początkowo przypuszczano.

Nikt jednak nie mówił o ptasiej grypie, żaden z dziennikarzy nie dostrzegł związku nawet po kilku zgłoszeniach o spadających z nieba ptakach. Na jednym z kanałów Amee Rief, biolog z Służby Połowu i Dzikiej Przyrody Stanów Zjednoczonych, była pytana o to dziwne zjawisko. Creed słuchał jej przez chwilę, aż zdał sobie sprawę, że Charlie Wurth kontrolował także tę opowieść.

Oczywiście większość nadawanych na okrągło wiadomości koncentrowała się na Waszyngtonie, gdzie pułkownik Abraham Hess, legendarny dyrektor DARPA, ustępował ze stanowiska. Wersja oficjalna głosiła, że Hess w końcu przechodzi na zasłużoną emeryturę,

ale pojawiły się spekulacje, że jego rezygnacja została wymuszona. Dziennikarze dotarli również do agenta DARPA Lawrence'a Tabora, który został aresztowany za zabójstwo szeryfa Wyliego. Tabor był też przesłuchiwany w sprawie podejrzanej śmierci doktora Howarda Getza, którego auto znaleziono w wąwozie niedaleko ośrodka badawczego, gdzie pracował.

Creed pokręcił głową. Żadna z tych informacji go nie zdziwiła. Myślał o tym, że działanie Hessa, mające na celu zakamufłowanie eksperymentów, w sumie tak bardzo nie różniło się od tego, co robili Charlie Wurth, Benjamin Platt i CDC. Wszyscy byli w tym tacy dobrzy.

Znamienny fakt, że pułkownik wprawdzie zrezygnował ze stanowiska, ale nie został wyprowadzony w kajdankach, mówił więcej o jego umiejętności przetrwania niż o talencie do tuszowania prawdy. Hess twierdził, że Tabor działał samodzielnie, a nie na podstawie jakichś wydanych mu czy choćby sugerowanych poleceń. Oczywiście to mogło się zmienić, kiedy doktor Clare Shaw wyleczy rany postrzałowe i zacznie opowiadać o zaangażowaniu Hessa. Pewnie wszystko zależało od tego, ile na temat DARPA, jego ośrodków i programów badawczych będzie chciał ujawnić rząd federalny.

Rozległo się stukanie w szybę. Creed miał ochotę odesłać ich do diabła. Jak na jeden dzień pobrali już od niego dość krwi i śliny do badania. Kiedy jednak podniósł wzrok, ujrzał Maggie, która stała za grubą szybą oddzielającą jego pokój od sąsiadujących pomieszczeń. Miała na sobie identyczną jak on szpitalną koszulę, a pod pachą trzymała Grace. Za jej plecami Creed rozpoznał Benjamina Platta, choć był ubrany w niebieski kosmiczny kombinezon.

Platt pokazał Creedowi, żeby odsunął się od drzwi. Creed poczuł wymianę powietrza, kiedy szczelnie zamknięte drzwi się otworzyły. Maggie weszła do środka z wijącą się na rękach Grace. Postawiła ją na podłodze, a Grace niemal natychmiast wskoczyła Creedowi na rękę.

– Macie dwie godziny – poinformował Platt stłumionym przez osłonę głosem i zamknął drzwi.

– Namówiłam go do tego – powiedziała Maggie. – On wie, jak bardzo nie znoszę izolatek. – Gdy Creed tylko na nią patrzył, spytała zaniepokojona, że może przekroczyła jakąś granicę: – Chyba nie masz nic przeciw, co?

– Mam, przecież wiesz, że jestem samotnikiem.

– Namówiłam go też, żeby nam przyniósł pizzę.

Na te słowa uśmiechnął się i odparł:

– To dobry człowiek.

– Tak, to prawda – przytaknęła, ale w jej głosie było coś smutnego, jakaś żalność.

Usiadła na kanapie w rogu, gdzie natychmiast wskoczyła Grace. Dżentelmen powiedziałby jej, że powinna lepiej zawiązać sobie na plecach szpitalną koszulę. Może Creed wspomni o tym, jak będzie wychodziła.

## OD AUTORA

Większość moich czytelników wie, że bardzo lubię wszelkie prace przygotowawcze, zanim usiądę do pisania powieści. Czasami nawet trudno mi zmusić się do tego, żeby w końcu usiąść i pisać. Ale choć przygotowania do napisania tej powieści były fascynujące, muszę wyznać, że obudziły też we mnie niepokój, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyłam i nie spodziewałam się doświadczyć.

Pomysł wykorzystania w jednej z moich powieści wykrywających węchem wirusa psów pojawił się, kiedy odkryłam In Situ Foundation. Organizacja ta od ponad dwunastu lat korzysta ze specjalnie wyszkolonych psów do wykrywania u ludzi wczesnego stadium raka (zobacz więcej na [dogsdetectcancer.org](http://dogsdetectcancer.org)). Opublikowane rezultaty ich działań naprawdę robią wrażenie. W wielu wypadkach psy są w stanie wykryć pewne typy raka – choćby płuc, piersi, prostaty – wcześniej i z większą dokładnością niż popularny sprzęt medyczny i dostępne obecnie testy laboratoryjne.

Psy są już wykorzystywane do wykrywania zbliżających się ataków epilepsji i niebezpiecznego spadku insuliny w organizmie chorego. Są także w stanie wykryć w ludzkim organizmie obecność bakterii *Clostridium difficile*, zanim pojawią się symptomy choroby. Wydaje się, że wszystko zależy wyłącznie od treserów i ich zdolności komunikowania psom swoich oczekiwań. To niezwykle ekscytujące.

TSA, Amerykańska Federalna Administracja Bezpieczeństwa Transportu, przygotowuje się do zaangażowania dodatkowo setek psów na lotniskach, żeby pomóc nam przyspieszyć odprawę. Ale być może to tylko kwestia czasu, zanim psy zaczną wykrywać też ebolę, gruźlicę i inne niebezpieczne patogeny, które dostają się do naszego kraju. Prawdę mówiąc, pojawiły się spekulacje, że kolejny atak terrorystyczny będzie atakiem z wykorzystaniem broni biologicznej i nosicieli wirusa. Jeśli to nie brzmi dość przerażająco, dodam, że CDC, Centrum Kontroli i Prewencji Chorób, przyznało, że mogą nie być na to przygotowani. Mówi się, że huragan Katrina był trudną lekcją, jeśli chodzi o ewakuację całego miasta, a CDC sugeruje, że dopiero prawdziwy wybuch epidemii śmiertelnego wirusa nauczy nas, jak poddać całe miasto kwarantannie.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że jednym z tych śmiertelnych wirusów będzie właśnie ptasia grypa? Szczepy, które pojawiły się w Stanach Zjednoczonych, różnią się od

szczepów azjatyckich i euroazjatyckich, co – jak się wydaje – dowodzi, że wirus ulega częściej i szybkiej mutacji. Naukowcy twierdzą, że to tylko kwestia czasu, zanim wirus ptasiej grypy będzie się przynosił drogą powietrzną. Prawdę mówiąc, naukowcy już stworzyli w laboratoriach szczep, który łatwo przynosi się na ludzi i może być przekazywany drogą powietrzną. Zrobili to z nadzieją na stworzenie szczepionki, ale jeśli wirus ulega tak szybkim zmianom, jak możemy stworzyć zapas szczepionki?

Ptasia grypa nie pojawiała się od lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Istnieje pogląd, że szczep H1N1, odpowiedzialny za pandemię w roku 1977, który uległ mutacji i nadal krąży, przypadkiem wy dostał się z laboratorium w Rosji albo w Chinach. Kto może nas zapewnić, że taka sytuacja się nie powtórzy? W ciągu minionych lat laboratoria badawcze USA zaślęnęły pomyłkowym wysłaniem żywych kultur wąglika oraz próbek bakterii wywołujących dżumę. W dwa tysiące czternastym roku belgijska fabryka szczepionek przypadkiem spuściła stężoną zawiesinę wirusów polio do lokalnych ścieków. To tylko parę przykładów, ale można by ich przytoczyć o wiele więcej, zresztą niektóre zostały ukryte.

Tak oto mój pomysł, żeby napisać historię o Ryderze Creedzie i jego psach, które potrafią wykryć u ludzi obecność wirusa z przerażającej fikcji zamienił się w jeszcze bardziej przerażającą rzeczywistość. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo wymyślona przeze mnie opowieść jest bliska prawdy – że naprawdę tylko kilka kroków może nas dzielić od pandemii ptasiej grypy będącej skutkiem zaplanowanego ataku terrorystycznego albo zwyczajnego wypadku w jakimś laboratorium.

Po napisaniu mniej więcej jednej trzeciej powieści coś jeszcze mnie uderzyło. Psy potrafią wyczuć węchem raka i cukrzycę, a także bakterię *Clostridium difficile*, nie zarażając się tymi chorobami. Ale czy są w stanie wykryć ptasią grypę i przy okazji się nią nie zarazić?

Nagle udzieliła mi się panika Creeda. I to jedno pytanie kazało mi wrócić do poszukiwań i dociekań, które by na nie odpowiedziały. Wciąż nie jestem pewna, czy znalazłam odpowiedź.

# PODZIĘKOWANIA

Jak w przypadku każdej mojej powieści, jestem winna podziękowania wielu różnym osobom.

Dziękuję zatem:

Nade wszystko Deb Carlin i reszcie paczki, do której należą: Duncan, Boomer, Maggie i Huck. Jesteście moją inspiracją, moim sercem i duszą.

Przyjaciołom i rodzinie, którzy cierpliwie znosili długie okresy mojej nieobecności i wciąż mnie kochają, wciąż są dla mnie oparciem. A są to: Marlene Haney, Sandy Rockwood, Patti i Martin Bremmerowie, Patricia Sierra, Sharon Kator, Maricela i Jose Barajasowie, Patti El-Kachouti, Diane Prohaska, dr Elvira Rios, Linda i Doug Buckowie, Leigh Ann Retelsdorf i Pat Heng, Annie Belatti, Cari Conine, Lisa Munk, Luann Causey, Christy Cotton, Patti Carlin.

Amee Rief, przyjaciółce i znakomitej biolog, dziękuję za pozwolenie wykorzystania jej nazwiska i wiedzy oraz obdarzenia nimi mojej bohaterki. Kiedy spytałam Amee, czy mogę użyć jej nazwiska, fikcyjna postać Amee odgrywała w tej opowieści niewielką rolę, ale zanim się zorientowałam, zaczęła mieć o wiele większe znaczenie. A zatem jeśli popełniłam jakieś błędy, to moja wina, a nie wina Amee.

Dziękuję przyjaciółkom i autorkom: Sharon Car, Erice Spindler i J. T. Ellison, dzięki którym ta praca jest trochę mniejszym szaleństwem.

R. J. Russell pragnę podziękować za wspaniały talent i zrozumienie, które okazała, tworząc filmową wizję świata Rydera, Grace i Maggie.

Raz jeszcze dziękuję Rayowi Kunze'owi za użyczenie swojego imienia i nazwiska szefowi Maggie.

Penelope Wilson i Penny Clemence pragnę wyrazić wdzięczność za to, że pozwoliły mi nazwać przyjaciółkę Creeda i miłośniczkę psów Penelope Clemence.

Moje psy wiele zawdzięczają cudownym weterynarzom, którzy stali się moimi przyjaciółmi, a także bezcennym źródłem informacji podczas pisania tej serii. Specjalnie słowa podziękowania należą się dr Enicie Larson i jej zespołowi w Tender Care Animal Hospital oraz dr Tonyi McIlney i personelowi Veterinary Eye Specialists of Nebraska.

Kolejny raz chcę podziękować dr Larson nie tylko za cierpliwe odpowiedzi na moje

czasami szalone pytania dotyczące psów, ale także za to, że mogłam wykorzystać imiona jej dzieci, Avelyn Faye i Aydena Parkera, nadając imię i nazwisko mojej powieściowej lekarce weterynarii Avelyn Parker. Avelyn Parker stała się integralnym elementem serii powieści o Ryderze Creedzie. Avelyn zdecydowanie ratuje sytuację... i psy.

Skoro mowa o psach – tym razem pozwolę sobie na specjalne podziękowania. Powieściowa Tillie odziedziczyła imię po siedemnastoletnim czarno-białym cocker spanielu moich przyjaciół i sąsiadów Dana i Pauli Nielsen, który odszedł wcześniej tego roku. Tillie uwielbiała biegać wzdłuż ogrodzenia z moimi psami. Wszyscy bardzo za nią tęsknimy. Z kolei Winifred (Winnie) została tak nazwana na cześć ukochanego jasnego labradora mojej czytelniczki Patricii Lauer. Oczywiście Scout, młody czarny labrador Jasona, nosi imię mojego Scouta, westhighland teriera, którego straciłam w dwa tysiące czternastym roku.

Wyrazy wdzięczności kieruję do mojego agenta Scotta Millera i jego koleżanki Claire Roberts z Trident Media Group. Do moich wydawców Ivana Helda, Sary Minnich, Christine Ball, Alexis Welby, Lauren Lopinto i Eleny Hershey z Putnam. A także do Davida Shelleya, Catherine Burke, Jade Chandler i Katherine Armstrong z Little, Brown/Sphere.

Jak zwykle dziękuję wszystkim księgarzom, bibliotekarzom, klubom książki i blogerom za to, że wspominają o moich książkach i polecają je.

Wielkie podziękowania dla wszystkich członków VIR Club, przyjaciół z Facebooka i wiernych czytelników. Jestem zaszczycona, że mając taką liczbę i różnorodność doskonałych powieści do wyboru, wciąż czytacie moje opowieści. Bez was nie miałabym szansy dzielić się moimi zakręconymi historiami.

Ostatnie w kolejności, choć nie mniej ważne, specjalne i pełne pokory słowa podziękowania kieruję do tych wszystkich żyjących i nieżyjących żołnierzy, którzy służyli w naszej armii, włączając w to czworonożnych bohaterów.

Tytuł oryginału: Reckless Creed

Pierwsze wydanie: G.P. Putnam's Sons, An imprint of Penguin Random House LLC, Nowy Jork 2016

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Joanna Morawska

© 2016 by S.M. Kava

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: copyright by Tim Robinson. Trevillion Images.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościańska 1B lokal 24-25

[www.harpercollins.pl](http://www.harpercollins.pl)

ISBN: 978-83-276-2538-0

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.